

Kurt Vonnegut  
 SYRENY Z TYTANA  
 Przełożyła Joanna Kozak

Alexowi Vonnegutowi, pracownikowi wywiadu – z najlepszymi życzeniami.

„Z upływem każdej godziny System Słoneczny jest o czterdzieści trzy tysiące mil bliżej Ławicy Globularnej MI3, należącej do Herkulesa – a mimo to niektóre półgłówki uparcie twierdzą, że coś takiego jak postęp w ogóle nie istnieje”.

(-)

Ransom K. Fern

Wszystkie opisane w tej książce osoby, miejsca i zdarzenia, istnieją naprawdę. Tylko niektóre wypowiedzi i myśli są z konieczności tworem autora. Nie zmieniano żadnych nazwisk ku ochronie niewinnych, wychodząc z założenia, że ochrona niewinnych i tak należy do codziennych niebieskich obowiązków Boga Wszechmogącego.

Rozdział 1

Pomiędzy czatą a czartyzmem

„Ktoś tam na górze wyraźnie mnie lubi”,

(-)

Malachi Constant

Dziś każdy już potrafi odnaleźć sens życia w sobie samym.

Ale ludzkość nie zawsze miała tak dobrze. Jeszcze niespełna sto lat temu, mężczyznom i kobietom bardzo trudno było dobrać się do skrytek, które w sobie nosili.

Nie potrafili nazwać po imieniu żadnej z pięćdziesięciu trzech bram duszy.

Każda pozłacana religia to był złoty interes.

Ludzkość, nieświadoma prawd zawartych w każdym człowieku, bez przerwy rozglądała się na zewnątrz – coraz bardziej rozpychała się na zewnątrz. To, o czym ludzkość miała nadzieję się dowiedzieć dzięki rozpychaniu się na zewnątrz, było: kto właściwie odpowiada za stworzenie świata i o co w tym całym stworzeniu chodzi.

Ludzkość wysyłała swoich pierwszoliniowych agentów coraz dalej i dalej na zewnątrz.

W końcu posłała ich w kosmos, w pozbawione koloru, smaku i ciężaru morze nie kończącej się zewnętrznosci.

Posyłała ich w przestrzeń jak kamienie z procy.

Owi nieszczęśni agenci odkryli to, co zdążono już w wielkiej mierze odkryć na Ziemi: koszmarnie kończącej się bezsensu. Przechodząca kosmiczna, nieskończona zewnętrznosc, oferowała trzy rodzaje rekompensaty: jałową bohaterszczyznę, kiepską komedię lub bezsensowną śmierć.

Nareszcie zewnętrznosc utraciła swe wymyślane powaby.

Jedynym terenem do poszukiwań pozostała wewnętrzność.

Jedyną terra incognita pozostała dusza ludzka.

Tak to zaczęła się era dobroci i mądrości.

Jacy byli ci ludzie z dawnych czasów, ludzie o duszach jeszcze nie zbadanych?

To, co teraz nastąpi, będzie prawdziwą historią z Epoki Koszmaru, która przypadła, z dokładnością do kilku lat, na okres między Drugą Wojną Światową a Trzecim Wielkim Kryzysem.

Był tłum.

Tłum zgromadził się, gdyż miała nastąpić materializacja. Mężczyzna i pies mieli się zmaterializować, wyłonić z powietrza – z początku jako zarysy – by na koniec zyskać postać równie cielesną, jak każdy inny żywy mężczyzna i każdy inny żywy pies.

Tłum nie miał oglądać materializacji. Materializacja była sprawą ściśle prywatną, odbywała się na prywatnym terenie i tłum otrzymał serdeczne zaproszenie do nieuczestniczenia w obrzędku.

Materializacja miała się odbyć – podobnie jak nowoczesne, zgodne z wymogami cywilizacji, wieszanie skazańców – za wysokim, ślepy i strzeżonym murem, A zgromadzony przed murem tłum miał bardzo wiele wspólnego z tłumem zgromadzonym przed murem, za którym wieszają skazańca.

Tłum wiedział, że niczego nie zobaczy, a mimo to jego uczestnikom sprawiało przyjemność samo bycie blisko, gapienie się w ślepy mur i wyobrażanie sobie, co się dzieje po tamtej stronie. Mur potęgował misterium materializacji, tak jak zazwyczaj potęguje misterium egzekucji; fotoplastikonowe przeźrocza mrocznych wyobraźni – fotoplastikonowe przeźrocza, które tłum rzucał na ekran ślepego muru – zmieniały misterium w pornografię.

Miastem tym było Newport, Rhode Island, USA, Ziemia. System Słoneczny, Droga Mleczna. Mur należał do posiadłości Rumfoordów.

Na dziesięć minut przed spodziewaną materializacją agenci policji rozpuścili pogłoskę, że materializacja odbyła się przedwcześnie, i to po tej stronie muru, oraz że mężczyznę wraz z psem można sobie obejrzeć jak na dłoni o dwie przecznice dalej. Tłum zerwał, się do galopu, aby zobaczyć cud na skrzyżowaniu.

Tłum miał hopla na punkcie cudów.

Na końcu tłumy znajdowała się kobieta, która ważyła sto pięćdziesiąt kilo. Charakteryzowała się ponadto wolem, kandyzowanym jabłuszkiem i małą, szarą, sześciolletnią dziewczynką. Dziewczynkę trzymała za rękę i szarpała nią to w jedną, to w drugą stronę, jak piłką na gumce. – Wando June – powiedziała – jeśli natychmiast nie będziesz grzeczna, już nigdy w życiu nie wezmę cię na materializację.

Materializacje odbywały się od dziewięciu lat, zawsze co pięćdziesiąt dziewięć dni. Najbardziej uczeni i najpoważniejsi ludzie na świecie błagali rozpaczliwie o przywilej ujrzenia materializacji. Niezależnie od formy, w jakiej owi wielcy ludzie werbalizowali swoje prośby, odprawiano ich z kwitkiem. Odmowa, wykaligrafowana ręcznie przez prywatnego sekretarza pani Rumfoord, brzmiała zawsze jednakowo:

Pani Winstonowa Nilesowa Rumfoord uprzejmie zawiadamia, iż nie może wystosować zaproszenia, o jakie Pan zabiega. Pani Rumfoord jest przekonana, że zechce Pan zrozumieć jej uczucia w związku z poruszoną przez Niego sprawą: zjawisko, które życzy Pan sobie obserwować, jest tragedią rodzinną, przedmiotem z pewnością niezbyt stosownym dla obserwacji przez osoby postronne, jakkolwiek szlachetnie motywowałyby owe osoby własną ciekawość.

Pani Rumfoord i jej personel nie odpowiadali na żadne z dziesiątków pytań w sprawie materializacji, jakie do nich napływały. Pani Rumfoord w minimalnym jedynie stopniu poczuwała się do obowiązku udzielania światu informacji. Ów niewymiernie skromny obowiązek spełniała wydając sprawozdanie w dwadzieścia cztery godziny po każdej materializacji. Długość jej sprawozdań nigdy nie przekraczała stu słów. Służący wywieszał sprawozdania w szklanej gablocie przytwierdzonej do muru tuż przy jedynym wejściu na teren posesji.

Jedynym wejściem na teren posesji była lilipucia bramka w zachodniej części muru. Bramka miała zaledwie cztery i pół stopy wysokości. Sporządzona była z żelaza i zamknięta na wielką zasuwę typu Yale.

Szerokie bramy posesji zamurowano.

Sprawozdania, które pojawiały się w szklanej gablocie przy żelaznej bramce, były nieodmiennie zdawkowe i podszyte irytacją. Zawarte w nich informacje mogły jedynie sfrustrować każdego, kto miał w sobie choćby isierkę ciekawości. Podawano tam dokładny czas materializacji męża pani Rumfoord, Winstona, i jego psa Kazaka, a także dokładny czas ich dematerializacji. Stan zdrowia mężczyzny i psa określano nieodmiennie jako dobry. W sprawozdaniach sugerowano, że małżonek pani Rumfoord widzi wyraźnie zarówno przeszłość, jak i przyszłość, nie

pokuszone się jednak o podanie przykładów widzeń w którymkolwiek z tych kierunków. Tłum został odholowany spod muru posesji, aby umożliwić wynajętej limuzynie bezkolizyjne dotarcie do żelaznej bramki w zachodniej ścianie muru. Drobnym mężczyzną w stroju edwardiańskiego dandysa wysiadł z limuzyny i pokazał jakiś papier strzegącemu bramki policjantowi. Mężczyznę maskowały ciemne okulary i sztuczna broda.

Policjant kiwnął głową, a mężczyzna własnoręcznie otworzył drzwi wydobytym z kieszeni kluczem. Znurkował na drugą stronę i z głośnym szczękiem zatrzasnął bramkę za sobą.

Limuzyna odjechała.

„Uwaga! Zły pies!” – głosił napis nad żelazną bramką. Ognie letniego zachodu słońca igrały pośród ostrzy i szpiców tłuczonego szkła zalanego cementem na szczycie muru.

Mężczyzna, który własnoręcznie wpuścił się do środka, był pierwszą osobą, jaką pani Rumfoord zaprosiła na materializację. Nie był to żaden wybitny naukowiec. Nie miał nawet przyzwoitego wykształcenia. W połowie pierwszego roku studiów został wyrzucony z Uniwersytetu Wirginia. Był to Malachi Constant z Hollywood, Kalifornia, najbogatszy człowiek w Ameryce – i niepoprawny hulaka.

„Uwaga! Zły pies!” głosił napis po zewnętrznej stronie żelaznej bramki. Za murem znajdował się wszakże tylko psi szkielet. Na szyi miał bestialsko najeżoną kolcami obrozę, przytwierdzoną do muru łańcuchem. Długie kły zazębiały się wzajemnie. Czaszka i żuchwa tworzyły nieszkodliwy ruchomy model maszynki do chapania mięsa, o bardzo zmyślnej stalowej konstrukcji. Szczęki zwierały się następująco: chap. W tym miejscu lśniły niegdyś bystre oczy, tu tkwiły czujne uszy, tu – podejrzliwy nos, tu zaś mózg mięsożercy. Zahaczone tutaj i tutaj wiązadła mięśni zwierały wbite w ciało zęby w sposób następujący: chap.

Szkielet miał znaczenie symboliczne – był rekwizytem, pustym frazesem, zainstalowanym tu przez kobietę, która do nikogo prawie się nie odzywała. Żaden pies nie zdechł nigdy na posterunku przy murze. Pani Rumfoord kupiła kości od pewnego weterynarza, kazała je wyługować i pociągnąć lakierem, a następnie połączyć za pomocą drutu. Szkielet był jednym z wielu gorzkich i niejasnych komentarzy pani Rumfoord na temat podłych psikusów, jakie płatali jej czas i małżonek.

Pani Winstonowa Nilesowa Rumfoord była właścicielką siedemnastu milionów dolarów. Pani Winstonowa Nilesowa Rumfoord osiągnęła najwyższy status społeczny dostępny w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Pani Winstonowa Nilesowa Rumfoord była zdrowa i niebrzydka, a ponadto utalentowana.

Jej talent przejawiał się w dziedzinie poezji. Opublikowała anonimowo szczupły tomik wierszy zatytułowany „Pomiędzy czatą a czartyzmem”. Krytyka odniosła się do niego przychylnie. Tytuł wywodził się stąd, iż wszystkie słowa pomiędzy czatą a czartyzmem – przynajmniej w bardzo małych słownikach – odnoszą się do czasu.

A jednak, mimo iż los obdzielił ją tak łaskawie, pani Rumfoord potrafiła zadać sobie trud przykucia do muru psiego szkieletu, czy też wydania polecenia, aby zamurowano bramy posiadłości, czy wreszcie trud zaniedbania słynnych francuskich ogrodów, które przeistoczyły się w końcu w nowoangielską dżunglę.

Morał: pieniądze, pozycja, zdrowie, uroda i talent to jeszcze nie wszystko.

Malachi Constant, najbogatszy człowiek w Ameryce, przekręcił klucz w lilipuciej bramce.

Ciemne okulary i sztuczną brodę zawiesił na oplatającym mur bluszczu. Błyskawicznie minął psi szkielet, spoglądając przy tym na swój zegarek napędzany energią słoneczną. Za siedem minut żywy dog imieniem Kazak miał się zmaterializować i zstąpić na teren posesji.

Kazak gryzie – informowała w zaproszeniu pani Rumfoord – zatem proszę być punktualnym.

Constant uśmiechnął się na zastrzeżenie o koniecznej punktualności. Być punktualnym znaczyło „istnieć jako punkt”, chociaż znaczyło również „pojawić się o czasie”. Constant istniał jako punkt – nie potrafił sobie wyobrazić własnego istnienia w jakiegokolwiek innej formie.

Właśnie to, między innymi, zamierzał sprawdzić: jak to jest, gdy się istnieje w innej formie.

Małżonek pani Rumfoord istniał w innej formie.

Winston Niles Rumfoord wprowadził swój prywatny statek kosmiczny w samo sedno nie opisanej na mapach infundybuły chronosynklastycznej, w odległości dwóch dni drogi od Marsa. Towarzyszył mu jedynie pies. Winston Niles Rumfoord i jego pies Kazak istnieli teraz jako zja-

wiska falowe – pulsowali zapewne w odkształconej spirali, która poczyniała się na Słońcu, a kończyła na Betelgeuzie.

Ziemia miała za moment przeciąć tę spiralę.

Niemal każde skrótowe objaśnienie infundybuły chronosynklastycznej musi wywołać protest specjalistów w tej dziedzinie. Tak czy owak, najlepsze skrótowe objaśnienie tego zjawiska znajdujemy w czternastej edycji Dziecięcej encyklopedii cudów i ciekawych zajęć autorstwa dr Ceryla Halla. Hasło „Chronosynklastyczna, infundybuła” przedrukowujemy tu w całości, za łaskawym przyzwoleniem wydawcy:

CHRONOSYNKLASTYCZNA, INFUNDYBUŁA – Wyobraź sobie, że twój tatuś jest naj-  
mądrzejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na świecie, że wie wszystko, czego tylko można  
chcieć się dowiedzieć, i we wszystkim ma absolutną rację, a w dodatku potrafi udowodnić, że we  
wszystkim ma absolutną rację. A teraz wyobraź sobie inne mile i grzeczna dziecko, które mieszka  
w innym miłym i sympatycznym świecie, oddalonym od nas o milion lat świetlnych, i którego ta-  
tuś jest najmądrzejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na tamtym odległym, sympatycznym  
świecie, i wyobraź sobie, że tamten tatuś jest dokładnie tak samo mądry i nieomylny jak twój ta-  
tuś. Obaj tatusiowie są najmądrzejsi i obaj mają rację.

Tylko że gdyby się kiedykolwiek spotkali, kłóciliby się straszliwie, ponieważ w żadnej sprawie  
nie mogliby się dogadać. Możesz, oczywiście, powiedzieć, że twój tatuś ma rację, a tatuś tamtego  
dziecka nie ma racji, ale pamiętaj, że Wszechświat jest bardzo wielki. Starczy w nim miejsca na  
całą masę ludzi, z których każdy będzie miał rację, chociaż nie zgodzi się z żadnym innym.  
Obaj tatusiowie mogą mieć rację, a mimo to kłócić się straszliwie, gdyż rację można mieć na  
bardzo wiele sposobów. Są jednak we Wszechświecie takie miejsca, w których jeden tatuś poła-  
pałby się wreszcie w tym, co mówi drugi tatuś. W tych miejscach najrozmaitsze prawdy pasują do  
siebie tak świetnie, jak części słonecznego zegarka, który nosi twój tatuś. Miejsca te nazywamy  
infundybułami chronosynklastycznymi.

Sądźmy, że System Słoneczny pełen jest infundybuł chronosynklastycznych. Jedna ogromna,  
której istnienia jesteśmy pewni, lubi się utrzymywać pomiędzy Ziemią a Marsem. Wiemy o jej  
istnieniu dzięki temu, że ziemski mężczyzna i jego ziemski pies dostali się w sam jej środek.  
Myślisz może, że fajnie byłoby dostać się w infundybułę chronosynklastyczną i zobaczyć całą  
rozmaitość absolutnych racji, ale jest to rzecz ogromnie niebezpieczna. Nieszczęsny człowiek,  
o którym była mowa, a także jego nieszczęsny pies, miotają się tam i z powrotem, nie tylko  
w przestrzeni, lecz i w czasie.

„Chrono” znaczy „czas”. „Synklastyczna” znaczy „nagięto ze wszystkich kierunków w tę  
samą stronę”, jak skórka pomarańczy, „infundybuła” jest to przedmiot, który starożytni Rzymia-  
nie, np. Juliusz Cezar i Neron, nazywali „lejkkiem”. Jeśli nie wiesz, co to jest lejek, poproś mamu-  
się, żeby ci pokazała.

Klucz do lilipuciej bramki przybył wraz z zaproszeniem. Malachi Constant wsunął klucz do  
oblamowanej futrem kieszonki spodni i podążył jedną ścieżką, jaka się przed nim otwierała.  
Szedł w gęstym cieniu, lecz horyzontalne promienie zachodzącego słońca wypełniały czubki  
drzew światłem o odcieniu Maxfield Parrish.

Constant idąc wachlował się dyskretnie zaproszeniem, gdyż za każdym zakrętem oczekiwał  
zatrzymania. Tusz na zaproszeniu był koloru fioletowego. Pani Rumfoord miała zaledwie trzy-  
dzieści cztery lata, za to kaligrafię starej baby – wąską i spiczastą. Jawnie gardziła Constantem,  
mimo iż go nie znała. Zaproszenie emanowało – oględnie mówiąc – niechęcią, jakby je wypisano  
na zasmarkanej chustce do nosa.

„Podczas swej ostatniej materializacji – pisała pani Rumfoord – mąż mój nalegał, aby był Pan obec-  
ny przy następnej. Nie zdołam mu tego wyperswadować pomimo licznych – a ewidentnych –  
mankamentów takiego pomysłu. Mąż upiera się, że zna Pana doskonale, gdyż spotkaliście się  
panowie na Tytanie, który, jak rozumiem, jest jednym z księżyców planety Saturn”.

Każde niemal zdanie zaproszenia zawierało czasownik „nalegać”. Mąż pani Rumfoord nale-  
gał, aby postąpiła ona dokładnie wbrew własnemu rozsądkowi, więc z kolei pani Rumfoord nale-  
gała, aby Malachi Constant zachował się w miarę możliwości jak dżentelmen, którym z pewnością  
nie był.

Malachi Constant nigdy nie był na Tytanie. O ile się orientował, nigdy nie przekroczył ga-

zowej otoczki swej macierzystej planety, Ziemi. Wkrótce miał się dowiedzieć, że jest w błędzie. Zakręty na ścieżce były liczne, a widoczność ograniczona. Constant wędrował wilgotną zieloną ścieżką przypominającą pokos – istotnie był to pokos. Po obu stronach ścieżki wznosiły się zielone ściany dżungli, w którą przeistoczył się ogród.

Pokos okrążał wyschniętą fontannę. Ktoś, kto obsługiwał kosiarkę, błysnął w tym miejscu fantazją i poprowadził ścieżkę rozwidleniem. Constant mógł sobie wybrać, od której strony woli obejść fontannę. Constant zatrzymał się na rozwidleniu i spojrzał w górę. Fontanna stanowiła istny szczyt inwencji. Miała kształt szyszki, utworzonej z licznych kamiennych mis o zmniejszających się średnicach. Misy nałożone były jak obroże na cylindryczny szkielet wysokości czterdziestu stóp.

Pchnięty impulsem, Constant nie wybrał ani jednej, ani drugiej odnogi ścieżki, lecz zaczął wdrapywać się na fontannę. Wspinał się z misy na misę, z zamiarem stwierdzenia, kiedy już stanie na szczycie, którędy przyszedł i dokąd zmierza.

Stojąc na samym czubku, na najmniejszej z mis barokowej fontanny, stojąc w ruinach ptasich gniazd, Malachi Constant ogarniał wzrokiem całą posiadłość, a także spore partie miasta Newport i zatoki Narragansett. Uniósł zegarek ku słońcu, dając mu wchłonąć paliwo, które dla zegarków słonecznych jest tym, czym pieniądze dla istot ziemskich.

Ożywczy wiew od morza zwichrzył granatowoczarne włosy Constanta. Constant był przystojnym mężczyzną: waga lekkopółśrednia, cera smągła, usta wydatne, oczy piwne, ocienione kromaniońskim łukiem brwiowym. Miał lat trzydzieści jeden.

Wart był trzy miliardy dolarów, w dużej mierze odziedziczonych.

Jego imię i nazwisko znaczyły: „wierny posłaniec”.

Był spekulantem, zwłaszcza w dziedzinie papierów wartościowych.

W stanach depresji, które następowały u niego po każdorazowym nadużyciu alkoholu, narkotyków i kobiet, Constant rozpaczliwie pragnął tylko jednego – wiadomości, która przez swą wagę i dostojność zasługiwałaby na to, aby on, jako posłaniec, przeniósł ją z jednego punktu w inny punkt.

Motto pod herbem, który Constant sam sobie zaprojektował, głosiło z prostotą: „Posłaniec czeka”.

Constant miał zapewne na myśli jakąś pierwszorzędna wiadomość od Pana Boga do kogoś równie ważnego.

Constant ponownie zerknął na swój słoneczny zegarek. Na zejście z fontanny i dotarcie do budynku pozostały mu dwie minuty – miał dwie minuty do czasu, gdy Kazak się zmaterializuje i zacznie rozglądać za obcym, w którego mógłby wpić zębiska. Constant roześmiał się w duchu na myśl o tym, jak uradowana byłaby pani Rumfoord, gdyby nieokrzesany parweniusz Constant z Hollywood miał spędzić całą swą wizytę uwięziony na czubku fontanny przez doga najczystszej rasy. Kto wie, czy pani Rumfoord nie kazałaby nawet uruchomić fontanny.

Było bardzo prawdopodobne, że pani Rumfoord obserwuje Constanta. Rezydencję dzieliła od fontanny minuta drogi; od dżungli zaś oddzielał ją pokos trzykrotnie szerszy niż ścieżka. Marmurowa rezydencja Rumfoordów była rozbudowaną kopią sali bankietowej pałacu Whitehall w Londynie. Rezydencja ta była równocześnie – jak większość znacznie szerszych domów w Newport – spokrewniona z typowymi dla całego kraju budynkami poczt i sądów federalnych. Rezydencja Rumfoordów stanowiła komicznie szokującą ilustrację pojęcia „ludzie zamożni”. Była bez wątpienia jedną z najwybitniejszych rozpraw na temat skupienia materii od czasów Wielkiej Piramidy Cheopsa. Jako rozprawa o nieprzemijalności przewyższała nawet Piramidę Cheopsa, gdyż Piramida Cheopsa zwięźała się w drodze ku niebu aż do zgubienia. Rezydencja Rumfoordów nie zwięźała się ani na jotę. Mogłaby z powodzeniem stać do góry nogami. Solidność i trwałość rezydencji pozostawały naturalnie w ironicznej sprzeczności z faktem, że były pan domu – za wyjątkiem jednej godziny na pięćdziesiąt dziewięć dni – był równie cieleśny jak promień księżycy.

Constant zszedł z fontanny, stąpając na obrzeża mis o stopniowo rosnących rozmiarach. Gdy znalazł się na dole, ogarnęło go przemożne pragnienie ujrzenia czynnej fontanny. Pomyślał o tłumie po tamtej stronie muru; pomyślał, że ten tłum też strasznie by się ucieszył widząc fontannę w akcji. Tłum byłby uszczęśliwiony, patrząc, jak woda z tyciuteńkiej miseczki na samiu-

teńkim czubeczku przelewa się do następnej miseczki... a z następnej miseczki do kolejnej miseczki... a z kolejnej miseczki do kolejnej miski... i tak dalej, i dalej, i dalej istna rapsodia przelewania, w której każda misa wyśpiewywałaby własną radosną wodną piosenkę. Na samym zaś dole rozdziawiała się zwrócona w górę paszcza największej z mis... prawdziwego miskowego Belzebuba, wyschniętego na pieprz i nienasyconego... który czeka, czeka, czeka, pierwszej najśodszej kropelki.

Constant popadł w ekstazę, wyobrażając sobie fontannę tryskającą wodą. Fontanna miała w sobie bardzo wiele z halucynacji, halucynacje zaś, wywołane zazwyczaj narkotykiem, były właściwie jedyną rzeczą zdolną jeszcze zadziwić i rozbawić Constanta.

Czas pędził. Constant ani drgnął..

Gdzieś na terenie posesji rozległo się szczekanie doga. Szczekanie przypominało odgłosy uderzeń drewnianego młota w gigantyczny mosiężny gong.

Constant ocknął się, przerywając kontemplację fontanny. Tak mógł ujadać jedynie Kazak, Pies z Kosmosu. Kazak się zmaterializował. Kazak zwęszył krew parweniusza.

Constant sprintem przebył resztę odległości dzielącej go od domu.

Wiekowy lokaj w bryczesach otworzył drzwi Malachiemu Constantowi z Hollywood. Lokaj szłochał z radości. Palcem wskazywał na pokój, który znajdował się poza polem widzenia Constanta. Lokaj usiłował opisać to, co sprawiło mu tyle radości i wycisnęło łzy z oczu. Nie mógł jednak wykrztusić ani słowa. W wyniku paraliżu szczęki zdołał jedynie poinformować Constanta:

- Kht kht... kht kht kht.

Podłogę hallu stanowiła mozaika obrazująca złote słońce w otoczeniu znaków Zodiaku.

Winston Niles Rumfoord, który zmaterializował się zaledwie przed minutą, wkroczył do hallu i stanął na słońcu. Był znacznie wyższy i potężniejszy od Malachiego Constanta - był, jak dotychczas, pierwszą osobą, która nasunęła Constantowi myśl, że może przecież istnieć ktoś, kto go przewyższa pod każdym względem. Winston Niles Rumfoord wyciągnął alabastrową dłoń i przyjaźnie powita? Constanta, niemal wyśpiewując słowa gardłowym grotońskim tenorem.

- Jakże mi miło, jakże mi miło, jakże mi miło, panie, Constant - powiedział Rumfoord, - Jak to uprzejmie z pańskiej strony, że zechciał się pan pofatygować.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Constant.

- Doszły mnie słuchy, że jest pan największym szczęściarzem w historii świata.

- To lekka przesada - odparł Constant.

- Nie zaprzeczy pan, że ma niesamowite szczęście w finansach - rzekł Rumfoord.

Constant pokręcił głową.

- Nie. Temu akurat trudno byłoby zaprzeczyć.

- A czemuż to przypisuje pan to swoje fantastyczne szczęście? - zapytał Rumfoord.

Constant wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - wyznał. - Ktoś tam na górze wyraźnie mnie lubi,

Rumfoord spojrział w sufit.

- Co za uroczy obrazek: ktoś siedzi tam, w górze, trudni się lubieniem pana.

Constant, który od początku rozmowy potrząsał dłonią Rumfoorda, uświadomił sobie nagle, że jego własna dłoń jest drobna i szponowata.

Rumfoord miał dłoń masywna, lecz nie zniekształconą jak dłoń człowieka skazanego po kres swoich dni na jedno i to sarno zajęcie. Zgrubienia na dłoni Rumfoorda były równe i symetryczne, stanowiły owoce tysiąca radosnych trudów, jakimi para się czynna klasa próźniacza.

Constant zapomniał na krótką chwilę, że człowiek, który ściska mu dłoń, jest zaledwie jednym z aspektów, jednym z węzłów zjawiska falowego rozciągającego się między Słońcem a Betelgeuzą. Zetknięcie z dłonią Rumfoorda przypomniało Constantowi, z czym ma do czynienia - poczuł bowiem słabiutki, lecz niewątpliwe, uszczypnięcie prądu elektrycznego.

Ton zaproszenia pani Rumfoord nie obudził w Constantie kompleksu niższości. Constant był samcem, pani Rumfoord zaś samicą i Constant wyobrażał sobie, że dysponuje środkami, którymi - gdyby mu dano sposobność - potrafiłby udowodnić swą niekwestionowaną wyższość.

Winston Niles Rumfoord był z kolei czymś całkiem innym - tak pod względem moralnym, jak i przestrzennym, społecznym, erotycznym i elektrycznym. Uśmiech i uścisk dłoni Winstona

Nilesa Rumfoorda zdemontowały dobrą opinię, jaką Constant miał o sobie, równie skutecznie, jak najęta na okres karnawału ekipa robotników mogłaby zdemontować diabelski młyn. Constant, który zwykł polecać się jako posłaniec Panu Bogu, wpadł teraz w popłoch w obliczu nader umiarkowanej wielkości Rumfoorda. Constant pośpiesznie przewertował wspomnienia w poszukiwaniu minionych dowodów własnej wielkości. Przewertował je jak złodziej przerzucający zawartość cudzego portfela. Constant odkrył, że pamięć ma zaśmieconą wymięty- mi, prześwietlonymi odbitkami wszystkich kobiet, które kiedyś do niego należały, niedorzecz- nymi dowodami uczestnictwa w jeszcze bardziej niedorzecznych przedsięwzięciach, poświad- czeniami cnót i przewag, jakimi dysponować mogły jedynie trzy miliardy dolarów. Znalazł się tam nawet srebrny medal na czerwonej wstążce, przyznany Constantowi za zajęcie drugiego miejsca w trójskoku podczas halowych zawodów na Uniwersytecie Wirginia.

Uśmiech Rumfoorda nie miał końca.

Aby pozostać przy porównaniu ze złodziejem wertującym cudzy portfel: Constant rozpruł szwy własnej pamięci w nadziei znalezienia tajnego schowka, a w nim czegoś, co miałoby jaką- kolwiek wartość. Tajnego schowka nie było – nic nie przedstawiało najmniejszej wartości. Con- stantowi pozostały jedynie porozpruwane, sflaczałe, puste kieszonki pamięci.

Wiekowy lokaj patrzył na Rumfoorda z uwielbieniem, demonstrując przy tym serię przymil- nych grymasów paskudnej starej ciotki, pozującej do obrazu Madonny.

– Pa-nysz – wydukał. – Młody pa-nysz.

– Pan wie, że czytam w pańskich myślach? – powiedział Rumfoord.

– Doprawdy? – spytał pokornie Constant.

– Nic prostszego – powiedział Rumfoord. Mrugnął. – Nie jest pan taki najgorszy. Zwłaszcza kiedy zapomina pan o tym, kim pan jest.

Lekko dotknął ramienia Constanta. Był to gest polityczny – pospolity, publiczny gest czło- wieka, który prywatnie, wśród równych sobie, wolałby dać się posiekać, niż dotknąć kogokol- wiek.

– Jeśli na obecnym etapie naszej znajomości czuje pan tak ogromną potrzebę przewyższania mnie w czymkolwiek – przemówił serdecznie Rumfoord – proszę sobie pomyśleć tak: pan się może rozmnażać, a ja nie.

Następnie zademonstrował Constantowi swe szerokie plecy i poprowadził go przez ciąg przestronnych komnat.

Zatrzymawszy się w jednej z nich, kazał Constantowi podziwiać wielki olejny portret dziew- czynki przytrzymującej za uźdę nieskazitelnie białego kucyka. Dziewczynka ubrana była w biały kapelusik, białą krochmaloną sukienkę, białe rękawiczki, białe skarpetki i białe buciki.

Była najczystsza, najsztynniejsza dziewczynką, jaką Constant oglądał w swoim życiu.

Miała dziwną minę; Constant doszedł do wniosku, że dziewczynka panicznie boi się choć odro- binę zabrudzić.

– Przyjemny obrazek – rzekł Constant.

– Gdyby tak wpadła w kałużę błota – powiedział Rumfoord. – Ale by było strasznie, co?

Constant uśmiechnął się niepewnie.

– Moja żona w latach dziecięcych – oświadczył raptownie Rumfoord i wyprowadził gościa z sali.

Tylnym korytarzem powiódł go do maleńkiego pokoiku, niewiele większego niż schowek na szczołki. Pokoik miał dziesięć stóp długości, sześć stóp szerokości, za to sufit – jak wszystkie pozostałe pomieszczenia rezydencji – na wysokości dwudziestu stóp. Przypominał wnętrze ko- mina. Stały tam dwa głębokie fotele.

– Pomyłka architekta – wyjaśnił Rumfoord zamykając drzwi i patrząc przy tym w sufit.

– Słucham? – zdziwił się Constant.

– Ten pokój – odparł Rumfoord. Wiotką dłonią wyrysował w powietrzu magiczny obraz krę- conych schodów.

Jedną z nielicznych rzeczy, których jako chłopiec pragnąłem całym sercem, był właśnie ten pokoik.

Ruchem głowy wskazał na regał, zajmujący ścianę z oknem do wysokości sześciu stóp. Był to piękny mebel. Nad regałem tkwiła wyłowiona z morza deska, a na niej niebieską farbą napisa-

ne było: MUZEUM KAJTKA.

Muzeum Kajtka było zbiorem rozmaitych szczątków doczesnych – szkieletów wewnętrznych i zewnętrznych – muszli, koralu, kości, chrząstek i chityny – prochów, pyłów i popiołów po duszach dawno już odeszłych. Były to w większości eksponaty, jakie dziecko – zapewne Kajtek – mogło z łatwością znaleźć na plażach i w lasach Newport. Niektóre jednak stanowiły bez wątpienia kosztowne prezenty, ofiarowane dziecku pasjonującemu się biologią.

Wśród prezentów królował kompletny szkielet dorosłego samca ludzkiego.

Był tam także pusty pancerz pancernika, wypchany ptak dodo oraz długi, spiralny kiel narwala, dowcipnie opisany przez Kajtkę jako Róg Jednorożca.

– Kto to jest Kajtek? – zapytał Constant.

– To ja – powiedział Rumfoord. – Byłem.

– Nie przyszło mi do głowy – wyznał Constant.

– Oczywiście tylko dla najbliższych – dodał Rumfoord.

– Aha – powiedział Constant.

Rumfoord zasiadł w jednym z foteli, gestem zapraszając Constanta do drugiego.

– Anioły, widzi pan, też nie mogą – rzekł Rumfoord.

– Czego nie mogą? – zdziwił się Constant.

– Rozmnażać się – odparł Rumfoord. Poczęstował Constanta papierosem, siebie również, po czym umieścił swój papieros w długiej kościanej cygarniczce.

– Przepraszam, że żona nie zeszła na dół, aby się z panem przywitać. Jest niedysponowana – powiedział. – Ona unika nie pana, lecz mnie.

– Pana? – zdumiał się Constant.

– Tak jest – odparł Rumfoord. – Nie widzieliśmy się od pierwszej materializacji. – Zachichotał melancholijnie. – Raz wystarczyło.

– Bar... bardzo mi przykro – bąknął Constant. – Nie rozumiem.

– Nie spodobały jej się moje przepowiednie – wyjaśnił Rumfoord. – Ten rąbek przyszłości, jaki przed nią odsłoniłem, całkowicie wytrącił ją z równowagi. Nie ma ochoty słuchać dalej. – Oparł się wygodnie i głęboko zaciągnął papierosem. – Mówię panu, panie Constant – ciągnął jowialnie – co to za niewdzięczne zajęcie mówić ludziom, jak bezlitosny jest Wszechświat, w którym żyją.

– Twierdziła, że to pan kazał jej mnie zaprosić – powiedział Constant.

– Wiadomość przekazał jej lokaj – wyjaśnił Rumfoord. – Dałem jej do zrozumienia, że nie odważy się pana zaprosić... inaczej nigdy by tego nie zrobiła. Proszę zapamiętać, to się panu może przydać: jedyny sposób, aby nakłonić ją do czegokolwiek, to poddanie w wątpliwość jej odwagi. Nie jest to, naturalnie, metoda niezawodna. Gdybym teraz, na przykład, posłał jej wiadomość, że nie odważy się stanąć oko w oko z przyszłością, otrzymałbym odpowiedź, że mam absolutną rację.

– Czy pan... pan istotnie widzi przyszłość? – zainteresował się Constant. Skóra na twarzy ścierpła mu, spierzchła. Dłonie zwilgotniały od potu.

– Potocznie mówiąc, tak – odrzekł Rumfoord. – Z chwilą, gdy mój statek dostał się w infundybule chronosynklastyczną, olśniła mnie myśl, że cokolwiek było – będzie zawsze, a cokolwiek będzie – zawsze było. – Znów zachichotał. – Świadomość tego odbiera przepowiadaniu przyszłości cały splendor, czyniąc je najprostszą, najoczywistszą rzeczą na świecie.

– Powiedział pan żonie o wszystkim, co ją czeka? – zapytał Constant.

Pytanie było czysto grzecznościowe. Constant nie dbał o to, co spotka żonę Rumfoorda. Pragnął wiadomości o sobie. Pytając o żonę Rumfoorda, dawał wyraz własnej nieśmiałości.

– No... nie całkiem – odparł Rumfoord. – Nie dała sobie powiedzieć wszystkiego. Ta odrobina, której się dowiedziała, całkiem popsuka jej apetyt na resztę.

– Ro... rozumiem – wyjąkał Constant, nie rozumiejąc ani w ząb.

– Tak – ciągnął dobrodusznie Rumfoord. – Powiedziałem jej, że ona i pan pobierzecie się na Marsie. – Wzruszył ramionami. – A właściwie nie pobierzecie się – uściślił – lecz zostanieie sparzeni przez Marsjan, jak bydło hodowlane.

Winston Niles Rumfoord należał do jedynej prawdziwej klasy społecznej w Ameryce. Klasa ta była jedyną prawdziwą, gdyż od co najmniej dwóch stuleci miała ściśle zdefiniowane granice –



zdefiniowane przynajmniej dla osób wrażliwych na definicje. Klasa Rumfoorda wydała jedną dziesiątą prezydentów Ameryki, jedną czwartą jej wielkich odkrywców, jedną trzecią gubernatorów Wschodniego Wybrzeża, połowę czynnych zawodowo ornitologów, trzy czwarte wielkich żeglarzy i praktycznie sto procent żyrantów deficytowej działalności opery wielkiej. Była to klasa wyjątkowo wolna od szarlatanów, ze znamienym wyjątkiem szarlatanów politycznych.

Szarlataneria polityczna służyła zdobywaniu stanowisk i nigdy nie przenoszono jej w sferę życia prywatnego. Natychmiast po objęciu stanowiska członek tej klasy stawał się – niemal bez wyjątku – wzorem rzetelności.

Oskarżając Marsjan o hodowanie ludzi, jak gdyby ludzie niczym się nie różnili od bydła, Rumfoord zarzucał im jedynie to, czego nagminnie dokonywała jego własna klasa. Siła tej klasy zależała w pewnym stopniu od rozsądnego operowania pieniędzmi, lecz w znacznie większym stopniu – od mariaży opartych na cynicznym przewidywaniu gatunku dzieci, jakie związek mógł wydać na świat.

Punktem docelowym były zdrowe, urocze, inteligentne dzieci.

Najbardziej rzetelną, aczkolwiek mało zabawną analizą klasy społecznej Rumfoorda jest bez wątpienia dzieło Walthama Kittredge'a, „Królowie amerykańskiej filozofii”. To właśnie Kittredge udowodnił, że klasa, z której pochodził Rumfoord, jest w istocie rodziną, której luźne końcówki sprawnie powplataną w gęstą tkankę wspólnoty krwi, a to dzięki instytucji małżeństw między kuzynami. Rumfoord i jego żona byli, dla przykładu, kuzynostwem w trzecim stopniu pokrewieństwa i nie znosili się nawzajem.

Kiedy Kittredge sporządził diagram klasy Rumfoorda, diagram ten do złudzenia przypominał zwarty, kulisty węzeł, znany jako „małpia pięść”.

Waltham Kittredge często płacze się w wywodach, kiedy usiłuje przełożyć etos klasy Rumfoorda na słowa. Będąc profesorem uniwersyteckim, Kittredge szukał jedynie słów wielkich, a nie znalazłszy odpowiednich, tworzył całe szeregi nieprzetłumaczalnych neologizmów.

Z całego żargonu Kittredge'a tylko jeden termin wszedł do języka potocznego, a mianowicie określenie „odwaga aneurotyczna”.

Chodzi, naturalnie, o tę odmianę odwagi, która uniosła Winstona Nilesa Rumfoorda w przestrzeń kosmiczną. Była to odwaga w postaci czystej – wyzbyta nie tylko niskich dążeń do sławy i fortuny, lecz i wszelkich motywów o posmaku nieudacznictwa czy wariactwa.

Tak się składa, że istnieją już dwa dosadne, powszechnie używane określenia, które – do wyboru – mogłyby z powodzeniem zastąpić cały żargon Kittredge'a. Te określenia to „styl” i „gest”.

Kiedy Rumfoord, wypłaciwszy z własnej kieszeni pięćdziesiąt osiem milionów dolarów, stał się pierwszym prywatnym właścicielem statku kosmicznego – to było działanie w wielkim stylu. Kiedy wszystkie rządy na Ziemi z uwagi na infundybule chronosynklastyczną zawiesiły ekspedycje kosmiczne, a Rumfoord oświadczył, że wyprawia się na Marsa – to było działanie w wielkim stylu.

Kiedy Rumfoord obwieścił, że zabiera z sobą skończone przeraźliwe psisko, tak jakby statek kosmiczny niczym się nie różnił od wykwintej wyścigówki, a podróż na Marsa – od zjazdu Spirala Connecticut – to było działanie w wielkim stylu.

Kiedy nikt na Ziemi nie wiedział, co stanie się ze statkiem kosmicznym, który wejdzie w infundybule chronosynklastyczną, a Rumfoord ustawił kurs w sam środek infundybule – był to ze strony Rumfoorda istic pański gest.

Różnica między Malachim Constantem z Hollywood a Winstone Nilessem Rumfoordem z Newport i Wieczności:

Wszystko, cokolwiek robił Rumfoord, miało styl i wystawiało pochlebne świadectwo całej ludzkości.

Wszystko, co robił Constant, było stylizowane – agresywne, głośne, infantylne, bezcelowe – i wystawiało tak jemu, jak i całej ludzkości, świadectwo wysoce niepochlebne.

Constant olśniewał odwagą, lecz nie była to w żadnym razie odwaga aneurotyczna. Wszystkie odważne czyny Constanta motywowane były przekorą lub ambicjami jeszcze z czasów dzieciństwa, wobec których strach był zwyczajną igraszka.

Usłyszawszy, że sążone mu jest sparzenie z żoną Rumfoorda na Marsie, Constant przeniósł wzrok z Rumfoorda na biegnące wzdłuż ściany muzeum szczątków doczesnych. Dłonie Con-

stanta zacisnęły się pulsując jedna na drugiej.

Constant chrząknął kilkakrotnie. Następnie wydał cienki świst spomiędzy języka i podniebienia. Zachowywał się w sumie jak człowiek, który usiłuje mężnie przeczekać straszliwy atak bólu. Przymknął oczy i wessał powietrze przez zęby.

- O la la, panie Rumfoord - wyszeptał. - Otworzył oczy. - Na Marsie?

- Na Marsie - potwierdził Rumfoord. - Nie będzie to oczywiście pański ostatni adres. Merkury także nie.

- Merkury? - powtórzył Constant, zmieniając tę piękną nazwę w nieprzystojny skrzek.

- Celem pańskiej włóczęgi jest Tytan - rzekł Rumfoord. - Ale nim pan tam dotrze, odwiedzi pan Marsa, Merkurego i ponownie Ziemię.

Należy obowiązkowo uświadomić sobie, w którym to punkcie historii punktowej eksploracji kosmosu Malachi Constant otrzymał wiadomość o czekających go wizytach na Marsie, Merkury, Ziemi i Tytanie. Do badania kosmosu odnoszono się wówczas na Ziemi podobnie, jak w Europie odnoszono się do badań Atlantyku przed wyprawą Krzysztofa Kolumba.

Występują tu jednak pewne istotne różnice: potwory, które stały na drodze zdobywców kosmosu, nie były zmyślane, lecz liczne, obrzydliwe, rozmaite, i wszystkie jednakowo zgubne; koszty najskromniejszej nawet wyprawy kosmicznej zdolne były zrujnować większość państw, przy czym w zasadzie pewne było, że żadna wyprawa nie przysporzy fortuny swoim mecenasom. Krótko mówiąc, w oparciu o zdrowy rozsądek i najdoskonalsze dane naukowe, nie dawało się powiedzieć nic na korzyść badania kosmosu.

Dawno minęły czasy, gdy jeden naród mógł zyskać optyczną przewagę nad innym narodem za pomocą wyrzucenia w nicość ciężkiego przedmiotu. Ostatnie zamówienie na tego typu cudeńko otrzymała korporacja Wehikuł Międzygwiazdny, kontrolowana - tak się składa - przez Malachiego Constanta. Zamówienie dotyczyło statku wysokości trzystu stóp i trzydziestu sześciu stóp średnicy. Skonstruowano go nawet, lecz sygnał do wystrzelenia nigdy nie nastąpił.

Pojazd nosił skromną nazwę „Wieloryb” i wyposażony był w kabiny mieszkalne dla pięciu pasażerów.

Nagle wstrzymanie wszelkich działań spowodowane było odkryciem infundybuł chronosynklastycznych. Odkryto je drogą matematyczną, w oparciu o niewytłumaczalne trajektorie statków bezzałogowych, wysyłanych w przestrzeń prawdopodobnie w celu przetarcia szlaków dla człowieka.

Odkrycie infundybuł chronosynklastycznych postawiło ludziom w efekcie następujące pytanie: „Co każe wam sądzić, że w ogóle gdziekolwiek dążycie?”

Dla amerykańskich kaznodziejów-fundamentalistów była to sytuacja jak na zamówienie. To oni pierwsi zaczęli mówić sensownie na temat ukróconej Ery Kosmicznej. Wyprzedzili filozofów, historyków i wszystkich innych. W dwie godziny po zawieszeniu na czas nieokreślony ekspedycji „Wieloryba” czcigodny Bobby Denton wołał do uczestników Krucjaty Miłości w Wheeling, Zachodnia Wirginia:

- „Tedy Pan zstąpił, aby oglądał miasto ono, i wieżę, którą budowali synowie ludzcy. I rzekł Pan: Oto lud jeden, i język jeden tych wszystkich; a toć jest zaczęcie dzieła ich, a teraz nie zabroni im nikt wszystkiego, co zamyślili uczynić. Przetoż zstąpmy, a pomieszajmy tam język ich, aby jeden drugiego języka nie zrozumiał. A tak rozproszył je Pan stamtąd po obliczu wszystkiej ziemi; i przestali budować miasta onego. Przetoż nazwał imię jego Babel: iż tam pomieszzał Pan język wszystkiej ziemi; i stamtąd rozproszył je Pan po obliczu wszystkiej ziemi”. Bobby Denton pluł swoim słuchaczom w oczy pełne blasku i oddania, po czym przypiekał ich dalej na ogniu własnej nieprawości.

- Czyż nie żyjemy oto w czasach biblijnych? - wołał. - Czyśmy nie powznosili ze stali i dumy szkaradzieństw daleko wyższych niż Wieża Babel? I czyśmy nie zamierzali, jak owi dawni budowniczości, dotrzeć za ich pomocą wprost do nieba? I czyśmy nie słyszeli po stokroć, że język nauki jest językiem międzynarodowym? Wszyscy naukowcy używają tych samych słów z łaciny i greki, i wszyscy posługują się językiem liczb.

To ostatnie najwyraźniej wydało się Dentonowi dowodem szczególnie inkryminującym, a Krzyżowcy Miłości potulnie przyznali mu rację, nie wiedząc właściwie dlaczego.

- Czemu więc mielibyśmy krzyczeć ze zdumienia i bólu teraz, gdy Bóg powtarza nam to, co

powiedział już niegdyś budowniczym Wieży Babel: „Nie! Jazda stąd! Nie pojedziecie tym świństwem ani do nieba, ani gdziekolwiek indziej! Rozpierzchnijcie się, słyszycie? Przestańcie się porozumiewać językiem nauki! Jeśli nie przestaniecie się porozumiewać językiem nauki, wszystko, co zamierzaliście osiągnąć, stanie przed wami otworem – a ja sobie tego nie życzę! Ja, wasz Pan w Niebiesiech, nie życzę sobie, aby wszystko stanęło przed wami otworem, więc macie przestać myśleć o bzdurnych wieżach i raketach do nieba, a zacząć myśleć o tym, jak być lepszymi sąsiadami, mężami, żonami, córkami i synami! Nie szukajcie zbawienia w raketach – szukajcie go w swoich domach i kościołach!”

Chcecie latać w przestrzeń? – ciągnął Bobby Denton głosem schrypniętym i przytłumionym. – Pan Bóg ofiarował wam najcudowniejszy pojazd kosmiczny! Tak! Prędkość? Chcecie wielkich prędkości? Pojazd kosmiczny dany wam od Boga pędzi z szybkością sześćdziesięciu tysięcy mil na godzinę – i, jeśli Bóg pozwoli, utrzyma tę prędkość przez całą wieczność. Chcecie pojazdu, który zapewni człowiekowi wygodną podróż? Macie go! Ten pojazd zabierze nie tylko bogacza i jego psa, nie tylko pięciu czy dziesięciu ludzi. O nie! Pan Bóg nie bawi się w półśrodki! Pan Bóg dał wam pojazd, który pomieści miliardy mężczyzn, kobiet i dzieci! O tak! I nie trzeba w nim przypinać się pasami do foteli ani wkładać na głowę akwarium. O nie! Nie na pokładzie statku bożego. Pasażerowie statku bożego mogą chodzić na basen, spacerować w słońcu, grać w baseball, ślizgać się na łyżwach, jeździć własnymi samochodami na rodzinne majówki po mszy i na niedzielne obiady ze sztuką mięsa!

O tak! – potrząsnął głową Bobby Denton. – Więc jeśli ktoś uważa, że Pan Bóg jest złośliwy, bo umieszcza w kosmosie rzeczy, które przeszkadzają nam latać, niech sobie ten ktoś przypomni o statku kosmicznym, który Pan Bóg już nam ofiarował. Do tego statku nie musimy kupować paliwa, nie musimy zamartwiać się i panikować nad problemem, czym go napędzać. O nie! Troszczy się o to sam Pan Bóg.

Pan Bóg powiedział nam też, co my sami mamy do zrobienia w tym cudownym kosmicznym pojeździe. Spisał reguły tak, aby każdy mógł je zrozumieć. Dla ich zrozumienia nie trzeba być ani fizykiem, ani wybitnym chemikiem, ani Albertem Einsteinem. O nie! I nie ma tych reguł za wiele. Słyszałem, że gdyby miało dojść do wystrzelenia „Wieloryba”, trzeba by przeprowadzić jedenaście tysięcy różnych testów, aby się upewnić, że jest gotów do podróży: czy taki zawór otwarty, czy siaki zawór zamknięty, czy przewód podłączony, czy zbiornik pełen? – i tak dalej, I tak dalej, jedenaście tysięcy rzeczy do sprawdzenia. Tu, w – naszym – bożym pojeździe, Pan Bóg każe nam sprawdzić zaledwie dziesięć rzeczy – i to nie przed wycieczką na jakiś tam wielki, martwy, trujący głaz w przestrzeni, lecz przed podróżą do Królestwa Niebieskiego! Zastanówcie się nad tym! Gdzie wolelibyście się jutro znaleźć – na Marsie czy w Królestwie Niebieskim?

Czy znacie pytania testowe obowiązujące na kulistym, zielonym bożym statku powietrznym? Czy mam je wam przypomnieć? Czy chcecie posłuchać bożego odliczania?

Krzyżowcy Miłości – odkrzyknęli, że chcą.

– Dziesięć! – zawołał Bobby Denton. – Czy pożądasz żony bliźniego swego albo jakiej rzeczy, która jego jest?

– Nie! – zawołał Krzyżowcy Miłości.

– Dziewięć! – zawołał Bobby Denton. – Czy świadczysz fałszywie przeciw bliźniemu twemu?

– Nie! – zawołał Krzyżowcy Miłości.

– Osiem! – zawołał Bobby Denton. – Czy kradniesz?

– Nie! – zawołał Krzyżowcy Miłości.

– Siedem! – zawołał Bobby Denton. – Czy cudzołożysz?

– Nie! – zawołał Krzyżowcy Miłości,

– Sześć! – zawołał Bobby Denton. – Czy zabijasz?

– Nie! – zawołał Krzyżowcy Miłości.

– Pięć! – zawołał Bobby Denton. – Czy czcisz ojca swego i matkę swoją?

– Tak! – zawołał Krzyżowcy Miłości.

– Cztery! – zawołał Bobby Denton, – Czy – pamiętasz, aby dzień święty święcić?

– Tak! – zawołał Krzyżowcy Miłości.

- Trzy! - zawołał Bobby Denton. - Czy wzywasz imię Pana Boga swego nadaremno?  
- Nie! - zawołał Krzyżowcy Miłości.  
- Dwa! - zawołał Bobby Denton. - Czy czynisz sobie ryciny lub podobieństwo rzeczy tych, które są na niebie?  
- Nie! - zawołał Krzyżowcy Miłości.  
- Jeden! - zawołał Bobby Denton. - Czy czcisz bogów innych przed Panem Bogiem twoim?  
- Nie! - zawołał Krzyżowcy Miłości.  
- Start! - krzyknął radośnie Bobby Denton. - Lecimy do raju! Ruszajcie, moje dzieci!  
Amen!  
- No tak - mruknął Malachi Constant w przypominającym wnętrzu komina pokoiku pod schodami w Newport. - Wygląda na to, że posłaniec otrzyma w końcu jakieś zajęcie.  
- Co takiego? - spytał Rumfoord.  
- Moje imię i nazwisko znaczy „wierny posłaniec” - wyjaśnił Constant. - Co mam przekazać?  
- Przepraszam bardzo - rzekł Rumfoord - ale nie wiem nic o żadnej wiadomości do przekazania. - Pytając przekrzywił głowę. - Ktoś panu wspominał o jakiejś wiadomości? Constant rozłożył ręce.  
- No to... po co ja mam się fatygować na tego całego Trytona?  
- Tytana - poprawił Rumfoord.  
- Tytan, Tryton, jeden czort - zbył go Constant. - Po kiego grzyba ja mam się tam szwendać? - „Po kiego grzyba” zabrzmiało w ustach Constanta blade, pretensjonalnie i harcerzykowato. Constant dopiero po chwili zorientował się, dlaczego użył tego określenia. „Och, ty grzybie!” - było to powiedzonko telewizyjnych kosmonautów, kiedy meteor zmiatał im nagle sprzed nosa pulpity kontrolny albo kiedy nawigator okazywał się piratem kosmicznym z planety Zircon.  
Constant wstał.  
- Po jaką cholere mam się tam szwendać?  
- Polecą pan i tyle. To panu mogę obiecać - odparł Rumfoord.  
Constant podszedł do okna, czując częściowy nawrót swej buńczucznej siły,  
- A ja panu mówię - oświadczył - że nie polecę.  
- Przykro mi to słyszeć - powiedział Rumfoord.  
- Czy miałbym tam coś dla pana załatwić? - upewnił się ponownie Constant.  
- Nie - odparł Rumfoord.  
- No to dlaczego panu przykro? - zdziwił się Constant. - Co pan ma do tego?  
- Nic - odrzekł Rumfoord. - Przykro mi ze względu na pana. Sporo pan traci.  
- Na przykład? - zainteresował się Constant.  
- Na przykład: możliwość zamieszkania w jednym z najprzyjemniejszych klimatów - odparł Rumfoord.  
- Klimat! - powtórzył pogardliwie Constant. - Mając willę w okolicy Hollywood, Doliny Kaszmiru, Acapulco, Manitoby, Tahiti, Paryża, Bermudów, Rzymu, Nowego Jorku i Capetown - ja miałbym opuszczać Ziemię w poszukiwaniu lepszego klimatu?  
- Tytan to coś więcej niż miły klimat - powiedział Rumfoord. - Tamtejsze kobiety, na przykład, to najpiękniejsze stworzenia między Słońcem a Betelgeuzą.  
Constant parsknął gorzkim śmiechem.  
- Kobiety! Myśli pan, że mnie jest trudno o piękną kobietę? Myśli pan, że jestem niedopieczony i że nie znam lepszego sposobu na znalezienie się w pobliżu pięknej kobiety, jak wsiąść w raketę i polecieć na jeden z księżyców Saturna? Czy pan zwariował? Miewałem kobiety tak piękne, że każdy mężczyzna pomiędzy Słońcem a Betelgeuzą usiadłby i zapłakał rzewnymi łzami, gdyby któraś z nich odezwała się do niego choćby jednym słowem. Wydobyl portfel i wyluskał z niego fotografię swojej ostatniej zdobyczy. Nie mogło być co do tego dwóch zdań: dziewczyna na zdjęciu była oszalamiająco piękna. Była to Miss Strefy Kanałowej, kandydatka do tytułu Miss Świata - w gruncie rzeczy znacznie piękniejsza niż ostateczna zdobywczyni tego tytułu. Jej uroda przeraziła sędziów konkursu.  
Constant podał zdjęcie Rumfoordowi.

- Mają tam coś zbliżonego, na tym całym Tytanie? - zapytał.  
Rumfoord obejrzał zdjęcie z szacunkiem i oddał je właścicielowi.  
- Nie - odparł. - Zbliżonego... nie.  
- No dobra - rzekł Constant, czując się na powrót panem własnego przeznaczenia. - Klimat, piękne kobiety... co dalej?  
- Dalej już nic - odparł łagodnie Rumfoord. Wzruszył ramionami, - Ach... może jeszcze dzieła sztuki, jeśli lubi pan sztukę.  
- Jestem właścicielem największej kolekcji dzieł sztuki na świecie - odpowiedział Constant. Swą słynną kolekcję sztuki Constant odziedziczył. Zgromadził ją ojciec Constanta czy też raczej jego agenci. Kolekcja rozproszona była aktualnie po muzeach całego świata, przy czym każdy z eksponatów opisany był po prostu jako część kolekcji Constanta. Kolekcję zebrano i systematycznie wzbogacano zgodnie z zaleceniami Dyrektora do Spraw Publicznych korporacji Magnum Opus, której jedynym zadaniem było pilnować interesów Constanta.  
Kolekcja miała udowodnić, jak hojni, użyteczni i wrażliwi potrafią być wielcy miliarderzy. Przy okazji stwierdzono, że kolekcja jest idealną lokatą kapitału.  
- To by nam załatwiało sztukę - podsumował Rumfoord.  
Constant miał właśnie schować zdjęcie Miss Strefy Kanałowej na powrót do portfela, kiedy poczuł, że trzyma w ręku nie jedną fotografię, lecz dwie. Pod zdjęciem Miss Strefy Kanałowej kryło się jakieś inne. Constant wziął je początkowo za zdjęcie poprzedniczki Miss Strefy Kanałowej i pomyślał, że ją także można by pokazać Rumfoordowi - niech sobie zobaczy, jakiej to niebiańskiej laleczce Constant łaskawie rozwarł swe podwoje.  
- Proszę uprzejmie, mam tu jeszcze jedną - powiedział wyciągając zdjęcie w stronę Rumfoorda.  
Rumfoord nie kwapił się z wzięciem fotografii. Nie raczył nawet na nią spojrzeć. Spojrzał natomiast prosto w oczy Constanta i wyszczerzył się w łobuzerskim uśmiechu.  
Constant przeniósł wzrok na zdjęcie, które nie wzbudziło zainteresowania Rumfoorda. Stwierdził, że nie jest to bynajmniej fotografia poprzedniczki Miss Strefy Kanałowej. Było to zdjęcie podrzucone mu przez Rumfoorda. Zdjęcie niezwykle, pomimo lśniącej powierzchni i standardowej białej ramki dookoła.  
Biała ramka otaczała szemrzące głębiny. Efekt był podobny do tego, jaki daje umieszczenie prostokątnej szyby na powierzchni przejrzystej płytkiej zatoki koralowej. Na samym dnie rzekomej zatoki koralowej znajdowały się trzy kobiety - biała, złocista i brązowa. Patrzyły na Constanta, błagając go wzrokiem, by do nich zstąpił i dopełnił je miłością.  
Ich uroda tak się miała do urody Miss Strefy Kanałowej, jak blask Słońca do blasku robaczka świętojańskiego.  
Constant z powrotem osunął się w głąb fotela. Musiał odwrócić wzrok od tego natłoku piękna, aby nie wybuchnąć płaczem.  
- Proszę zatrzymać to zdjęcie, jeśli się panu podoba - powiedział Rumfoord. - Mieści się w portfelu.  
Constant kompletnie stracił rezon.  
- Na Tytanie będzie panu towarzyszyła moja żona - rzekł Rumfoord - ale nie weźmie ona panu za złe, jeśli zechce pan zabawić się z tymi oto trzema młodymi damami. Pański syn także tam będzie, lecz okaże się równie tolerancyjny jak Beatrycze.  
- Syn? - powtórzył Constant. Constant nie miał syna.  
- Tak, bardzo udany chłopiec imieniem Chrono - odparł Rumfoord.  
- Chrono? - zdziwił się Constant.  
- To imię marsjańskie - wyjaśnił Rumfoord. - Syn pana i Beatrycze urodzi się na Marsie.  
- Beatrycze? - powtórzył Constant.  
- Beatrycze to moja żona - odparł Rumfoord. Stał się już całkiem przezroczysty. Jego głos zaczął pobrzękiwać, jakby się wydobywał z kiepskiego radia. - Różne rzeczy, mój chłopcze, latają w różne strony - ciągnął. - Jedne z wiadomościami do przekazania, inne bez. To nie pomyłka, to chaos, gdyż Wszechświat dopiero się rodzi. To właśnie z tego wielkiego stawania się mamy światło, ciepło i ruch, to ono przerzuca nas z miejsca na miejsce.  
Ach, przepowiednie, przepowiednie - dodał refleksyjnie. - Cóż jeszcze powinienem ci

powiedzieć? Już wiem... tak, tak, tak. Twoje dziecko, chłopiec imieniem Chrono... Chrono znajdzie na Marsie metalową blaszkę, którą nazwie swoim „talizmanem”. Proszę nie spuszczać tego talizmanu z oka, panie Constant. Jest on niesamowicie ważny,

Winston Niles Rumfoord zniknął stopniowo, poczynając od czubków palców, a kończąc na uśmiechu. Uśmiech utrzymywał się jeszcze przez jakiś czas po zniknięciu całej reszty.

- Do zobaczenia na Tytanie - pozdrowił Constanta uśmiech. Po czym zniknął.

- Czy już po wszystkim, Moncrief? - zawołała do lokaja pani Rumfoord ze szczytu kręconych schodów.

- Tak, proszpani. Odszedł - powiedział lokaj. - Razem z psem.

- A ten cały Constant? - dopytywała się dalej pani Rumfoord, dopytywała się Beatrycze.

Zachowywała się jak kaleka: nogi się pod nią uginały, mrużyła oczy, a jej głos przypominał szmer wiatru w koronach drzew. Ubrana była w długi biały szlafrok, którego miękkie fałdy tworzyły spiralę o skręcie przeciwnym ruchowi wskazówek zegara, harmonizując przy tym z białą kręconych schodów. Tren szlafroka okrywał górny stopień schodów, co czyniło Beatrycze naturalnym przedłużeniem zamysłu architektonicznego wnętrza.

W całej ekspozycji najważniejsza była jej wysoka, sztywna sylwetka. Szczegóły twarzy miały znaczenie drugorzędne. Gdyby w miejsce głowy wstawić kulę armatnią, nie umniejszyłoby to wcale wspaniałości kompozycji.

A jednak Beatrycze miała twarz - i to całkiem ciekawą. Można było powiedzieć o niej, że wygląda jak indiański wojownik z wysuniętą szczęką. Ale każdy, kto by tak powiedział, musiałby natychmiast dodać, że, wyglądała czarująco. Jej twarz, podobnie jak twarz Malachiego Constanta, była jedyną w swoim rodzaju, zadziwiającą wariacją na znany temat - wariacją, która zmuszała obserwatora do refleksji: „Gdyby ludzie tak właśnie wyglądali - też byłoby bardzo ładnie”. Jeśli idzie o ścisłość, Beatrycze zrobiła ze swoją twarzą jedynie to, co mogłaby zrobić każda przeciętna dziewczyna: przyoblekła ją w wyraz godności, cierpienia i inteligencji, ze szczyptą kurewstwa do smaku.

- Ten cały Constant - odparł z dołu Constant - jeszcze tu jest.

Stał w zasięgu jej wzroku, gdyż opierał się o kolumnę łuku otwierającego hali. Jednak niewielkie rozmiary w kontekście całej kompozycji i zagubienie w szczegółach architektonicznych czyniły go prawie niewidocznym.

- O! - powiedziała Beatrycze. - Bardzo mi miło.

Powitanie było kompletnie wyprane z emocji.

- I mnie bardzo przyjemnie - powiedział Constant.

- Mogę odwołać się jedynie do pańskiej szlachetności - rzekła Beatrycze - prosząc, by nie rozgłaszał pan na wszystkie strony szczegółów spotkania z moim mężem. Rozumiem doskonale, że pokusa opowiadania o tym będzie wielka.

- Tak - odparł Constant. - Mógłbym drogo sprzedać swoją opowieść, posłacać długi za dom i stać się osobistością na skalę międzynarodową. Mógłbym pić z najwybitniejszymi ludźmi i popisywać się przed koronowanymi głowami Europy.

- Wybacz pan, panie Constant - rzekła Beatrycze - że nie doceniam, być może, subtelnej ironii i innych błyskotliwych niuansów pańskiego dowcipu. Odwiedziny męża zawsze ścinają mnie z nóg.

- Pani go już nie widuje, prawda? - spytał Constant.

- Spotkałam się z nim podczas pierwszej materializacji - odparła Beatrycze. - To wystarczyło, żebym poczuła się chora po kres swoich dni.

- Bardzo mi się spodobał - wyznał Constant.

- Szaleńcy miewają czasami sporo uroku - zgodziła się Beatrycze.

- Szaleńcy? - zdziwił się Constant.

- Jako człowiek światowy - odparła Beatrycze - przyzna pan chyba, panie Constant, że osoba, która wygłasza zawile i wysoce nieprawdopodobne przepowiednie, musi być niespełna rozumu.

- Sądzi pani - zapytał Constant - że tak wielką niedorzecznością jest przepowiedzieć podróż kosmiczną komuś, kto ma dostęp do największego z wybudowanych dotąd statków kosmicznych?

Informacja o tym, że Constant ma dostęp do statku kosmicznego, poruszyła Beatrycze do żywego. Poruszyła ją do tego stopnia, że Beatrycze cofnęła się o krok, odrywając własną postać od spirali schodów. Ów mały krok w tył przemienił ją w to, czym była naprawdę: przerażoną, samotną kobietę w przeraźliwie wielkim domu.

- Pan jest właścicielem rakiety? - zapytała.

- Opiekuje się nią jedno z kierowanych przeze mnie towarzystw - wyjaśnił Constant. -

Słyszała pani o „Wielorybie”?

- Tak - odparła Beatrycze.

- Moje towarzystwo sprzedało go rządowi - ciągnął Constant. - Zdaje się, że rząd podskoczyłby z radości, gdyby go ktoś teraz odkupił za, powiedzmy, pięć procent ceny.

- Życzę pomyślnej wyprawy - powiedziała Beatrycze.

Constant skłonił się.

- I nawzajem.

Po tych słowach wyszedł. Przecinając krzykliwą, zodiakalną posadzkę hallu, poczuł, że kręcone schody zdążają teraz nie w górę, lecz w dół. Constant stał się nagie najniższym punktem w trąbie powietrznej losu. Przekraczając próg, miał radosną świadomość, że oto unosi z sobą niezachwiany spokój domostwa Rumfoordów.

Skoro i tak było z góry przesądzone, że on i Beatrycze spotkają się ponownie, aby wydać na świat dziecko imieniem Chrono, Constant nie poczuwał się do obowiązku zabiegania o jej względy, choćby pod postacią kartki z podziękowaniem. Pomyślał, że może spokojnie zająć się własnymi sprawami, bo i tak przyjdzie koza do woza.

Chichocząc, nałożył ciemne okulary i sztuczną brodę, po czym wypuścił się na drugą stronę przez żelazną bramkę w murze.

Limuzyna była już z powrotem. Tłum też.

Policjanci utorowali Constantowi wąski przesmyk do drzwi limuzyny. Constant gwałtownym szusem dopadł samochodu. Przejście natychmiast się zabiżyło, jak Morze Czerwone po przemarszu Dzieci Izraela. Okrzyki tłumu zsumowały się w jeden wielki wrzask zniewagi i bólu. Tłum, któremu niczego nie obiecywano, poczuł się oszukany, gdyż niczego nie otrzymał.

Mężczyźni i chłopcy zabrali się do kamienowania limuzyny Constanta.

Szofer włączył bieg i samochód poczołgał się przez ocean rozwścieczonego mięsa.

Jakiś łysy mężczyzna spróbował dokonać zamachu na życie Constanta, używając w tym celu hot-doga: dziabnął nim w szybę, rozwalił bułkę, złamał parówkę i pozostawił na oknie rozgwiadę musztardy z przyprawami, jakby ktoś narzygał.

- A masz, a masz, a masz! - wrzasnęła niebrzydka młoda kobieta, pokazując Constantowi to, czego prawdopodobnie nie pokazała jeszcze żadnemu mężczyźnie. Pokazała mu, że dwa zęby u góry ma sztuczne. Obydwa wypadły jej na ziemię. Zaskowytała jak wiedźma.

Jakiś chłopiec wgramolił się na karoserię, przesłaniając widok szoferowi. Zerwał wycieraczkę i rzucił je w tłum. Zanim limuzyna dotarła na obrzeża tłumu, minęły trzy kwadranse.

A na obrzeżach nie było już wariatów, lecz ludzie prawie normalni.

Dopiero tutaj okrzyki stały się zrozumiałe.

- Opowiedz nam! - wołał jakiś mężczyzna, przy czym wcale nie był wściekły, tylko zwyczajnie miał dość.

- Mamy prawo! - zawołała jakaś kobieta, demonstrując Constantowi dwójkę udanych dzieci.

Inna wyjaśniła mu, do czego konkretnie tłum w swoim mniemaniu miał prawo:

- Mamy prawo wiedzieć, co się tam dzieje! - zawołała.

Bunt tłumu był, jak widać, ćwiczeniem z zakresu nauki i teologii - żywi usiłowali dociec, na podstawie skąpych, dowodów, co to właściwie jest życie.

Ujrawszy przed sobą otwartą drogę, szofer wcisnął gaz do deski. Limuzyna pomknęła w zawrotnym tempie.

Za oknem mignął gigantyczny plakat: ZAPROŚMY PRZYJACIELA W NIEDZIELĘ NA MSZĘ W WYBRANYM KOŚCIELE!

## Rozdział 2

### Amok w furcie

„Czasami zdaje mi się, że materia, która myśli i czuje, jest wielkim błędem. Za bardzo marudzi. Na tej samej zasadzie można by jednak, jak sądzę, zarzucić głazom, górom i księżycom nadmierny flegmatyzm”.

(-)  
Winston Niles Rumfoord

Limuzyna pomknęła na północ od Newport, skręciła w żwirową drogę i spotkała się z oczekującym na pastwisku helikopterem.

Przesiadka Malachiego Constanta z limuzyny w helikopter miała zapobiec ewentualnym próbom śledzenia go przez kogokolwiek, a co za tym idzie – odkryciu, kim był brodaty, niedowidzący gość Rumfoordów.

Nikt nie wiedział o trasie eskapady Constanta.

Ani szofer, ani pilot nie wiedzieli, kim naprawdę jest ich pasażer. Dla obydwu Constant nazywał się Jonasz K, Rowley.

– Panie Rowley? – zagadnął szofer wysiadającego z limuzyny Constanta.

– Tak? – odparł Constant.

– Nie bał się pan, panie Rowley?

– Bać się? – Constant był szczerze zdumiony pytaniem. – A czego?

– Czego? – powtórzył z niedowierzaniem szofer. – A tych wszystkich wariatów, co nas chcieli zlinczować.

Constant uśmiechnął się i pokręcił głową. Kiedy przedzierał się środkiem roznamietnionego tłumu, przeszło mu kilkakrotnie przez myśl, że może zostać ranny.

– Strach niewiele pomaga, nie sądzi pan? – odparł.

Rozpoznał w tym zdaniu stylistykę Rumfoorda, a nawet i odrobinę jego arystokratycznego zaśpiewu.

– Pan to chyba ma jakiegoś anioła stróża. Wszystko spływa po panu jak woda po kacze – rzekł szofer z podziwem.

Komentarz ten zainteresował Constanta, gdyż z dużą celnością oddawał jego samopoczucie wśród szalejącego tłumu. Constant przyjął go w pierwszej chwili jako metaforę – poetycki obraz własnego nastroju. Osoba strzeżona przez anioła stróża musiałaby się czuć dokładnie tak, jak Constant.

– Mówię panu – ciągnął szofer. – Coś tam pewnie ma na pana oko.

I wówczas Constant doznał olśnienia: -Przecież tak właśnie było.

Aż do tej chwili prawdy Constant traktował incydent w Newport jak kolejną wizję narkotyczną – efekt kolejnej orgii peyotlowej – barwną, zaskakującą, zabawną i całkowicie pozbawioną następstw.

Lilipucia bramka była elementem snu... tak samo jak nieczynna fontanna... i wielki portret nieskazitelnie białej, niedotykańskiej dziewczynki z nieskazitelnie białym kucykiem... i pokój pod schodami, przypominający wnętrze komina... i fotografia trzech syren z Tytana... i prorocтва Rumfoorda... i mieszanie Beatrycze Rumfoord na szczycie schodów...

Malachi Constant oblał się zimnym potem. Kolana drżały mu tak, że mało nie wyskoczyły ze stawów, a oczy wylazły z orbit. Zaczynał powoli rozumieć, że wszystko, co do joty, zdarzyło się naprawdę! Wśród tłumu zdołał zachować spokój, gdyż wiedział, że nie umrze na Ziemi.

Coś tam miało na niego oko, jeszcze jak.

Wszystko jedno, co to było – to coś oszczędzało skórę Constanta na...

Constant zaczął wyliczać na palcach atrakcje turystyczne trasy, którą obiecał mu Rumfoord, dygocąc przy tym na całym ciele.

Mars.

Dalej – Merkury.



Dalej – Ziemia po raz drugi.

Dalej – Tytan.

Skoro trasa kończyła się na Tytanie, właśnie tam zapewne Malachi Constant miał zakończyć życie. Umrzeć! Z czego ten Rumfoord tak się cieszył?

Constant dowłókł się jakoś do helikoptera. Wielkie cielsko rozklekotanej stalowej wazki zakotyssało się, gdy wsiadał do środka.

– To pan jest Rowley? – spytał pilot.

– Zgadza się – odparł Constant.

– Ale imię to pan ma fikuśne, panie Rowley – zauważył pilot.

– Słucham? – bąknął Constant, bliski mdłości. Patrzył przez plastikową kopułę kabiny, patrzył w górę na wieczorne niebo. Zastanawiał się, czy to możliwe, że są tam jakieś oczy – oczy, które widzą – wszystko, co Constant robi. I jeśli te oczy tam są i chcą, aby Constant coś zrobił albo gdzieś się udał – to jak mogą go do tego zmusić.

Mój Boże! Jak pusto i zimno było tam w górze!

– Mówiłem, że dali panu fikuśne imię – powtórzył pilot.

– Co za imię? – zdziwił się Constant, który całkiem zapomniał, jakie to idiotyczne imię wybrał sobie dla mistyfikacji.

– Jonasz – powiedział pilot.

W pięćdziesiąt dziewięć dni później Winston Niles Rumfoord i jego wierny pies Kazak zmaterializowali się ponownie. Od czasu ich ostatniej wizyty wiele się wydarzyło.

Po pierwsze, Malachi Constant wyprzedził wszystkie akcje Wehikułu Międzygwiazdowego – korporacji, która sprawowała pieczę nad ogromnym statkiem kosmicznym o nazwie „Wieloryb”.

Uczynił to, aby odciąć się całkowicie od jedyne go znanego sobie sposobu dotarcia na Marsa.

Zyski ze sprzedaży ulokował w przedsiębiorstwie tytoniowym Księżycowa Poświata.

Po wtóre, Beatrycze Rumfoord zlikwidowała cały swój bogaty portfel zabezpieczeń, a zyski ulokowała w akcjach Wehikułu Międzygwiazdowego, z zamiarem osiągnięcia decydującego wpływu na wszystko, co tyczyło „Wieloryba”.

Po trzecie, Malachi Constant przyjął zwyczaj wysyłania do Beatrycze Rumfoord obraźliwych liścików, aby zrazić ją do siebie jak najgruntowniej i stać się dla niej człowiekiem absolutnie i po wsze czasy nie do zniesienia. Wystarczyło przeczytać jeden z tych listów, aby wyrobić sobie wyobrażenie o całej reszcie. Ostatni, napisany na firmowej papeterii Magnum Opus – korporacji, której jedynym zadaniem była dbałość o interesy Malachiego Constanta – brzmiał następująco: Hej, Kosmiczna Laleczko! Całuski ze słonecznej Kalifornii! Fantastycznie by było przelecieć taką wystrzałową damę jak ty pod bliźniaczymi księżycami Marsa. Nie mogę się doczekać. Tylko takiej nigdy jeszcze nie miałem, a założę się, że to jest gatunek ekstra. Na razie tylko ściskam i całuję – Mal.

Po czwarte, Beatrycze zakupiła kapsułkę cyjanku – o wiele bardziej śmiertelniejszą niż zmija Kleopatry. Zamiarem Beatrycze było przegryźć ją, jeśli by miała kiedykolwiek znaleźć się choćby w tej samej strefie czasowej, co Malachi Constant.

Po piąte, nastąpił krach na giełdzie, który zrujnował między innymi Beatrycze Rumfoord. Za akcje Wehikułu Międzygwiazdowego płaciła ona po 151 i pół, do 169 punktów. W ciągu dziesięciu sesji ceny spadły do 6 i na tym poziomie legły, wahając się okresowo o ułamki punktu. Ponieważ Beatrycze kupowała nie tylko za gotówkę, lecz i na wadium, straciła wszystko, co miała, łącznie z rezydencją w Newport. Pozostało jej tylko trochę ubrań, dobre imię i świadectwo ukończenia gimnazjum dla pańienek z dobrych domów.

Po szóste, w dwa dni po powrocie z Hollywood Malachi Constant wydał wystawny bankiet, który dogasał dopiero teraz, w pięćdziesiąt sześć dni później.

Po siódme, młodzieniec z autentyczną brodą, nazwiskiem Martin Koradubian, ujawnił się jako brodacze zaproszony na materializację do posiadłości Rumfoordów. Był to zegarmistrz od zegarków słonecznych, który mieszkał w Bostonie i łąał z niesamowitym wdziękiem.

Redakcja pewnego tygodnika kupiła jego wspomnienia za trzy tysiące dolarów,

Siedząc w Muzeum Kajtka pod kręconymi schodami, Winston Niles Rumfoord z zachwytem i podziwem czytał opublikowaną w tygodniku opowieść Koradubiana. Koradubian twierdził, że Rumfoord powiedział mu wszystko o dziesięć milionów roku naszej ery.

Rok dziesięciomilionowy miał być, według Koradubiana, rokiem generalnych porządków. Wszystkie dokumenty dotyczące okresu między śmiercią Chrystusa a rokiem milionowym miały zostać wywiezione na śmietniska i puszczone z dymem. A to dlatego, że – zdaniem Koradubiana – muzea i archiwa zaczną do tego czasu literalnie spychać to, co żywe, z powierzchni Ziemi. Okres miliona lat, którego dotyczyło spalone barachło, miał zostać podsumowany w podręcznikach historii jednym zdaniem. Według Koradubiana, zdanie to miało brzmieć: „Po śmierci Jezusa Chrystusa nastąpił okres restabilizacji, który trwał, w przybliżeniu, milion lat”.

Winston Niles Rumfoord roześmiał się i odłożył tygodnik ze wspomnieniami Koradubiana. Nic tak nie mogło uradować Rumfoorda jak fachowo wykonane, piramidalne oszustwo.

– Rok dziesięciomilionowy – rzekł Rumfoord na głos, – Rok fajerwerków, defilad i światowych jarmarków. Wymarzony rok na rozsadzanie kamieni węgielnych i wykopywanie z ziemi puszek zawierających opisy – współczesności, które ludzie z upodobaniem w niej zagrzebywali.

Rumfoord nie mówił bynajmniej sam do siebie. Ktoś towarzyszył mu w Muzeum Kajtka. Tym kimś była jego żona, Beatrycze.

Beatrycze siedziała w fotelu naprzeciwko Rumfoorda. Zeszła na dół, aby zwrócić się do męża o pomoc w godzinie wielkiej potrzeby.

Rumfoord umiejętnie zmienił temat.

Beatrycze, która w białym peniuarze i tak już wyglądała jak duch, zrobiła się sina.

– Człowiek to jednak optymistyczne zwierzę! – rzekł z ożywieniem Rumfoord. – Wyobrażać sobie, że gatunek ludzki przetrwa następne dziesięć milionów lat, jakbyśmy byli zaprojektowani równie optymalnie jak żółwie! – Wzruszył ramionami – A może, kto wie, może rodzaj ludzki właśnie przetrwa tak długo, z czystej przekory. Jak sądzisz?

– Co? – spytała Beatrycze.

– Spróbuj zgadnąć, jak długo jeszcze rasa ludzka posiedzi na Ziemi – zaproponował Rumfoord.

Spomiędzy zaciśniętych zębów Beatrycze wydobył się słaby, przenikliwy, powstrzymywany dźwięk, którego wysokość przekraczała nieomal barierę ludzkiego słuchu. Dźwięk ów zawierał w sobie tę samą zgubną obietnicę, co świst lotek spadającej bomby.

Potem nastąpiła eksplozja. Beatrycze przewróciła fotel, zaatakowała szkielec i cisnęła go w kat, gdzie rozpadł się na kawałki. Opróżniała półki Muzeum Kajtka, roztrzaskując eksponaty o ściany i rozdeptując je na podłodze.

Rumfoord oniemiał.

– Boże święty – wyjąkał. – Dlaczegoś ty to zrobiła?

– Podobno wiesz wszystko – odparła histerycznie Beatrycze. – Podobno nic ci nie trzeba mówić. Poczytaj sobie w moich myślach – i tyle!

Rumfoord przyłożył dłonie do skroni i wybałuszył oczy.

– Szумы... słyszę tylko szумы – powiedział.

– A co byś jeszcze chciał? – piekliła się Beatrycze. – lada chwila znajdę się na bruku, bez grosza przy duszy, a mój mąż się śmieje ze mnie w najlepsze i wymyśla zagadki!

– To nie była zwykła zagadka – przerwał jej Rumfoord. – Prosiłem cię, byś się zastanowiła, ile lat przetrwa jeszcze rodzaj ludzki. Sadziłem, że pomoże ci to ujrzeć własne problemy w odpowiedniej perspektywie.

– Mam gdzieś rodzaj ludzki! – oświadczyła Beatrycze.

– Tak się składa, że do niego należysz – przypomniał jej Rumfoord.

– W takim razie chętnie zamieniłabym się z szympansem! – odparła Beatrycze. – żaden szympan nie stałby spokojnie z boku, patrząc, jak jego żonie odbierają wszystkie banany. Żaden szympan nie starałby się zmienić swej żony w kosmiczną kurwę dla Malachiego Constanta z Hollywood!

Wyrzuciwszy z siebie te straszliwe słowa, Beatrycze spokorniała nieco. Ze znużeniem pokręciła głową.

– A więc, jak długo jeszcze rasa ludzka posiedzi na Ziemi, wielmożny panie? – zapytała.

– Nie wiem – odpowiedział Rumfoord.

– Myślałam, że wiesz wszystko – powiedziała Beatrycze. – Po prostu zajrzyj w przyszłość.

- Zaglądam w przyszłość - rzekł Rumfoord - i widzę, że kiedy rasa ludzka wymrze, nie będzie mnie już w Systemie Słonecznym. Tak więc, koniec jest dla mnie taką samą tajemnicą jak dla ciebie.

W Hollywood, Kalifornia, błękitny telefon w budce ze sztucznego kryształu stojącej tuż przy basenie Malachiego Constanta, dzwonił i dzwonił bez ustanku.

Stoczenie się człowieka do pozycji godnej zwierzęcia jest zawsze faktem żalonym. O ileż większa żalność, jeśli człowiek taki miał przed sobą świetlane perspektywy!

Malachi Constant spał snem opoja w przestronnym rynsztoku swojego basenu w kształcie nerki. Rynsztok wypełniony był ciepłą wodą na głębokość ćwierci cala. Constant miał na sobie niebiesko-zielone wieczorowe slipy i smoking ze złotego brokatu. Ubranie przemokło do suchej nitki.

Był całkiem sam.

Basen był niegdyś szczelnie pokryty falującym dywanem gardenii, lecz uporczywy poranny wietrzyk zepchnął wszystkie kwiaty w jeden kąt. Wyglądało to teraz jak koc zwinięty w nogach łóżka. Zwijając koc, wietrzyk obnażył dno basenu wyłożone odłamkami szkła, wiśniami, zrzynkami skórki od cytryny, petami peyotlu, plasterkami pomarańczy, nadziewanymi oliwkami, surową cebulą, telewizorem, strzykawką i wrakiem białego fortepianu. Na powierzchni unosiły się pety po cygarach i papierosach, także i tych z marihuaną.

Basen przypominał w sumie raczej kocioł piekielny niż urządzenie rekreacyjne.

Jedna ręka Constanta zwisała do basenu. Na zanurzonej w wodzie nadgarstku błysnął zegarek słoneczny. Zegarek nie chodził.

Telefon dzwonił dalej.

Constant wybelkotał coś, ale się nie poruszył. Telefon ucichł. Po upływie dwudziestu sekund rozdzwonił się na nowo.

Constant jęknął, usiadł, znowu jęknął.

Z wnętrza domu dobiegł go energiczny, zwawy stukot wysokich obcasów o posadzkę.

Olśniewająca, pewna siebie blondyna przeszła z domu do budki telefonicznej, po drodze rzucając Constantowi spojrzenie pełne wyniosłej pogardy.

Zuła gumę.

- Taa? - powiedziała do słuchawki. - A, to znowu pan. Tak, obudził się. Hej! - wrzasnęła w kierunku Constanta. Skrzeczała jak kawka. - Hej tam, kosmonauta!

- Mmm? - zainteresował się Constant.

- Dzwoni do ciebie jeden facet, prezes jakiegoś tam towarzystwa.

- Jakiego towarzystwa? - zapytał Constant.

- Jak się nazywa to, czego pan jest prezesem? - zapytała kobieta w słuchawkę. Rozmówca odpowiedział. - Magnum Opus - powtórzyła. - Ransom K. Fern z Magnum Opus.

- Powiedz mu... powiedz mu, że później do niego zadzwonię - zdecydował Constant.

Kobieta przekazała informację i otrzymała w zamian kolejną wiadomość dla Constanta.

- On mówi, że składa wymówienie.

Constant podniósł się niepewnie, pocierając twarz dłońmi.

- Wymówienie? - powtórzył nieprzytomnie. - Stary Fern składa wymówienie?

- No właśnie - potwierdziła kobieta. Uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją. - On mówi, że nie stać cię już na wypłacenie mu poborów. Mówi, żebyś najlepiej przyjechał pogadać z nim osobiście, zanim pójdziesz sobie do domu. - Zaśmiała się. - Mówi, że jesteś spłukany do suchej nitki.

Tymczasem w Newport odgłosy szалу Beatrycze Rumfoord ściągnęły do Muzeum Kajtka lokaja imieniem Moncrief.

- Pani wołała, proszę pani?

- Raczej wrzeszczałam, Moncrief - poprawiła go Beatrycze.

- Pani niczego nie potrzebuje, dziękuję, Moncrief - wtrącił się Rumfoord. - Wdaliśmy się po prostu w ożywioną dyskusję.

- Jak śmiesz podejmować decyzje w moim imieniu - upomniała go wyniosłe Beatrycze.

Zaczynam podejrzewać, że nie jesteś ani w połowie tak wszystkowiedzący, jak udajesz. Tak się składa, że właśnie czegoś potrzebuję, i to bardzo. Potrzebuję kilku rzeczy.

- Słucham panią – rzekł lokaj.
- Chcę, żebyś wpuścił psa do domu – powiedziała Beatrycze. – Chcę go pogłaskać, zanim odejdzie. Chcę się przekonać, czy infundybuła chronosynklastyczna równie skutecznie zabija miłość w psie, jak w człowieku.
- Lokaj skłonił się i wyszedł.
- Niezła komedia, i to na oczach służby – zauważył Rumfoord.
- Ogólnie rzecz biorąc – odparła Beatrycze – mój wkład w dobre imię rodziny jest nieco większy niż twój.
- Rumfoord zwiesił głowę.
- Czy cię w czymś zawiodłem? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?
- W czymś? – powtórzyła Beatrycze. – We wszystkim!
- A co, twoim zdaniem, powinienem był zrobić? – zapytał Rumfoord.
- Mogłeś mnie uprzedzić, że będzie krach na giełdzie! – powiedziała Beatrycze. – Mogłeś mi oszczędzić wszystkiego, co dziś przeżywam.
- Rumfoord zamachał rękami w powietrzu, bezskutecznie przymierzając się do różnych argumentów.
- No? – ponagliła go Beatrycze.
- Szkoda, że nie możemy przenieść się razem w infundybułę chronosynklastyczna – powiedział w końcu Rumfoord. – Mogłabyś wreszcie zrozumieć, o czym mówię. Zapewniam cię, że fakt, iż nie ostrzegłem cię przed krachem giełdowym, należy do porządku naturalnego w – tym samym stopniu, co kometa Halleya. Wściekanie się na jedno czy na drugie ma -dokładnie tyle samo sensu.
- Czyli, że nie masz za grosz charakteru i ani krzty poczucia odpowiedzialności wobec mojej osoby – podsumowała Beatrycze. – Przepraszam za dosadność sformułowania, ale taka jest prawda.
- Rumfoord skłonił głowę i szybkim ruchem odrzucił ją do tyłu.
- Prawda, lecz, mój Boże, jakaż jednostkowa! – westchnął.
- Wycofał się z powrotem za parawan tygodnika. Tygodnik w sposób naturalny otworzył się na rozkładówce, gdzie widniała kolorowa reklama papierosów marki Księżycowa Poświata. Koncern tytoniowy Księżycowa Poświata został niedawno wykupiony przez Malachiego Constanta.
- „Rozkosze głębi!” – głosił slogan reklamowy. Towarzyszące mu zdjęcie przedstawiało trzy syreny z Tytana – białą, złocistą i brązową.
- Palce dłoni Złocistej, spoczywające na jej lewej piersi, były przypadkiem rozstawione, co pozwoliło artyście od reklamy wmalować między nie papierosa marki Księżycowa Poświata. Dym z papierosa snuł się tuż pod nosami Brązowej i Białej, wskutek czego ich bezgraniczna, kosmiczna poządliwość, wydawała się koncentrować wyłącznie na przepojonym mentolem aromacie dymu.
- Rumfoord wiedział, że Constant podejmie próbę zbeczeszczenia zdjęcia poprzez użycie go do celów reklamowych. Ojciec Constanta zachował się niegdyś podobnie, stwierdziwszy, że za żadne skarby nie może kupić oryginału „Mony Lizy” Leonarda da Vinci. Stary Constant ukarał Monę Lizę, używając jej w kampanii reklamowej czopków przeczyszczających. Była to wolnorynkowa forma obcowania z krnąbrnym pięknem.
- Rumfoord samymi ustami wyartykułował buczący dźwięk, który tradycyjnie oznaczał, że zbiera mu się na współczucie. Obiektem współczucia był Malachi Constant, który przeżywał właśnie chwile stokroć gorsze niż Beatrycze.
- Czy to już koniec mowy obrończej? – Spytała Beatrycze, zachodząc Rumfoorda od tyłu. Splotła ramiona, a Rumfoord odczytał w jej myślach, że para ostrych, sterczących łokci przypomina szpady do walki z bykiem.
- , Co mówiłaś? – zapytał.
- Czy to milczenie, to chowanie się za gazetę, oznacza, że wygłosiłaś całą swoją ripostę? – spytała Beatrycze.
- Riposta, celne słówko – odparł Rumfoord. – Ja coś mówię, ty ripostujesz, potem ja ripostuję twoją ripostę, w końcu przychodzi ktoś trzeci i ripostuje nam obojgu. – Rumfoord

zadrzał. – Cóż to za koszmar, nieskończony szereg ludzi, którzy wzajemnie sobie ripostują.

– Czy nie mógłbyś – przerwała mu Beatrycze – udzielić mi w tej chwili kilku typów giełdowych, dzięki którym odzyskałabym wszystko, co straciłam, może być z nawiązką? Jeśli choć trochę się o mnie troszczysz – czy nie mógłbyś powiedzieć mi dokładnie, w jaki sposób Malachi Constant z Hollywood zamierza zwabić mnie na Marsa, żebym go mogła przechytryć?

– Posłuchaj mnie – rzekł Rumfoord. – Dla człowieka, który istnieje jako punkt, życie jest jak kolejka górską. – Odwrócił się i uniół drżące dłonie ku jej twarzy. – Wydarzy ci się mnóstwo różnych rzeczy! Pewnie – ciągnął – że widzę kolejkę, którą podróżujesz, i mógłbym ci oczywiście dać świstek papieru z opisem każdego dołka i zakrętu, ostrzec cię przed każdym straszylem, które wyskoczy z tunelu. Tylko, że to by ci nic nie pomogło.

– Nie rozumiem, dlaczego nie – powiedziała Beatrycze.

– Bo i tak nie możesz wysiąść z tej kolejki – odparł Rumfoord. – To nie ja ją wymyśliłem, nie ja jestem jej właścicielem i nie ja decyduję o tym, kto nią ma podróżować, a kto nie. Ja tylko wiem, jak ona wygląda.

– I Malachi Constant też jest w tej kolejce? – spytała Beatrycze.

– Tak – odparł Rumfoord.

– I nie uda mi się go ominąć? – spytała Beatrycze.

– Nie – odparł Rumfoord.

– W takim razie może byś mi powiedział, jak dojdzie do naszego spotkania – poprosiła Beatrycze. – Żebym przynajmniej mogła zrobić, co się da.

Rumfoord wzruszył ramionami.

– Zgoda, jeśli chcesz – odparł. – Jeśli to ma ci poprawić samopoczucie...

W tej właśnie chwili – ciągnął – prezydent Stanów Zjednoczonych dla ulżenia bezrobociu ogłasza otwarcie Nowej Ery Kosmicznej. Miliardy dolarów wydatkowane zostaną na budowę bezzałogowych statków kosmicznych, tylko po to, aby dać ludziom pracę. Największą atrakcją otwarcia Nowej Ery Kosmicznej będzie wystrzelenie „Wieloryba”, przewidziane na najbliższy wtorek. Na moją cześć nazwa „Wieloryb” zostanie zmieniona na „Rumfoord”. „Rumfoord”, z ekipą małpek-kapucynek na pokładzie, zostanie wystrzelony w kierunku Marsa. I ty, i Constant będziecie oboje uczestniczyć w ceremonii. Ty wejdiesz na pokład, aby dokonać ceremonialnego przeglądu, a wadliwie działający przełącznik wyśle cię w kosmos razem z małpkami.

W tym punkcie wypada przerwać narrację i zaznaczyć, że kit, który Rumfoord wciskał Beatrycze, był jednym z nielicznych kłamstw, jakich ów człowiek się dopuścił.

W opowieści Rumfoorda prawdą było jedynie to, że „Wieloryb” zmieni nazwę i zostanie wystrzelony we wtorek, oraz to, że prezydent Stanów Zjednoczonych ogłaszał właśnie początek Nowej Ery Kosmicznej.

Niektóre z ówczesnych stwierdzeń prezydenta zasługują na zacytowanie – przy czym należy pamiętać, że prezydent ubarwił słowo „rozwój” wymawiając je: „rozbój”. Ubarwił też słowa „hamak” i „hurt”, które w jego wersji brzmiały: „amok” i „furt”.

– Niektórzy rozgłaszają teorię, że gospodarka amerykańska jest przestarzała i chora – oświadczył prezydent. – Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak można głosić takie brednie, skoro nigdy jeszcze w historii ludzkości nie mieliśmy tak wielkich szans rozboju na wszystkich frontach jak obecnie.

Na jednym froncie zwłaszcza możemy osiągnąć szczególny stopień rozboju, a mianowicie na froncie kosmicznym. Kosmos już raz nas odrzucił, ale dzielny naród amerykański nie uznaje odpowiedzi: „nie” tam, gdzie idzie o rozbój.

Ludzie słabego ducha odwiedzają mnie codziennie w Białym Domu – ciągnął prezydent – płacząc i skamłając, i mówiąc mi: „Och, panie prezydencie, hurtownie są zawalone samochodami, samolotami, sprzętem kuchennym i stosem innych produktów. Nikt już, panie prezydencie – tak mi mówią ci ludzie – nie oczekuje od fabryk produkcji nowych dóbr, bo każdy ma wszystkiego po dwa, trzy albo i cztery egzemplarze”.

Jeden z takich ludzi szczególnie utkwiał mi w pamięci, a był to producent amoków, zawalony nadwyżkami, który już nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o tym, że z każdą chwilą przybywa mu nowy amok w furtowni. A ja mu powiedziałem: „W ciągu dwudziestu lat liczba

mieszkańców Ziemi podwoi się i miliardy nowych ludzi zaczną rozglądać się za meblem, na którym mogliby się wyciągnąć, więc niech się pan lepiej trzyma swoich amoków. A póki co – czemu nie miałby pan na jakiś czas zapomnieć o tym całym amoku w furcie i zająć się dla odmiany rozbojem w dziedzinie kosmosu?”

Powiedziałem mu jeszcze... i powtarzam to wam, i chętnie powtórzę każdemu: „Przestrzeń kosmiczna bez trudu wchłonie produkcję trylionów planet wielkości Ziemi. Moglibyśmy bez końca budować i wystrzeliwać rakiety, a i tak nigdy nie zapełnimy przestrzeni i nie dowiemy się o niej wszystkiego”.

Ci sami ludzie, którzy tak lubią płakać i skamleć, mówią mi na to: „No tak, panie prezydencie, ale co z infundybłą chronosynklastyczną, co z tym, co z owym?” A ja im odpowiadam: „Gdyby słuchano takich jak wy, nigdy w ogóle nie doszłoby do rozboju. Nie mielibyśmy ani telefonu, ani nic. A poza tym – mówię im – i mówię to wam, i chętnie powtórzę każdemu – nie musimy wysyłać w kosmos ludzi. Wystarczą nam zwierzęta niższych gatunków”. Przemówienie miało dalszy ciąg.

Malachi Constant z Hollywood, Kalifornia, wyszedł ze sztucznie kryształowej budki telefonicznej absolutnie trzeźwy. Oczy piekły go jak węgle. W ustach czuł smak przywodzący na myśl puree z końskiej derki.

Był absolutnie pewien, że nigdy w życiu nie widział pięknej blondynki.

Zadał jej jedno z klasycznych pytań, jakie zadaje się w chwilach wielkich przemian:

– Gdzie reszta?

– Wyrzuciłeś ich do jasnej cholery – poinformowała go kobieta.

– Naprawdę? – zdumiał się Constant.

– No – potwierdziła kobieta. – A co, film ci się urwał?

Constant z wysiłkiem kiwnął głową. W którymś momencie pięćdziesięciosześciodniowego przyjęcia osiągnął stadium, w którym już nic poza tym nie mogło mu się urwać. Zamierzał uczynić się niegodnym jakiegokolwiek przeznaczenia – niezdolnym do podjęcia jakiegokolwiek misji – stanowczo zbyt niedysponowanym, aby udać się w podróż. Zamiar ten powiódł mu się w zdumiewającym stopniu.

– Dałeś niezły cyrk – zapewniła go dziewczyna. – Przy wrzucaniu fortepianu do basenu bawiłeś się nie gorzej niż inni. A potem, kiedy już chlupnęło, dostałeś spazmów.

– Spazmów – powtórzył głucho Constant. To było coś nowego.

– No – potwierdziła kobieta. – Powiedziałeś, że miałeś bardzo nieszczęśliwe dzieciństwo i kazałeś wszystkim wysłuchiwać, jak bardzo było ono nieszczęśliwe. Opowiadałeś, jak to twój ojciec nigdy nie zagrał z tobą w piłkę, w żadną piłkę. Połowy z tego, co mówiłeś, nikt nie rozumiał, – ale za każdym razem, jak coś docierało do ludzi, historia dotyczyła tego, jak to nigdy nie miałeś żadnej piłki.

Potem mówiłeś o matce – ciągnęła kobieta. – Najpierw, że była kurwą, a potem, że jesteś dumny będąc synem kurwy, jeśli wszystkie kurwy są takie, jak twoja matka. Potem powiedziałeś, że podarujesz szyb naftowy każdej kobiecie, która podejdzie, poda ci rękę i powie na głos, tak, żeby wszyscy słyszeli: „Jestem kurwą, tak samo jak twoja matka”.

– I co dalej? – zapytał Constant.

– Wszystkie dziewczyny dostały po jednym szybie – odparła. – A potem zacząłeś płakać jeszcze gorzej i wyciągnąłeś mnie na środek, i powiedziałeś wszystkim, że jestem jedyną osobą w Systemie Słonecznym, której możesz ufać. Powiedziałeś, że cała reszta tylko czeka, żebyś zasnął, a wtedy wsadzą cię w rakietę i wystrzelą na Marsa. A potem wszystkich oprócz mnie odprawiłeś do domu. Nawet służbę.

Potem poleciliśmy do Meksyku i wzięliśmy ślub, a potem wróciliśmy tutaj – zakończyła. – A teraz przekonałam się, że nie masz nawet własnego nocnika, żeby się przyzwoicie odlać, ani okna, żeby go przez nie wyrzucić. Najlepiej jedź zaraz do biura i dowiedz się, co jest grane, bo mój chłopak jest gangsterem i zabije cię jak psa, jeśli się dowie, że nie mam tu przyzwoitej opieki.

Jasny gwint – dodała. – Ja to dopiero miałam nieszczęśliwe dzieciństwo. Matka kurwa, a ojciec w ogóle nie pokazywał się w domu – ale my jeszcze do tego byliśmy biedni. Ty miałeś przynajmniej miliony dolarów.

W Newport Beatrycze Rumfoord odwróciła się plecami do męża. Stała w drzwiach Muzeum Kajtka, twarzą do korytarza. Z drugiego końca korytarza dobiegał głos lokaja. Lokaj stał w przedsionku, przywołując Kazaka, Psa z Kosmosu.

- Ja też wiem coś niecoś o górskich kolejkach - powiedziała Beatrycze.

- To bardzo dobrze - rzekł beznamiętnie Rumfoord.

- Kiedy miałam dziesięć lat - powiedziała Beatrycze - ojcu ubzdurało się, że przejażdżka górską kolejką sprawi mi wielką frajdę. Spędzaliśmy właśnie wakacje w Cape Cod i wybraliśmy się do wesołego miasteczka, za Fall River.

Ojciec kupił dwa bilety na kolejkę.

Zamierzał jechać razem ze mną.

Spojrzałam na tę kolejkę jeden jedyny raz - ciągnęła Beatrycze - i wydała mi się ona tak idiotyczna, brudna i niebezpieczna, że powiedziałam: „Nie jadę!” Mój własny ojciec nie potrafił mnie nakłonić, żebym wsiadła do środka, mimo że był prezesem komisji Centralnej Kolei Nowojorskiej.

- Odwróciliśmy się na pięcie i wróciliśmy do domu - obwieściła z dumą Beatrycze. Oczy jej rozbłysły, buńczucznie potrząsnęła głową. - Tak właśnie należy traktować górskie kolejki - podsumowała.

Chwiejnym krokiem wyszła z Muzeum Kajtka i skierowała się do hallu, by tam czekać pojawienia się Kazaka.

Po chwili wyczuła za plecami elektryzującą obecność męża.

- Bea - rzekł Rumfoord - jeśli zachowuję pozorną obojętność wobec twoich nieszczęść, to tylko dlatego, że wiem, jak świetnie się zakończy. Jeśli posądzasz mnie o bezduszość, bo nie wzdragam się przed wizją sparzenia ciebie z Constantem, uwierz, że jest to z mojej strony jedynie pokorne uznanie faktu, że Constant będzie dla ciebie znacznie lepszym mężem, niż ja sam kiedykolwiek bytem lub będę.

Przygotuj się na to, że zakochasz się naprawdę, po raz pierwszy w życiu - ciągnął. -

Przygotuj się na to, że będziesz postępowała jak wielka dama, bez żadnych zewnętrznych oznak tego, że jesteś wielką damą. Przygotuj się na to, że nie pozostanie ci nic poza własną godnością, inteligencją i wrażliwością, którymi obdarzył cię Pan Bóg. Przygotuj się na to, że z tych wyłącznie darów uczynisz coś niezwykłego.

Rumfoord jęknął metalicznie. Zaczął tracić materialną powłokę.

- Mój Boże - westchnął - ty mi mówisz o kolejkach górskich. Pomyśl sobie kiedyś o tej kolejce, w której ja się znalazłem. Pewnego dnia, na Tytanie, dowiesz się, jak bezwzględnie mnie wykorzystano, do jakich obrzydliwie niskich celów, i kto tego dokonał.

W tym momencie do domu wpadł Kazak; jego obwisłe wargi fruwały jak proporce.

Z rozpędu pojechał na łapach po wypolerowanej posadzce.

Chwilę dreptał w miejscu, usiłując wykonać skręt pod kątem prostym w kierunku Beatrycze.

Przebierał nogami coraz szybciej, a mimo to nie udawało mu się posunąć do przodu.

Stał się przezroczysty.

Zaczął się kurczyć i wirować obłąkańczo na posadzce hallu, jak piłka pingpongowa na patelni.

Wreszcie znikł.

Już było po psie.

Beatrycze bez oglądania się za siebie wiedziała, że jej małżonek także zniknął.

- Kazak? - szepnęła z wysiłkiem. Strzeliła palcami, jakby chciała przywołać psa. Jej palce nie miały dość siły, aby wydać jakikolwiek dźwięk.

- Dobry piesek - szepnęła Beatrycze.

### Rozdział 3

Stawiam na ciepłe bułki

„Mówią, mój synu, że w tym kraju nie ma monarchii – a chcesz, żebym ci powiedział, jak zostać królem Stanów Zjednoczonych Ameryki? Wystarczy wpaść do dziury w klozecie i wyjść stamtąd rozsiewając zapach róż”.

(-)

Noel Constant

Magnum Opus – towarzystwo z siedzibą w Los Angeles, które prowadziło interesy Malachiego Constanta – zostało założone przez jego ojca. Mieściło się ono w trzydziestojednopiętrowym budynku. Magnum Opus, będąc w posiadaniu całego budynku, zajmowało tylko trzy najwyższe kondygnacje, resztę zaś dzierżawiły kontrolowane przez nie spółki.

Niektóre spółki, sprzedane ostatnio przez Magnum Opus, właśnie się wyprowadzały. Inne, zakupione ostatnio przez Magnum Opus, właśnie się wprowadzały.

Lokatorami byli, między innymi: Wehikuł Międzygwiazdny, Księżycowa Poświata, Nafta Fandango, Koleje Wąskotorowe Lennox, Kąsek, Środki Farmakologiczne „Sanitariuszka”, Siarka Lewisa-Marwina, Aparatura Elektroniczna Dupree, Piecoelektryk Uniwersalny, Psychoanaliza Niezależna, Towarzystwo Eda Muira, Maszyny Rolnicze „Dobra Robota”, Farby i Lakier Wilkinsona, Amerykańskie Towarzystwo Lewitacyjne, Lotem Bliżej, Koszule „Król Relaksu”, a także Wzór Cnót – spółka do spraw nagłych wypadków i Kalifornijskie Towarzystwo Ubezpieczeniowe.

Budynek Magnum Opus był smukłym, pryzmatycznym, dwunastościennym punktowcem.

Całą powierzchnię ścian pokrywały niebieskozielone szyby, dołem przechodzące w róż.

W interpretacji architekta dwanaście ścian miało symbolizować dwanaście największych religii świata. Nikt jakoś nie kazał architektowi wyliczyć owych religii.

I całe szczęście, gdyż nie uzyskałby odpowiedzi.

Na dachu znajdowało się prywatne lądowisko dla helikopterów.

Cień i szum śmigieł helikoptera Constanta, który osiadał właśnie na lądowisku, skojarzył się wielu ludziom na dole z cieniem i szumem skrzydeł świetlistego Anioła Śmierci. Skojarzenie to było wynikiem krachu na giełdzie, niedostatku pieniędzy i pracy...

A zwłaszcza tego, że najgłębszy krach, który pociągnął za sobą resztę, dotknął liczne przedsiębiorstwa Malachiego Constanta.

Constant sam pilotował helikopter, gdyż cała jego służba złożyła w przeddzień wymówienie. Constant był beznadziejnym pilotem. Osadził maszynę z impetem, od którego zadrżał cały gmach.

Constant przybył na konferencję z Ransomem K. Fernem, prezesem Magnum Opus.

Fern oczekiwał Constanta na trzydziestym pierwszym piętrze, które było jednym wielkim pomieszczeniem – gabinetem Constanta.

Wystrój gabinetu był dość niesamowity, gdyż meble w ogóle nie miały nóg. Każdy przedmiot podwieszony był magnetycznie na odpowiedniej wysokości.

Stoły, biurko, barek i kanapy unosiły się swobodnie w postaci blatów. Fotele dryfowały w postaci odchylonych do tyłu kubałków. A najbardziej niesamowite wrażenie sprawiały rozproszone wszędzie ołówki i notesy, gotowe służyć każdemu, kogo olśniłby akurat pomysł wart zanotowania.

Dywan był zielony jak trawa, a to z tej prostej przyczyny, że istotnie była to trawa – żywa trawa, gęsta jak na polu golfowym.

Malachi Constant prywatną windą zjechał z lądowiska do gabinetu. Kiedy drzwi windy rozsunęły się z cichym świstem, Constant stanął zdumiony beznogim umeblowaniem i dryfującą w powietrzu papeterią. Nie zaglądał do biura od ośmiu miesięcy. Ktoś przemeblował mu gabinet. Ransom K. Fern, podstarzały prezes Magnum Opus, stał przy oknie, które biegło od podłogi do sufitu, i wyglądał na miasto. Ubrany był w czarny pilśniowy kapelusz i czarny trenecz. Pod pachą dzierżył bambusową laseczkę. Był niewiarygodnie chudy – jak zwykle.

– Dupka jak u zajaczka – mawiał o Fernie ojciec Malachiego Constanta. – Ransom K. Fern jest jak wielbłąd, który strawił już zawartość obu garbów, a teraz spala całą resztę, z wyjątkiem



włosów i gałek ocznych.

Według danych, które opublikowało Biuro Urzędu, Skarbowego, Fern był najlepiej opłacanym urzędnikiem w kraju. Jego pensja wynosiła okrągły milion dolarów, rocznie – plus prawo kupna akcji po cenach nominalnych i dodatek drożyzniany.

Fern przyszedł do Magnum Opus mając dwadzieścia dwa lata. Teraz miał sześćdziesiąt.

– Ktoś... Ktoś tu zrobił przemeblowanie – wydukał Constant.

– Tak – odparł Fern, nie odwracając się od okna. – Istotnie.

– To pan? – Zapytał Constant.

Fern pociągnął nosem, nie spiesząc się z odpowiedzią.

– Sądziłem, że powinniśmy okazać lojalność produktom własnej firmy.

– Ja... nigdy czegoś podobnego nie widziałem – wyjąkał Constant. – Latające meble... Bez nóg...

– Siła magnetyczna – wyjaśnił Fern.

– No tak... Tak, jak się człowiek trochę oswoi z tym widokiem, wygląda to nawet wspaniale

– powiedział Constant. – Któraś z naszych firm – „produkuje te rzeczy?

– Amerykańskie Towarzystwo Lewitacyjne – objaśnił Fern. – Kazał pan kupić, więc kupiliśmy.

Ransom K. Fern odwrócił się od okna. Jego twarz stanowiła niepokojącą kombinację dziecińności i starości. Nie było w niej ani śladu pośrednich stadiów procesu starzenia się – ani śladu po mężczyźnie trzydziesto-, czterdziesto- czy pięćdziesięcioletnim, który przecież pozostał w tyle. Tylko wiek młodzieńczy i starość. Tak jakby siedemnastolatek pomarszczył się gwałtownie i wyblakł od fali gorąca.

Fern czytywał dwie książki dziennie. Mówi się, że ostatnim człowiekiem obeznanym z całą współczesną sobie kulturą był Arystoteles. Ransom K. Fern w znacznym stopniu zbliżył się do osiągnięć Arystotelesa. Miał tylko trochę mniej szczęścia w systematyzowaniu własnej wiedzy.

Intelektualna góra porodziła filozoficzną mysz – Fern sam najgłośniej przyznawał, że była to mysz, w dodatku mocno niemrawa. A oto jak Fern wykladał swoją filozofię życiową w przeciętnej towarzyskiej rozmowie, przy użyciu najprostszych terminów:

– Podchodzisz, dajmy na – to, do człowieka – i mówisz: „Jak leci, Joe?” A on ci na to:

„Świetnie, świetnie, lepiej być nie może”. A ty patrzysz mu w oczy i widzisz przecież, że trudno gorzej. Jak się tak dobrze przyjrzeć, wszystkim układa się parszywie, wszystkim bez wyjątku?

Z czego, psia mać, – wniosek, że człowiekowi nic nie jest w stanie pomóc.

Fern nie przejmował się zbyt własną filozofią. Nie popadał z jej powodu w medytacje.

Stał się za to dzięki niej bezlitośnie czujny.

Pomagała mu też w interesach, gdyż w oparciu o nią Fern automatycznie zakładał, że człowiek, z którym ma do czynienia, jest znacznie słabszy i znacznie bardziej wszystkim znudzony, niż na to wygląda.

Bywało, że wypowiedane półgębkiem komentarze Ferna bawiły ludzi – ale tylko tych o mocnych żołądkach.

Jego sytuacja życiowa – praca u Noela, a następnie Malachiego Constanta – sprawiła, że prawie wszystko, co mówił, brzmiało tragikomicznie. Fern przewyższał, bowiem obu Constantów, papę i syna, pod każdym względem – za wyjątkiem jednego, a był to zarazem jedyny naprawdę liczący się wzgląd. Otóż, ograniczeni, prostacy i nieokrzesani Constantowie mieli nieprzebrane pokłady szczęścia w życiu.

Przynajmniej dawniej.

Malachi Constant nie przyjął jeszcze do wiadomości, że jego dobra passa minęła – i to bezpowrotnie. Nie przyjął tego do wiadomości, wbrew przerażającym wieściom, których Fern nie szczędził mu przez telefon.

– Wie pan co – odezwał się Constant z niedowierzaniem. – Im dłużej przyglądam się tym meblom, tym bardziej mi się one podobają. To się powinno sprzedawać jak ciepłe bułki.

Kiedy Malachi Constant zaczynał mówić o interesach, efekt był groteskowy i odpychający?

Podobnie bywało z jego ojcem. Stary Noel Constant nigdy nie znał się na biznesie, tak samo jak jego syn, a wszelkie zawiązki uroku osobistego, jakim obdarzeni zostali Constantowie, pierzchały w chwili, gdy zaczynali oni przypisywać własne sukcesy temu, że potrafią odróżnić

konia od karety.

Miliarder optymistyczny, agresywny, przebiegły – było to coś wręcz nieprzyzwoitego.

-, Jeśli chce pan znać moje zdanie – oświadczył Constant – uważam, że to była całkiem przyzwoita inwestycja, myślę o firmie, która robi te meble.

– Stawiam na ciepłe bułki – powiedział Fern. Ciepłe Bułki był to ulubiony dowcip Ferna.

Ileż to ktoś przychodził do niego z prośbą o poradę, w co zainwestować, aby przez sześć miesięcy wzbogacić się w dwójnasób, Fern z całą powagą radził mu ulokować pieniądze w tym właśnie fikcyjnym przedsiębiorstwie. Bywało, że ludzie próbowali pójść za jego radą.

– Łatwiej utrzymać się na stojąco w dłubance z brzoźowego pnia, niż usiedzieć na kanapie firmy Amerykańska Lewitacja – oświadczył cierpko Fern. – Niech się pan z łaski swojej walnie w jeden z tych tak zwanych foteli, a wystrzeli on panem w ścianę jak kamieniem z procy. Niech pan przysiadzie na krawędzi biurka, a zawiruje pan razem z nim po pokoju jak brat Wright na „Kitty Hawk”.

Constant leciutko dotknął blatu biurka. Błat zadrżał nerwowo.

– Pewnie jeszcze trochę niedopracowane – usiłował ratować sytuację Constant.

– Święte słowa – odparł Fern.

Constant złożył w tym miejscu oświadczenie, do jakiego życie nigdy go jeszcze nie zmusiło.

– Człowiek ma prawo czasem się pomylić.

– Czasem? – Fern w zdumieniu uniósł brwi. – Od trzech miesięcy nie robi pan nic poza podejmowaniem błędnych decyzji. Udało się panu dokonać tego, co dotąd uważałem za niemożliwe: zdołał pan doszczętnie zaprzepaścić wyniki czterdziestu bez mała lat owocnych poszukiwań – a nawet jeszcze więcej.

Ransom K. Fern ujął zawieszony w powietrzu ołówek i przełamał go na pół.

– Magnum Opus nie istnieje. Pan i ja jesteśmy jedynymi osobami, jakie pozostały w tym gmachu. Wszyscy inni wzięli pieniądze i wynieśli się do domu.

Fern skłonił się i zwrócił ku wyjściu.

– Od tej chwili centrala łączy wszystkie telefony bezpośrednio z aparatem na pańskim biurku. I proszę pamiętać, panie Constant, sir, o zgaszeniu światła i zamknięciu drzwi na klucz, kiedy będzie pan wychodził.

W tym miejscu wypadałoby przypomnieć historię korporacji Magnum Opus.

Na początku był pomysł, który narodził się w głowie pewnego Jankesa – wędrownego sprzedawcy miedzianych naczyń kuchennych. Jankes ów nazywał się Noel Constant, urodzony w New Bedford, Massachusetts. Ojciec Malachiego.

Ojcem Noela z kolei był Sylvanus Constant, mechanik w warsztatach tkackich New Bedford Mills z Nattaweeny, będących filią spółki wełnianej Wielka Republika. Sylvanus Constant był anarchista, ale nigdy nie miewał z tej racji kłopotów, najwyżej ze strony małżonki.

Drzewo genealogiczne Constantów sięgało, poprzez nieprawe łożo, do Benjamina Constanta, trybuna napoleońskiego w latach 1799-1801 i kochanka Anny Luizy Germaine Necker, baronowej de Staël-Holstein, żony ówczesnego ambasadora szwedzkiego we Francji.

Tak czy owak, pewnej nocy w Los Angeles, Noel Constant postanowił zostać spekulantem.

Miał wówczas lat trzydzieści dziewięć, był kawalerem, nieatrakcyjnym tak pod względem fizycznym, jak i duchowym, a ponadto niesamowitym pechowcem w interesach. Pomysł zostania spekulantem przyszedł mu do głowy, gdy Constant siedział samotnie na wąskiej kozetce w pokoju 223 hotelu Wilburhampton.

Najdoskonalszy w historii twór korporacyjny, którego właścicielem był jeden człowiek, nie mógł mieć u swych narodzin nędzniejszej kwatery. Pokój numer 223 w hotelu Wilburhampton mierzył jedenaście stóp na osiem i nie miał ani telefonu, ani biurka.

Miał za to łóżko, toaletkę z trzema szufladami, stare gazety, którymi wyłożono szuflady, oraz, w pierwszej szufladzie od dołu, Biblię Gideona. Na płachcie gazety, którą wyłożona była środkowa szuflada, widniały notowania giełdowe sprzed czternastu lat.

Jest taka zagadka:

Jak by przeżył człowiek w wieży

Mając tylko zegar i ciężką robotę?

Odpowiedź: Odżywałby się czasem

A popijał potem.

Zagadka ta jest, na dobrą sprawę, wiernym opisem genezy Magnum Opus. Środki, jakimi Noel Constant wznosił swoją fortunę, były niewiele bardziej pożywne niż czas.

Magnum Opus powstało w oparciu o pióro, książeczkę czekową, kilka kopert rozmiarów czeku bankowego z nadrukiem rządowym. Biblię Gideona oraz konto bankowe w wysokości ośmiu tysięcy dwustu dwunastu dolarów.

Wysokość konta określała udział Constanta w majątku trwałym jego ojca-anarchisty.

Majątek obejmował po większej części obligacje rządowe.

Noel Constant miał ponadto plan inwestycyjny. Dziecinnie prosty. Jego doradcą inwestycyjnym miała być Biblia.

Bywali tacy, którzy przestudiowawszy system inwestycyjny Constanta twierdzili, że albo jest on geniuszem, albo dysponuje fantastyczną siatką szpiegów przemysłowych.

Constant bezbłędnie typował czarne konie na wiele dni lub godzin przed ich pojawieniem się na giełdzie. W ciągu dwunastu miesięcy, nie opuszczając prawie pokoju 223 w hotelu Wilburhampton, Constant powiększył swój majątek do miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Dokonał tego nie będąc geniuszem i nie zatrudniając szpiegów.

System Constanta był tak idiotycznie prosty, że niektórzy do dziś nie są w stanie go pojąć, mimo wielokrotnych tłumaczeń. Ludzie niezdolni pojąć system Constanta to ci, którzy dla spokoju własnego sumienia kurczowo trzymają się przesądu, że wielka fortuna może być jedynie produktem wielkiej inteligencji.

System Noela Constanta był następujący:

Constant wziął Biblię, stanowiącą integralną część wyposażenia pokoju, i odczytał pierwsze zdanie Księgi Rodzaju.

Pierwsze zdanie Księgi Rodzaju – jak niektórzy, być może, już wiedzą – brzmi: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”. Noel Constant przepisał to zdanie drukowanymi literami, po każdej literze postawił kropkę, a następnie połączył litery w pary, wskutek czego zdanie wyglądało następująco: „NA, P.O., C.Z., A.T., K.U., S.T., W.O., R.Z., Y.Ł., B.Ó., G.N., I.E., B.O.. I.Z., I.E., M.I., E.”

Po czym szukał spółek o tych inicjałach i kupował ich akcje. Na początek przyjął zasadę inwestowania całego kapitału w jedną tylko spółkę i odsprzedawania akcji w momencie, gdy ich wartość się podwajała.

Jego pierwszą inwestycją był Narodowy Amoniak. Potem przyszła kolej na Pinkerton-Odkurzacze, Czysty Zysk, Akumulatory „Test”, Kontenery „Ufność”, Specjalność Teksasu, „Więź” – Odlewnictwo, Remonty-Złomowanie, „Yale” – „Łuczniczka”, Baterie „Omega”. Program działania na najbliższe dwanaście miesięcy uwzględnił kolejno: „Granadę” – Nafta, Instalacje Elektryczne. Bystre Oko, Instytut Ziemiaka, Inkubatory „Epoka” oraz Mikroaeroplany „Ikar”.

Co do ostatniej spółki, Constant zakupił ją w całości.

W dwa dni później „Ikar” otrzymał długoterminowy kontrakt rządowy na budowę raket międzykontynentalnych, dzięki któremu stał się wart – szacując bardzo oszczędnie – pięćdziesiąt dziewięć milionów dolarów. Noel Constant kupił go za dwadzieścia dwa miliony.

Noel Constant wydał w sprawie spółki jedną jedyną decyzję wykonawczą. Decyzja miała formę polecenia, wypisanego na pocztówce z adresem zwrotnym „Hotel Wilburhampton”.

Pocztówka, adresowana do prezesa spółki, nakazywała zmienić nazwę firmy na Wehikuł Międzygwiazdny, jako że spółka dawno już wyszła poza eksperymentowanie na konstrukcjach helikopterowych.

Fakt wykorzystania przez Constanta władzy – jakkolwiek w skromnym stopniu – miał w istocie wielkie znaczenie, dowodził bowiem, że Constant po raz pierwszy w życiu zainteresował się czymś, co posiadał. I mimo że wartość akcji firmy „Ikar” dawno się już podwoiła, Constant nie sprzedał ich w całości. Sprzedał zaledwie czterdzieści dziewięć procent. Od tego czasu Constant nadal korzystał z doradztwa Biblii Gideona, lecz jeśli trafił na firmę, która naprawdę mu się spodobała, zatrzymywał w niej dla siebie spory udział.

Przez pierwsze dwa lata, w pokoju 223 hotelu Wilburhampton Noela Constanta odwiedzał

tylko jeden gość. Gość ten nie wiedział, że Constant jest bogaty. Gościem tym była pokojówka, Florencja Whitehill, która za skromną opłatą spędzała z Constantem co dziesiątą noc. Podobnie jak cały pozostały personel hotelu Wilburhampton, Florencja wierzyła, że Constant handluje znaczkami pocztowymi. Higiena osobista nie była mocną stroną Noela Constanta. Nietrudno było uwierzyć, że z racji uprawianego zawodu ma on częsty kontakt z substancjami klejącymi.

Jedynymi ludźmi, którzy znali bogactwo Constanta, byli pracownicy Biura Urzędu Skarbowego i renomowanej firmy Clough i Higgins, zajmującej się księgowością.

Po dwóch latach do pokoju 223 wszedł drugi gość.

Drugim gościem był chudy, czujny, niebieskooki mężczyzna, lat dwadzieścia dwa.

Przedstawivszy się jako pracownik Biura Urzędu Skarbowego Stanów Zjednoczonych, pozyskał on z miejsca baczną uwagę Noela Constanta.

Constant zaprosił młodzieńca do środka i wskazał mu miejsce do siedzenia na łóżku. Sam nie siadał.

- Przysłali mi chłopczyka, co? - zagadnął Noel Constant.

Gość nie wydawał się tym urażony. Obrócił żart na własną korzyść, włączając go do mrożącej krew w żyłach wizytówki własnej osoby:

- Chłopczyka o sercu z kamienia i mózgu jak komputer, panie Constant. Poza tym, ukończyłem Harvard Bussiness School.

- Możliwe - zgodził się Constant. - Ale i tak nic mi pan nie robi. Nie jestem winien Rządowi Federalnemu ani centa.

Smarkaty gość kiwnął głową.

- Wiem, wiem - powiedział. - Wszystko się zgadza, jak w zegarku.

Młodzieniec rozejrzał się po pokoju. Nędza go nie zdziwiła. Był wystarczająco oblatany, aby spodziewać się, że trafi na nienormalną sytuację.

- Od dwóch lat zajmuję się pańską sytuacją dochodowo-podatkową - oświadczył - i, według moich obliczeń, nikt na świecie nie ma tyle szczęścia, co pan.

- Szczęścia? - powtórzył Noel Constant.

- Tak sądzę - potwierdził gość. - A pan nie? Proszę mi na przykład powiedzieć, co produkuje spółka Czysty Zysk.

- Czysty Zysk? - powtórzył z roztargnieniem Noel Constant.

- Przez okres dwóch miesięcy pański udział w tej spółce wynosił pięćdziesiąt trzy procent - poinformował go młodzieniec.

- No... podnośniki do... podnoszenia różnych przedmiotów - dukał niepewnie Noel Constant.

- I rozmaite produkty uboczne.

Gość uśmiechnął się, wywijając górną wargę.

- W takim razie miło mi pana powiadomić, że Czysty Zysk to nazwa, którą rząd podczas ostatniej wojny nadał tajnemu laboratorium, zajmującemu się badaniem podwodnych urządzeń nasłuchowych. Po wojnie laboratorium sprzedano prywatnemu przedsiębiorcy, nazwy zaś nie zmieniano, gdyż prace miały nadal charakter ściśle tajny, a jedynym klientem spółki pozostał rząd.

A może mi pan powie - ciągnął młodzieniec - czego takiego dowiedział się pan o Specjalności Teksasu, że uznał pan tę spółkę za godną inwestycji? Myślał pan może, że wyrabiają tam kowbojskie kapelusze i colty na kapiszony?

- Czy Urząd Skarbowy żąda ode mnie wyjaśnień w tych sprawach? - zapytał Noel Constant.

- Każe mi pan opisać ze szczegółami każdą firmę, bo w przeciwnym razie stracę wszystkie pieniądze?

- Pytałem z ciekawości. Sądząc z pańskiej reakcji, nie ma pan zielonego pojęcia o profilu produkcji Specjalności Teksasu. Chcę więc poinformować pana, że Specjalność Teksasu w ogóle nie zajmuje się produkcją, a jedynie posiada patenty urządzeń do bieżnikowania opon.

- Może byśmy tak przeszli do spraw Biura Urzędu Finansowego - przerwał mu cierpko Constant.

- Ja już tam nie pracuję - odparł młodzieniec. - Dziś rano zrezygnowałem z posady, która dawała mi sto czternaście dolarów tygodniowo, a zrobiłem to po to, by podjąć pracę za dwa

tysiące tygodniowo.

- U kogo mianowicie? - zainteresował się Constant.

- U pana - odparł młodzieniec. Wyciągnął dłoń i przedstawił się: - Ransom K. Fern.

Pewien profesor w Harvard Business School - ciągnął - powtarzał mi zawsze, że jestem bystry, ale jeśli chcę dojść do pieniędzy, muszę „trafić na swojego faceta”. Nie chciał mi nigdy wyjaśnić, co to znaczy. Mówił, że prędzej czy później sam się dowiem. Zapytałem go, jak mam szukać swojego faceta, a on poradził mi, żebym na jakiś rok zaczepił się w Biurze Urzędu Skarbowego.

Kiedy sobie przejrzałem pańskie kwity podatkowe, panie Constant, olśniło mnie nagle, że już wiem, co mój profesor miał na myśli. Chodziło mu o to, że jestem bystry i rzetelny, ale nie mam zbyt wiele szczęścia w życiu. Musiałem trafić na kogoś, kto miałby niewiarygodnie dużo szczęścia. No i trafiłem.

- Dlaczego miałbym panu płacić dwa tysiące dolarów tygodniowo? - zdziwił się Constant. - Widzi pan, jak mieszkam i kto się mną zajmuje, i wie pan, jak im za to płacę.

- Tak - przyznał Fern. - Ale ja mogę panu w tej chwili pokazać, gdzie można było zarobić dwieście milionów, a pan zarobił pięćdziesiąt dziewięć. Pan nie ma zielonego pojęcia o prawie handlowym, o prawie podatkowym, nawet o zwykłej procedurze handlowej.

W tym miejscu Fern, by udowodnić swoje słowa, zademonstrował Noelowi Constantowi, ojcu Malachiego, schemat organizacyjny zatytułowany Magnum Opus Incorporated. Była to idealna machina do gwałcenia tysięcy przepisów bez konieczności wdawania się w kolizję choćby i z kodeksem drogowym.

Noel Constant był tak zachwycony tym pomnikiem ku czci hipokryzji i trzeźwej praktyki, że natychmiast zdecydował się na dokonanie zakupu bez konsultacji z Biblią.

- Panie Constant, sir - powiedział Fern. - Czy pan nic nie rozumie? Magnum Opus to jest właśnie pan, pan jest przewodniczącym zarządu, a ja dyrektorem. W tej chwili Urząd Skarbowy widzi pana, panie Constant, jak na dłoni, jak sprzedawcę jabłek na rogu ulicy. A proszę sobie tylko wyobrazić, jak trudno byłoby podglądać pana w biurowcu utkanym aż po dach przemysłowymi biurokratami - ludźmi, którzy ciągle coś gubią, używają złych formularzy, wymyślają nowe formularze, wszystkiego żądają w czterech egzemplarzach i rozumieją najwyżej jedną trzecią z tego, co się do nich mówi; ludźmi, którzy bez przerwy udzielają mylnych odpowiedzi, aby zyskać czas do namysłu, którzy decyzje podejmują tylko na wyraźne polecenie, a potem zacierają po sobie ślady; ludźmi, którzy z całą powagą myślą się w dodawaniu i odejmowaniu, którzy, gdy mają chandrę - zwołują zebrania, a gdy czują się odtrąceni - piszą pamiętniki; ludźmi, którzy nigdy niczego nie wyrzucają, chyba że chodzi o rzecz, za którą sami mogliby wylecieć. Każdy biurokrata, pod warunkiem, że będzie odpowiednio energiczny i pomysłowy, jest w stanie wyprodukować rocznie tonę absolutnie bezsensownych papierów na użytek Biura Urzędu Skarbowego. W gmachu Magnum Opus takich biurokratów zasiądą tysiące! A pan i ja możemy zająć dwa najwyższe piętra i będzie pan mógł spokojnie śledzić bieżącą sytuację, dokładnie tak jak teraz. - Fern rozejrzał się po pokoju. - A właśnie, jak pan to teraz robi? Pisze pan wypaloną zapałką po marginesach książki telefonicznej?

- W głowie - odparł krótko Constant.

- Muszę wymienić jeszcze jedną zaletę współpracy ze mną - rzekł Fern. - Któregoś dnia szczęście się od pana odwróci. I wtedy będzie pan potrzebował najbystrzejszego, najbardziej bezwzględного z menadżerów, inaczej bowiem stoczy się pan z powrotem do rondli i patelni.

- Zatrudniam pana - oświadczył Noel Constant, ojciec Malachiego.

- Gdzie ma stanąć nasz gmach? - zapytał Fern.

- Jestem właścicielem tego hotelu, a do hotelu należy tamten kawałek placu po drugiej stronie ulicy - odparł Noel Constant. - Wybudujcie go na tym kawałku po przeciwnej stronie. - Constant uniósł palec wskazujący, koślawy jak kolanko w zlewie. - Jeszcze jedno - powiedział.

- Słucham, sir?

- Ja nie mam zamiaru się przenosić - oświadczył Noel Constant. - Zostaję tutaj.

Kto życzyłby sobie przeszedźć losy korporacji Magnum Opus w szczegółach, może się udać do najbliższej biblioteki i poprosić bądź to o romantyczne „Nierealne marzenie” Laviny Waters, bądź też o brutalnie męskie „Na szali” Crowthera Gomburga.

Dzieło pani Waters, jakkolwiek niezadowolające w opisie sfery zawodowej, doskonale oddaje dzieje Florencji Whitehill, która najpierw odkryła, że Noel Constant zrobił jej dziecko, a następnie, że jest on multi-multimilionerem.

Noel Constant poślubił pokojówkę i ofiarował jej rezydencję oraz konto czekowe w wysokości miliona dolarów. Następnie kazał jej ochrzcić dziecko imieniem Malachi – jeśli będzie to chłopiec, albo Prudencja – jeśli to będzie dziewczynka. Poprosił też Florencję, aby była uprzejma nadal odwiedzać go co dziesięć dni w pokoju 223 hotelu Wilburhampton, ale by pod żadnym pozorem nie przynosiła tam dziecka.

Książka Gomburga – bez zarzutu, jeśli idzie o opis sfery zawodowej – ucierpiała znacznie wskutek głównej tezy autora, który uważa Magnum Opus za owoc porozumienia ludzi oziębłych uczuciowo. Czytając między wierszami, można bez trudu utwierdzić się w przekonaniu, że Gomburg sam jest niekochany i oziębły uczuciowo.

Tak się złożyło, że ani Lavina Waters, ani Gomburg, nie rozszyfrowali metody inwestycyjnej Noela Constanta. Nie rozszyfrował jej także Ransom K. Fern, chociaż bardzo się starał.

Jedynym człowiekiem, któremu Noel Constant zdradził swój sekret, był jego syn, Malachi. Stało się to w dniu dwudziestych pierwszych urodzin Malachiego. Przyjęcie urodzinowe na dwie osoby obchodzono w pokoju 223 hotelu Wilburhampton. Ojciec i syn spotkali się wówczas po raz pierwszy w życiu.

Malachi przybył do hotelu na zaproszenie Noela.

Ponieważ człowiek jest tylko człowiekiem, Malachi Constant poświęcił znacznie więcej uwagi pewnemu szczegółowi wyposażenia pokoju niż recepcie na zarobienie milionów, czy nawet miliardów, dolarów.

Przepis na zrobienie wielkiej fortuny był w istocie tak idiotycznie prosty, że nie wymagał zbyt wielkiego wysiłku uwagi. Najbardziej skomplikowana jego część dotyczyła formy przejęcia przez Malachiego pałeczki Magnum Opus, kiedy Noel w końcu będzie gotów ją oddać. Młody Malachi miał wówczas poprosić Ransoma K. Ferna o chronologiczną listę inwestycji Magnum Opus, która to lista, czytana z góry na dół, pozwoli mu stwierdzić, jak daleko zabrnął w Biblię Noel Constant i w którym miejscu on, Malachi, ma podjąć dzieło.

Szczegółem wyposażenia pokoju 223, który zaabsorbował uwagę Malachiego, było jego własne zdjęcie. Na zdjęciu tym Malachi miał trzy latka: był przemiłym, grzecznym zuszkiem na nadmorskiej plaży.

Zdjęcie było przytwierdzone do ściany pinezką.

Stanowiło jedyną dekorację pokoju.

Stary Noel zorientował się, że młody Malachi patrzy na zdjęcie; teorie o związkach między ojcem i synem zawsze wprawiały go w zakłopotanie i zmieszanie. Spróbował znaleźć naprędce jakąś celną ripostę, ale nic nie przyszło mu do głowy.

– Mój ojciec – powiedział w końcu – udzielił mi w życiu – tylko dwóch rad. I tylko jedna z tych rad wytrzymała próbę czasu. Brzmiały one: „Nigdy nie podnoś ręki na zwierzchnika” i „Butelkę z wódką trzymaj po tamtej stronie drzwi”. – Zakłopotanie i zmieszanie stały się w tym momencie nie do zniesienia. – Do widzenia – rzekł nieoczekiwanie Noel Constant.

– Do widzenia? – zdziwił się Malachi. Postąpił w kierunku drzwi.

– Butelkę z wódką trzymaj zawsze po tamtej stronie drzwi – powiedział stary Constant i odwrócił się do niego plecami.

– Tak jest, ojciec – powiedział Malachi. – Do widzenia, ojciec. – Po czym wyszedł.

Było to pierwsze i ostatnie spotkanie Malachiego Constanta z ojcem.

Ojciec Constanta przeżył następne pięć lat i ani razu nie zawiódł się na Biblii.

Noel Constant zmarł w chwili, gdy doszedł do końca tego oto zdania: „I uczynił Bóg dwa światła wielkie: światło większe, aby rządziło dzień, a światło mniejsze, aby rządziło noc, i gwiazdy”.

Ostatnią inwestycją Noela Constanta były Dezodoranty Yellowstone, po 17 i 1/4 punktu.

Syn podjął dzieło ojca, choć nie przeniósł się do pokoju 223 hotelu Wilburhampton.

Przez pięć następnych lat legendarne szczęście Constantów dopisywało synowi tak, jak niegdyś ojcu.

I oto teraz, nieoczekiwanie, Magnum Opus legło w ruinie.

Stojąc pośrodku gabinetu, wśród latających mebli i łąk dywanu, Malachi Constant wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że szczęście definitywnie go opuściło.

– Nic nie zostało? – wyszeptał, siląc się na uśmiech w stronę Ransoma K. Ferna. – Ejże, staruszkule, przecież musiało coś zostać.

– I ja tak myślałem, jeszcze dzisiaj, do dziesiątej rano – odparł Fern. – Szczyciłem się tym, że Magnum Opus jest zabezpieczone na każdy ewentualny cios. Kryzys gospodarczy znieśliśmy całkiem niezłe, i pańskie pomyłki też, tak, tak.

Ale o dziesiątej piętnaście odwiedził mnie pewien prawnik, który podobno był wczoraj u pana na przyjęciu. Zdaje się, że rozdawał pan tam szyby naftowe, a prawnik, który mnie dziś odwiedził, był na tyle zapobiegliwy, że zawniczą sporządził dokumenty, które, po podpisaniu przez pana, nabrałyby mocy wiążącej, I pan je podpisał. Wczoraj w nocy porozdawał pan pięćset trzydzieści jeden czynnych szybów naftowych, kładąc tym samym kres koncernowi naftowemu Fandango.

O jedenastej wieczorem – ciągnął Fern – prezydent Stanów Zjednoczonych obwieścił, że Wehikul Międzygwiazdny, któregośmy się ostatnio pozbyli, podpisuje właśnie kontrakt na Nową Erę Kosmiczną, kontrakt wartości trzech miliardów.

O jedenastej trzydzieści – kontynuował Fern – otrzymałem egzemplarz Dziennika Związku Amerykańskich Pracowników Służby Zdrowia, z adnotacją naszego rzecznika prasowego: „D.P.W.” Gdyby spędzał pan we własnym biurze choć odrobinę czasu, nie musiałbym panu wyjaśniać, że te trzy litery oznaczają „do pańskiej wiadomości”. Otworzyłem na oznaczonej stronie i przyjąłem do wiadomości, że papierosy marki Księżycowa Poświata są nie tylko jedną z przyczyn, lecz główną przyczyną bezpłodności u obu płci wszędzie tam, gdzie papierosy te są sprzedawane. Do takiego wniosku doszli nie ludzie, lecz maszyny cyfrowe. Ilekroć do komputera wprowadzano dane o paleniu tytoniu, maszyna wpadała w popłoch, którego nikt nie umiał wytłumaczyć. Wyglądało na to, że komputer bardzo chce coś powiedzieć swojej obsłudze. Robił, co mógł, aby się wypowiedzieć, aż wreszcie zdołał naprowadzić obsługę na właściwe pytanie. Właściwe pytanie dotyczyło zależności między paleniem papierosów marki Księżycowa Poświata, a zdolnościami rozrodczymi człowieka. Zależność ta była następująca:

„Ludzie, którzy palą papierosy marki Księżycowa Poświata, nie mogą mieć dzieci, nawet gdyby chcieli” – wyrecytował Fern.

Naturalnie – ciągnął – na świecie żyją żigolacy, panienci na zawołanie i nowojorczy, których raduje wyzwolenie się spod praw natury. Jednak w opinii Komórki Prawnej Magnum Opus, którą komórka ta wydała, zanim uległa likwidacji, kilka milionów ludzi może z powodzeniem zaskarżyć nas do sądu o to, że papierosy marki Księżycowa Poświata pozbawiły ich dosyć istotnego przeżycia. W rzeczy samej... rozkosze głębi!

Liczbę byłych palaczy Księżycowej Poświaty w tym kraju szacuje się na dziesięć milionów – ciągnął Fern. – Wszyscy są bezpłodni. Jeśli zaledwie co dziesiąty zaskarży pana o straty nie posiadające wymiernej wartości, jeśli wystąpi o skromne odszkodowanie w wysokości pięciu tysięcy dolarów – rachunek wyniesie pięć miliardów, nie licząc kosztów sądowych. Pan zaś nie dysponuje pięcioma miliardami. Po krachu na giełdzie i zakupieniu przedsiębiorstw typu Amerykańska Lewitacja, nie jest pan wart nawet pięciuset milionów.

Koncern tytoniowy Księżycowa Poświata, to pan – ciągnął Fern. – Magnum Opus, to także pan. Wszystko, co pan reprezentuje, zostanie, jedno po drugim, zaskarżone do sądu. I jeśli nawet strona skarżąca nie zdoła wycisnąć z pomidora prawdziwej krwi, na pewno uda jej się w trakcie usiłowań skutecznie zdusić sam pomidor.

Fern skłonił się ponownie.

– Spełnię teraz swój ostatni zawodowy obowiązek, czyli poinformuję pana, że ojciec pański napisał do pana list, który miał pan otrzymać w chwili, gdy przestanie panu dopisywać szczęście. Otrzymałem polecenie umieszczenia tego listu pod poduszką w pokoju 223 hotelu Wilburhampton, gdyby rzeczywiście znalazł się pan pod wozem. Umieściłem go tam godzinę temu.

A teraz, jako pokorny i wierny sługa korporacji, chcę pana prosić o maleńką przysługę – oświadczył Fern. – Jeśli list ten zawiera choćby namiastkę odpowiedzi na pytanie, o co właściwie chodzi w życiu, byłbym zobowiązany, gdyby przekazał mi pan tę informację na telefon domowy.

Ransom K. Fern zasalutował, dotykając rónda piłśniowego kapelusza bambusową laseczką.

– Do widzenia, panie Magnum Opus Junior. Do widzenia.

Hotel Wilburhampton była to frymuśna, trzypiętrowa budowla w stylu Tudorów, stojąca naprzeciwko biurowca Magnum Opus, w kontekście którego przypominała rozbebeszone łóóko u stóp archanioła Gabriela. Sosnowe listwy, wkomponowane w sztukaterię fasady, miały niby świadczyć o tym, że hotel ma konstrukcję półdrewnianą. Celowo zapadnięty dach miał świadczyć o starożytności budowli. Obłe, niskie, podwinięte okapy miały świadczyć o tym, że dach był kryty strzechą. Okna były maleńkie, o romboidalnych szybkach.

Niewielki barek hotelowy nazywano Salą Słucham Pana,

W Sali Słucham Pana znajdowało się aktualnie troje ludzi: barman i dwójka klientów.

Klientami byli: chuda kobieta i gruby mężczyzna – na oko oboje starzy. Nikt z personelu nie znał tych ludzi, a mimo to zdawało się, że siedzą w Sali Słucham Pana od stu lat. Mieli idealne barwy ochronne, gdyż oboje wyglądali jak zmajstrowani w połowie z drewna, oboje byli przygarbieni, kryci słomą i wyposażeni w malutkie okienka.

Podawali się za parę emerytowanych nauczycieli szkoły średniej ze Środkowego Zachodu.

Grubas przedstawił się jako George M. Helmholtz, były dyrygent chóru szkolnego. Chuda kobieta przedstawiła się jako Roberta Wiley, była nauczycielka algebry.

Oboje najwyraźniej dopiero na starość odkryli zalety alkoholu i cynizmu. Żadnego drinka nie zamówili dwukrotnie, korciła ich zawartość każdej kolejnej butelki – a to „Złocisty świt”, a to „Piękna Helena”, a to plui d’or, a to koktajl „Wesoła wdówka”.

Barman od razu zorientował się, że nie ma do czynienia z alkoholikami. Znał ten typ ludzi i uwielbiał go: była to po prostu para postaci z „Saturday Evening Post”, bliska końca swojej drogi.

Kiedy przestawali wypytywać o zawartość butelek, nie różnili się niczym od milionów innych amerykańskich bywalców barów w pierwszym dniu Nowej Ery Kosmicznej. Mocno siedząc na stołkach, ze wzrokiem wbitym w rzędy butelek, bezustannie poruszali ustami, ćwicząc różne sposoby wyrażania pogardy za pomocą nic nie znaczących uśmieszków, grymasów i szyderczych min.

Obraz Ziemi jako bożego statku kosmicznego, nakreślony przez ewangelistę Bobby Dentona, okazał się niezwykle celny – zwłaszcza w odniesieniu do bywalców barów. Helmholtz i panna Wiley zachowywali się jak pilot i drugi pilot statku odbywającego piramidalnie bezsensowną podróż kosmiczną, której końca w ogóle nie przewidywano. Nietrudno było ulec złudzeniu, że kiedyś tam, u zarania podróży, oboje byli pełni werwy, silni młodością i wykształceniem technicznym, i że stojące przed nimi butelki to przyrządy, z których od niepamiętnych lat nie spuszczają baczego oka.

Nietrudno było uwierzyć, że z każdym dniem kosmiczny chłopak i kosmiczna dziewczyna stawali się ociupinkę bardziej zaniedbani, aż po stan obecny, gdy swoim wyglądem przynosili wstyd całej Pan-Galaktycznej Służbie Kosmicznej.

Helmholtz miał rozpięte dwa guziki u rozporka. W lewym uchu widniały ślady kremu do golenia. Skarpetki były nie do pary.

Pannę Wiley charakteryzował wygląd mizernej, pomyłonej staruszki. Na głowie nosiła postrzępioną czarną perukę, która sprawiała wrażenie, jakby przez długie lata wisiała na gwoździu nad drzwiami chłopskiej chaty.

– Na mój rozum, to prezydent obstałował sobie tę całą Erę Kosmiczną, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie pomoże to trochę na bezrobocie – oświadczył barman.

– Uhu – odparli równocześnie Helmholtz i panna Wiley.

Tylko szczególnie baczny i podejrzliwy obserwator dostrzegłby w zachowaniu tych dwojga pewien fałsz: Helmholtz i panna Wiley zanadto interesowali się czasem. Jak na ludzi, którzy nic specjalnego nie mają do roboty ani nigdzie specjalnie się nie spieszą, przesadnie zajmowali się własnymi zegarkami: panna Wiley – męskim zegarkiem na rękę, pan Helmholtz zaś – złotym zegarkiem kieszonkowym.

W rzeczywistości bowiem ani Helmholtz, ani panna Wiley, nie byli emerytowanymi nauczycielami. Oboje byli za to mężczyznami i asami kamuflażu. Byli to dwaj superwywiadowcy Marsjańskich Sił Zbrojnych, oczy i uszy marsjańskiej grupy werbunkowej,



która krążyła na pokładzie latającego talerza dwieście mil nad Ziemią.

Malachi Constant nie wiedział, że czekają właśnie na niego.

Helmholtz i Wiley nie zaczepili Malachiego Constanta, gdy przekroczywszy jezdnię wszedł on do hotelu Wilburhampton. Nie dali po sobie poznać, że Constant cokolwiek ich obchodzi. Nawet nie zerknęli na niego, gdy przecinał hall i wsiadał do windy.

Zerknęli za to na zegarki – a baczny i podejrzliwy obserwator zauważyłby, że panna Wiley wcisnęła przy tym guziczek na swoim zegarku, wprawiając tym samym stoper w taniec świętego Wita.

Helmholtz i panna Wiley nie zamierzali brać Malachiego Constanta przemocą. Nigdy jeszcze nie użyli przemocy, a mimo to udało im się zwerbować na Marsa czternaście tysięcy ludzi. Zazwyczaj przebierali się za przedstawicieli średniej inteligencji technicznej i oferowali niezbyt rozgarniętym mężczyznom i kobietom dziewięć dolarów za godzinę, bez podatku, plus wyżywienie, zakwaterowanie i dojazd, za podjęcie pracy nad tajnym projektem rządowym w odległej części świata, na okres trzech lat. Helmholtz i panna Wiley żartowali często między sobą, że nigdy przecież nie precyzowali, jaki to konkretnie rząd organizuje badania, a żadnemu z rekrutów nie przyszło do głowy o to zapytać.

Z chwilą przybycia na Marsa, u dziewięćdziesięciu dziewięciu procent rekrutów powodowano amnezję. Specjaliści od zdrowia psychicznego pozbawiali ich pamięci, a marsjańscy chirurdzy instalowali w ich czaszkach anteny radiowe, umożliwiające zdalne sterowanie.

Następnie rekrutom przydzielano nowe, najzupełniej przypadkowo dobrane nazwiska, i kierowano ich do fabryk, ekip budowlanych, urzędów administracyjnych lub Marsjańskich Sił Zbrojnych.

Podobnego losu uniknęli jedynie ci, którzy gorliwie zapewniali, że będą ofiarnie służyć Marsowi bez pomocy medycyny. Ową garstkę szczęśliwców przyjęto do sekretnego kręgu rządzących.

Do tego właśnie kręgu należeli wywiadowcy Helmholtz i Wiley. Obaj dysponowali kompletną pamięcią i nie byli zdalnie sterowani. Kochali swoją pracę bez zastrzeżeń.

– Co to jest „Śliwowica”? – zapytał barmana Helmholtz, zapuszczając żurawia w stronę zakurzonej butelki na samym dole. Dopijał właśnie dżin z tarniny.

– Nawet nie wiedziałem, że mamy coś takiego – zdziwił się barman. Postawił butelkę na kontuarze i odchylił nieco, aby przeczytać napis na etykiecie: – Koniak śliwkowy.

– Spróbujemy – powiedział Helmholtz.

Od dnia śmierci Noela Constanta pokój 223 w hotelu Wilburhampton stał pusty – ku pamięci.

Malachi Constant wszedł do pokoju 223. Nie odwiedzał go od dnia śmierci ojca. Zamknął za sobą drzwi i odnalazł list pod poduszką.

W pokoju nie zmieniano nic prócz pościeli. Zdjęcie Malachiego na plaży we wczesnych latach chłopięcych nadal było jedyną dekoracją ściany.

List brzmiał następująco:

Drogi Synu!

Spotkał Cię wielki i bolesny cios, w przeciwnym razie nie czytałbyś tego listu. Piszę do Ciebie, abyś się przestał przejmować tym, co złe, a za to rozpatrzył się dookoła, czy przypadkiem nie wydarzyło się coś dobrego albo ważnego z tej racji, żeśmy się dorobili takiego bogactwa i stracili wszystko do kupy. Zależy mi, żebyś spróbował się dowiedzieć, czy nie dzieje się przypadkiem coś nadzwyczajnego, czy też wszystko jest tak samo popieprzone, jak mnie się zdawało.

Jeśli nie byłem za dobrym ojcem ani w ogóle kimkolwiek, to dlatego, że już na długo przed śmiercią czułem się jak trup. Nikt mnie nie kochał, w niczym się nie wyróżniałem, nic mnie nie interesowało, miałem dość handlowania rondlami i patelniami i oglądania telewizji – czyli że byłem jak trup i za daleko zabrnąłem, żeby wrócić.

Właśnie wtedy zacząłem te interesy z Biblią, a co było potem, to już sam wiesz. Wyglądało na to, że ktoś albo coś uparło się, żebym został właścicielem całej planety, chociaż byłem jak trup. Bez przerwy wypatrywałem znaku, który by mi objaśnił, o co właściwie chodzi, ale znak się nie

pojawił. Stawałem się tylko coraz bogatszy.

A potem twoja matka przysłała mi to zdjęcie z tobą na plaży, a ty tak jakoś popatrzyłeś na mnie z tego zdjęcia, że pomyślałem sobie – może to właśnie dla niego buduje się ta cała piramida z forsy? Pogodziłem się z tym, że umrę nie odkrywając w tym wszystkim żadnego sensu, ale może to właśnie Ty zobaczysz go kiedyś nagle, jasno jak na dłoni. Mówię Ci, nawet człowiek, który jest półrupem, nienawidzi żyć nie wiedząc, jaki to ma sens.

Kazałem Fernowi, aby dał Ci ten list, tylko jeśli opuści Cię szczęście, a to dlatego, że człowiek nie zastanawia się i nie dostrzega niczego, póki szczęście mu dopisuje. I słusznie.

Więc zrób to dla mnie, chłopcze, i rozejrzyj się dookoła. A jeśli zbankrutujesz i ktoś zgłosi się do Ciebie z kompletnie wariacką propozycją, moja rada brzmi: przyjmij ją. Skoro już jest się w nastroju do pobierania nauk, należy z tego korzystać. Jedyną nauką, jaką ja uzyskałem, było to, że jedni ludzie mają szczęście, a inni nie – i nikt nie umie powiedzieć dlaczego, nawet absolwent Harvard Business School.

Szczerze Ci oddany – Twój Tato.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju 223.

Drzwi otworzyły się, zanim Constant zdołał odpowiedzieć.

Do pokoju wkroczyli Helmholtz i panna Wiley. Weszli w idealnie dogodnym momencie, gdyż przełożeni pouczyli ich, o której godzinie, z dokładnością do jednej sekundy, Malachi Constant zakończy lekturę listu. Zostali też dokładnie pouczeni, co mają mu powiedzieć.

Panna Wiley zdjęła perukę, ujawniając się jako chudy osobnik płci męskiej, Helmholtz zaś przyoblekł twarz w grymas dowodzący nieustraszonego męstwa i nawyku komenderowania.

– Panie Constant – rzekł Helmholtz. – Zjawiam się tutaj, by oświadczyć panu, że planeta Mars nie tylko jest zamieszkana, lecz zamieszkuje ją liczebne, wydajne, militarnie i przemysłowo prężne społeczeństwo. Społeczeństwo to zwerbowano na Ziemi i przetransportowano na Marsa za pomocą latających talerzy. Jesteśmy gotowi zaproponować panu stanowisko podpułkownika Marsjańskich Sił Zbrojnych.

Pańska sytuacja na Ziemi jest beznadziejna. Pańska żona to podła bestia. Jak ponadto informuje nasz wywiad, grozi panu nie tylko utrata całego majątku wskutek zaskarżeń z powództwa cywilnego, lecz i więzienie za przestępstwa kryminalne.

W uzupełnieniu pensji i przywilejów znacznie przekraczających te, które otrzymuje podpułkownik w armiach ziemskich, oferujemy panu gwarancję nietykalności ze strony ziemskiego prawa karnego, a także możliwość przyjrzenia się ojczystej planecie z nowego i przepięknie odległego punktu widzenia.

– Jeśli przyjmuje pan stanowisko – rzekła panna Wiley – proszę unieść lewą rękę i powtarzać za mną...

Następnego dnia, w samym środku pustyni Mojave, znaleziono pusty helikopter Constanta.

Na odległość około czterdziestu stóp od helikoptera biegły ślady męskich butów, które następnie się urywały.

Wyglądało to tak, jakby Malachi Constant uszedł czterdzieści kroków, po czym rozpląnął się w powietrzu.

W następny wtorek statek kosmiczny „Wieloryb” otrzymał nową nazwę – „Rumfoord’ – i przygotowany został do wystrzelenia w kosmos.

Beatrycze Rumfoord ze złośliwą satysfakcją obserwowała całą ceremonię na ekranie telewizora w odległości dwóch tysięcy mil od miejsca pobytu rakiety. Do wystrzelenia „Rumfoorda” pozostała dokładnie jedna minuta. Jeśli przeznaczenie miało zawieść Beatrycze Rumfoord na pokład statku, powinno było cholernie się pośpieszyć.

Beatrycze czuła się wspaniale. Zdołała udowodnić sobie mnóstwo miłych rzeczy.

Udowodniła, że jest panią własnego losu, może odmówić, kiedy zechce, i trzymać się własnego zdania. Udowodniła, że całe to krakanie jej wszystkowiedzącego małżonka to jedna wielka bujda i że przepowiednie Rumfoorda w niczym nie przewyższają prognoz Instytutu Meteorologii Stanów Zjednoczonych.

Ponadto opracowała plan, dzięki któremu miała szansę spędzić resztę życia we względnym komforcie, a przy okazji dać stosowną nauczkę mężowi. Podczas następnej materializacji Rumfoord miał zastać w domu rój gapiów. Beatrycze zamierzała pobierać opłatę w wysokości

pięciu dolarów od osoby za możliwość przekroczenia lilipuciej bramki.

Nie były to czcze mrzonki. Beatrycze przedyskutowała swój plan z parą rzekomych przedstawicieli firmy, która władała teraz hipoteką posesji, a oni odnieśli się do projektu z wielkim entuzjazmem.

Towarzyszili jej teraz w oglądaniu programu telewizyjnego o przygotowaniach „Rumfoorda” do podróży w kosmos, Telewizor stał w tym samym pokoju, w którym wisiał portret Beatrycze jako niepokalanej dziewczynki w bieli z całkiem własnym białym kucykiem. Beatrycze uśmiechnęła się do portretu. Dziewczynka będzie się jednak musiała odrobinę pobrudzić.

Spiker rozpoczął właśnie odliczanie ostatniej minuty przed wystrzeleniem „Rumfoorda”. Podczas całego wyliczania Beatrycze była wesoła jak szczygiełek. Nie potrafiła usiedzieć na miejscu ani zachować ciszy. Jej ożywienie było wynikiem radości, nie zaś napięcia. Było jej absolutnie obojętne, czy „Rumfoord” skopci się na miejscu, czy polecą do nieba.

Goście Beatrycze zdawali się, dla odmiany, traktować fakt wystrzelenia statku bardzo serio – modlili się niemal o pomyślny start. Byli to mężczyzna i kobieta: niejaki pan George M. Helmholtz i jego sekretarka, niejaka panna Roberta Wiley. Panna Wiley wyglądała na poczciwą staruszkę, nie pozbawioną wszakże bystrości i dowcipu.

„Rumfoord” z głośnym rykiem poszybował w górę.

Start był bezbłędny.

Helmholtz rozparł się wygodnie w fotelu i wydał z siebie serię pełnych ulgi westchnień.

Następnie uśmiechnął się i kilkakrotnie klepnął po grubych udach.

– Jak słowo daję – powiedział. – Jestem dumny, że należę do narodu amerykańskiego i że żyję w dzisiejszych czasach.

– Napiją się państwo? – zapytała Beatrycze.

– Dziękuję serdecznie – odparł Helmholtz – ale nie śmiałybym mieszać obowiązków z przyjemnością.

– Czyżbyśmy nie skończyli jeszcze z obowiązkami? – zdumiała się Beatrycze. –

Omówiliśmy chyba wszystko.

– Cóż... panna Wiley i ja mieliśmy nadzieję przeprowadzić inwentaryzację większych zabudowań posesji – rzekł Helmholtz. – Obawiam się jednak, że jest już całkiem ciemno. Nie ma tu przypadkiem jakiegoś reflektora?

Beatrycze pokręciła głową.

– Niestety, nie – odparła.

– Może ma pani chociaż mocną latarkę? – nie ustępował Helmholtz.

– Latarkę mogłabym chyba dla pana zdobyć – powiedziała Beatrycze. – Ale wydaje mi się, że wychodzenie na dwór wcale nie jest konieczne. Sama mogę państwu wyliczyć zabudowania. – Zadzwoiła po lokaja i poleciła mu przynieść latarkę. – Boksy tenisowe, szklarnia, domek ogrodnika, dawna stróżówka, wozownia, domek gościnny, szopa na narzędzia, łaźnia, psia buda i stara pompa.

– A to nowe? – zapytał Helmholtz.

– Nowe? – zdziwiła się Beatrycze.

Lokaj powrócił z latarką, którą Beatrycze wręczyła Helmholtzowi.

– To metalowe – uzupełniła panna Wiley.

– Metalowe? – Beatrycze nie posiadała się ze zdumienia. – Nie ma tu żadnych metalowych zabudowań. Stare gonty nabierają czasem srebrzystego połysku, może to o to chodzi. –

Zmarszczyła brwi. – Czy ktoś państwu mówił, że mamy tu konstrukcję z metalu?

– Sami ją widzieliśmy idąc tutaj – odparł Helmholtz.

– Przy samej ścieżce, w gąszczu koło fontanny – uściśliła panna Wiley.

– Coś podobnego – powiedziała Beatrycze.

– Może poszlibyśmy sprawdzić? – zasugerował Helmholtz.

– Tak... naturalnie. – Beatrycze podniosła się z fotela. Cała trójka przecięła zodiak posadzki hallu i wkroczyła w balsamiczną ciemność.

Przed nimi tańczył snop światła latarki.

– Doprawdy – rzekła Beatrycze – jestem tego równie ciekawa, jak państwo.

- Wygląda na jakiś aluminiowy prefabrykat – powiedziała panna Wiley.
- Wygląda jak pojemnik na wodę w kształcie grzyba czy coś takiego – dodał Helmholtz. - Tylko że siedzi wprost na ziemi.
- Naprawdę? – zdziwiła się Beatrycze.
- Zapamiętała sobie pani, co to jest, prawda? Przed chwilą powiedziałam – rzekła panna Wiley.
- Nie – zaprzeczyła Beatrycze. – Co takiego pani powiedziała?
- Muszę to pani powtórzyć na ucho – odparła filuternie panna Wiley – bo będą mnie chcieli zamknąć w domu wariatów. – Przyłożyła dłoń do ust, kierując głośny szept w stronę Beatrycze. – To latający talerz – powiedziała.

## Rozdział 4

### Kierunek – rampa!

Rampa to tam, to tam, to tam;  
 Rampa to tam, to tam, to tam.  
 Rampa to tam!  
 Rampa to tam!  
 Rampa to, rampa to tam.

### WERBLE NA MARSIE

Żołnierze wmaszerowali na plac defilad przy dźwiękach werbla. Oto, co werble miały im do powiedzenia:

Rampa to tam, to tam, to tam;  
 Rampa to tam, to tam, to tam.  
 Rampa to tam!  
 Rampa to tam!  
 Rampa to, rampa to tam.

Dziesięć tysięcy żołnierzy zgrupowanych w dywizję piechoty uformowało pusty w środku kwadrat na naturalnym gruncie placu defilad z litego żelaza grubości jednej mili. Żołnierze stali na baczność w ryżej rdzy. Wszyscy – i oficerowie, i szeregowcy – drżeli bezustannie, usiłując w miarę możliwości sprawiać wrażenie ludzi z żelaza. Ubrani byli w szorstkie, srebrzystozielone mundury barwy mchu.

Dywizja w kompletnej ciszy przybrała postawę zasadniczą. Nie padł żaden sygnał, ani słuchowy, ani wzrokowy. Żołnierze wyprężyli się na baczność jak jeden mąż – wyglądało to na niebywałą zbieg okoliczności.

Trzecim od lewej w drugiej drużynie pierwszego plutonu drugiej kompanii trzeciego batalionu drugiego pułku Pierwszej Marsjańskiej Szturmowej Dywizji Piechoty był szeregowiec zdegradowany przed trzema laty ze stopnia podpułkownika. Na Marsie przebywał od ośmiu lat. Kiedy oficer współczesnej armii zostaje zdegradowany do stopnia szeregowca, bywa już przeważnie za stary na szeregowca, w związku z czym towarzysze broni, przyzwyczajony się w końcu, że nie jest on już oficerem, nadają mu – przez szacunek dla chromających nóg, oczu i pęcherza – przydomek w rodzaju „Ociec”, „Dziadek” lub „Wujo”.

Trzeciego od lewej w drugiej drużynie pierwszego plutonu drugiej kompanii trzeciego batalionu drugiego pułku Pierwszej Marsjańskiej Szturmowej Dywizji Piechoty zwano Wujem. Wuj miał lat czterdzieści. Wuj był przystojny – waga lekkopółśrednia, cera smagła, usta wydatne, oczy piwne, ocienione kromaniońskim łukiem brwiowym. Postępująca łysina pozostawiła na środku czoła pełen dramatyzmu lok napoleoński.

Anegdota, która świetnie charakteryzuje Wuja:

Pewnego razu, kiedy pluton Wuja brał prysznic, Henry Brackman, sierżant dowodzący

plutonem Wuja, zawołał sierżanta z innego pułku, żeby wskazał najlepszego jego zdaniem żołnierza plutonu. Zagadnięty sierżant bez wahania wskazał Wuja, gdyż pośród otaczających go chłopaczków Wuj był jedynym przyzwoicie zbudowanym, dobrze umięśnionym i inteligentnie wyglądającym mężczyzną.

Brackman przewrócił oczami.

- O Jezuniu! Naprawdę tak uważasz? - zapytał. - Ten facet ma najgorszego pierdolca w całym plutonie.

- Żartujesz chyba - powiedział drugi sierżant.

- Nie żartuję, do kurwy nędzy - odparł Brackman. - Przypatrz mu się: sterczy tam od dziesięciu minut, a nawet nie tknął kawałka mydła. Wuju! Wuju, pobudka!

Wuj drgnął i przestał marzyć pod letnią mżawką z prysznicą. Spojrzał pytająco na Brackmana, tępo manifestując chęć współpracy.

- Mydło, Wuju! - pouczył go Brackman. - Na litość boską, weźże trochę mydła!

Wuj stał teraz na żelaznym placu defilad, w postawie zasadniczej, na swoim miejscu w pustym od środka kwadracie - jak cała reszta.

Pośrodku wydrążonego kwadratu stał kamienny pal z żelaznymi klamrami. Przez klamry z brzękiem przewleczono łańcuchy, ciasno opasujące stojącego przy palu rudego żołnierza.

Żołnierz wyglądał czysto - ale nie schludnie, gdyż zerwano mu z munduru wszystkie dystynkcje i odznaczenia, nie miał pasa ani krawata, ani śnieżnobiałych owijaczy.

Wszyscy pozostali, z Wujem włącznie, odstrojeni byli jak stróż w Boże Ciało, aż miło było popatrzeć.

Człowieka przy palu czekało coś bardzo bolesnego - coś, od czego będzie bardzo chciał uciekać, coś, od czego nie ucieknie, dzięki łańcuchom.

Wszyscy żołnierze mieli się temu przyglądać.

Wydarzeniu nadano wielką wagę.

Nawet człowiek przy palu stał na baczność, starając się okazać na tyle dobrym żołnierzem, na ile warunki mu to umożliwiały.

I znów - nie padł żaden rozkaz słuchowy czy wzrokowy, a całe dziesięć tysięcy żołnierzy jak jeden mąż przybrało postawę prezentuj broń.

Człowiek przy palu też.

Następnie żołnierze rozluźnili szyki, jak gdyby otrzymali kolejny rozkaz. W tej postawie mieli rozluźnić się, nie zmieniając jednak ustawienia stóp i zachowując ciszę. Wolno im było trochę myśleć i rozglądać się dookoła w celu przekazania wzrokiem wiadomości, jeśli naturalnie mieli co przekazać i potrafili znaleźć odbiorcę.

Człowiek przy palu szarpnął łańcuchy i wyciągnął szyję, próbując oszacować wysokość pala, do którego był przykuty. Wyglądało to tak, jakby wierzył, że uda mu się uciec przy zastosowaniu jakiejś naukowej metody, jeśli tylko zdoła stwierdzić, jaką wysokość ma pal i z czego jest zrobiony.

Pal miał dziewiętnaście stóp, sześć i pięć trzydziestych drugich cala wysokości, nie licząc dwunastu stóp, dwóch i jednej ósmej cala wpuszczonych w żelazne podłoże. Przeciętna średnica pala wynosiła dwie stopy, pięć i jedenaście trzydziestych drugich cala, przy czym różnice średnicy w poszczególnych punktach przekroju sięgały siedmiu i jednej trzydziestej drugiej cala. Pal składał się z kwarcu, ługowców, skalenia, miki i śladowych ilości turmalinu i hornblendy. Do wiadomości człowieka przy palu: znajdował się w odległości stu czterdziestu dwóch milionów trzystu czterdziestu sześciu tysięcy dziewięciuset jedenastu mil od Słońca i znikąd nie widać było śladu pomocy.

Przykuty do pala rudzielec nie wydał z siebie żadnego głosu, ponieważ żołnierzowi w postawie, którą przyjął, nie wolno było wydawać żadnych dźwięków. Za pomocą wzroku wysłał jednakże wiadomość, że chętnie by powrzęszczał. Posłał tę wiadomość każdemu, kto napotkałby jego wzrok. Miał nadzieję dotrzeć z nią do jednego zwłaszcza człowieka, do swego najlepszego przyjaciela - do Wuja. Rozglądał się za Wujem.

Nie mógł wypatrzeć twarzy Wuja.

Gdyby wypatrzył twarz Wuja, na twarzy Wuja nie odmalowałoby się ani rozpoznanie, ani żal. Wuj opuścił właśnie szpital polowy, gdzie leczono go na chorobę psychiczną, i pamięć

Wuja była teraz niemal czystą kartą. Wuj nie rozpoznał w człowieku przy palu swego najlepszego przyjaciela. Wuj nie poznawał nikogo. Wuj nie wiedziałby nawet, że ma na imię Wuj, nie wiedziałby nawet, że jest żołnierzem, gdyby mu tego nie powiedziano, kiedy wychodził ze szpitala.

Prosto ze szpitala przeszedł do szyku, w którym teraz zajmował miejsce.

W szpitalu powtarzano mu ciągle, że jest najlepszym żołnierzem najlepszej drużyny najlepszego plutonu najlepszej kompanii najlepszego batalionu najlepszego pułku najlepszej dywizji najlepszej armii.

Wuj domyślił się, że powinien być z tego dumny.

W szpitalu mówiono mu, że przeszedł poważną chorobę, ale znów jest w pełni sił.

Brzmiało to jak pomyślna wiadomość.

W szpitalu powiedziano mu, jak się nazywa jego sierżant, kto to jest sierżant i co oznaczają poszczególne symbole stopni, kategorii i specjalności wojskowych.

Pozbawili Wuję pamięci do tego stopnia, że musieli uczyć go od nowa, jak się przestawia nogi i porusza rękami.

W szpitalu musieli nawet pouczyć Wuję, co to są Bojowe Racje Tlenowe, czyli BRT, czyli piguły – musieli go poinstruować, aby łykał jedną co sześć godzin, bo się udusi. Były to pigułki tlenowe, które rekompensowały ludziom brak tlenu w atmosferze Marsa.

W szpitalu musieli ponadto pouczyć Wuję, że pod ciemieniem nosi antenę radiową i że poczuje ból ilekroć zrobi coś, czego nie powinien robić dobry żołnierz. Antena służyła również do przekazywania rozkazów i dostarczania odgłosu werbli do maszerowania. Powiedzieli Wujowi, że takie anteny mają wszyscy – lekarze, pielęgniarki i czterogwiazdkowi generałowie też. Powiedzieli mu, że służy w wyjątkowo zdemokratyzowanej armii.

Wuj domyślił się, że to dobrze, kiedy armia jest zdemokratyzowana.

W szpitalu Wuj otrzymał skromną próbkę bólu, jaki zada mu antena, gdyby się kiedykolwiek zachował nie tak, jak trzeba.

Ból był potworny.

Wuj musiał przyznać, że żołnierz, który postanowiłby dobrowolnie uchylać się od obowiązków, byłby szaleńcem.

W szpitalu powiedziano Wujowi, że najważniejsza ze wszystkich zasad brzmi: zawsze wypełniaj bezpośredni rozkaz bez chwili wahania.

Stojąc w szyku na żelaznym placu defilad, Wuj uświadomił sobie, że jeszcze mnóstwa rzeczy będzie się musiał nauczyć od początku. W szpitalu nie nauczono go wszystkiego, co należało wiedzieć o życiu.

Antena pod ciemieniem znów ustawiła go na baczność i mózg Wuję przestał pracować.

Potem antena ustawiła go w pozycji spoczyn, potem znów na baczność, potem kazała mu prezentować broń, a na koniec znowu pozwoliła spocząć.

Wuj podjął myślenie. Powtórnie dostrzegł przeblysk otaczającego świata.

„Takie jest życie – pouczył się niepewnie Wuj – białe plamy i przebliski, no i od czasu do czasu ta koszmarna fala bólu za przewinienie”.

Mały, nisko i szybko sunący księżyc przeplynał po fioletowym niebie nad głowami żołnierzy. Wuj – sam nie wiedząc czemu – pomyślał, że księżyc porusza się za szybko. Coś tu było nie w porządku. A znów niebo – pomyślał – powinno być niebieskie, a nie fioletowe.

Wujowi było do tego zimno i bardzo chciał się ogrzać. Wieczny chłód wydawał mu się równie nie w porządku, równie niesprawiedliwy, jak pośpieszny księżyc i fioletowe niebo.

Dowódca dywizji Wuję powiedział coś do dowódcy pułku Wuję. Dowódca pułku Wuję powiedział coś do dowódcy batalionu Wuję. Dowódca batalionu Wuję powiedział coś do dowódcy kompanii Wuję. Dowódca kompanii Wuję powiedział coś do szefa plutonu Wuję, którym był sierżant Brackman.

Brackman podszedł do Wuję i rozkazał mu zbliżyć się krokiem marszowym do człowieka przy palu i zadusić go na śmierć.

Brackman powiedział Wujowi, że jest to rozkaz bezpośredni.

Więc Wuję usłuchał.

Pomaszerował do człowieka przy palu. Maszerował rytmicznie, w takt oschłej, przenikliwej

muzyki werbli. Odgłos werbli istniał tylko w jego głowie, wydobywając się z anteny:

Rampa to tam, to tam, to tam;

Rampa to tam, to tam, to tam.

Rampa to tam.

Rampa to tam!

Rampa to, rampa to tam.

Gdy Wujó zbliżył się do człowieka przy palu, przeżył moment wahania, ponieważ człowiek przy palu miał bardzo nieszczęśliwą minę. Natychmiast w głowie Wujó odezwał, się nikły, ostrzegawczy ból, jak pierwsze głębsze dotknięcie wiertła dentystycznego.

Wujó przyłożył kciuki do tchawicy rudzielca i ból ustał. Wujó jeszcze nie naciskał, ponieważ rudy usiłował mu coś powiedzieć. Wujó zdziwił się, że rudy nic nie mówi, ale zaraz uświadomił sobie, że to antena nakazuje mu zachować milczenie, podobnie jak wszystkim pozostałym żołnierzom.

Człowiek przy palu bohaterskim wysiłkiem pokonał wolę anteny i przemówił nagle, szybko, konwulsyjnie:

- Wujó... Wujó... Wujó... - Paroksyzmy walki jego własnej woli z wolą anteny zmuszały go, by powtarzał to imię jak idiota. - Błękitny kamień. Wujó - wykrztusił. - Dwunasty barak... list.

Ostrzegawczy ból znowu zaatakował głowę Wujó. Posłuszny rozkazowi, Wujó zadusił człowieka przy palu - dusił go, aż twarz człowieka spurpurowiała, a język wywalił się na brodę.

Wujó cofnął się, stanął na baczność, zręcznie wykonał w tył zwrot i powrócił na swoje miejsce w szyku, znów do taktu dudniącego w głowie werbla:

Rampa to tam, to tam, to tam;

Rampa to tam, to tam, to tam.

Rampa to tam!

Rampa to tam!

Rampa to, rampa to tam.

Sierżant Brackman skinął Wujó głową i mrugnął ku niemu serdecznie.

Dziesięć tysięcy żołnierzy znów wyprężyło się na baczność.

Trup przy palu - o zgrozo - też usiłował przyjąć postawę zasadniczą, podzwaniając łańcuchami. Nie dał rady, nie dał rady zachować się jak przystało na wzorowego żołnierza - i to nie dlatego, że się nie starał, lecz dlatego, że był martwy.

Olbrzymia formacja rozpadła się na prostokątne części. Te z kolei odmaszerowały bezwiednie do taktu werbli w głowie każdego z żołnierzy. Postronny obserwator nie usłyszałby nic poza miarowym tupotem wojskowych butów.

Postronny obserwator miałby kłopot ze wskazaniem dowódcy, gdyż nawet generałowie poruszali się jak marionetki w rytm idiotycznych słów:

Rampa to tam, to tam, to tam;

Rampa to tam, to tam, to tam.

Rampa to tam!

Rampa to tam!

Rampa to, rampa to tam.

## Rozdział 5

### List od nieznanego bohatera

„Jesteśmy w stanie uczynić ośrodek pamięciowy człowieka równie sterylnym, jak skalpel świeżo wyjęty z autoklawu. Natychmiast jednak zaczynają się w nim gromadzić okruchy nowych doświadczeń. Te z kolei łączą się w systemy, nie zawsze sprzyjające myśleniu po wojskowemu. Problem rekontaminacji pamięci wydaje się nierozwiązywalny.”

(-)

dr Morris N. Castle

Formacja Wuja zatrzymała się przed granitowym barakiem, jednym z tysięcy w szeregu, który biegł, zdawało się, w nieskończoność, aż po horyzont żelaznej niziny. Przed co dziesiątym barakiem wznosił się maszt flagowy z flagą łopocącą na uporczywym wietrze.

Każda flaga była inna.

Flaga, która jak anioł stróż łopotiała nad terenem kompanii Wuja, była bardzo wesola: czerwone i białe paski, i masa białych gwiazdek na niebieskim polu. Była to Old Glory, flaga Stanów Zjednoczonych Ameryki, z planety Ziemia.

Dalej widniał czerwony sztandar Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Za nim znajdował się wspinały zielono-pomarańczowo-żółto-purpurowy sztandar z lwem dzierżącym miecz. Była to flaga Cejlonu.

Jeszcze dalej widać było czerwoną piłkę na białym polu – flagę Japonii.

Flagi oznaczały kraje, które zostaną zaatakowane i sparaliżowane przez poszczególne jednostki Marsjańskich Sił Zbrojnych, kiedy rozpocznie się wojna między Marsem a Ziemią.

Wujo nie dostrzegł sztandarów aż do chwili, gdy antena pozwoliła mu zgarbić się, rozluźnić kończyny – krótko mówiąc: rozejść się. Zatkło go na widok nieskończonej perspektywy baraków i masztów flagowych.

Barak, przed którym stał, miał nad drzwiami wypisany wielkimi cyframi numer. Był to numer 576.

Jakaś część Wuja uznała ten numer za fascynujący, zmusiła Wuja, aby się nad nim zastanowił. Wujo przypomniał sobie egzekucję – przypomniał sobie, że rudzielec, którego zamordował, mówił mu coś o błękitnym kamieniu i baraku dwanaście.

Wewnątrz baraku 576 Wujo czyścił broń. Odkrył, że jest to wyjątkowo przyjemne zajęcie.

Odkrył ponadto, że nadal potrafi rozłożyć broń na części. Przynajmniej ten skrawek jego pamięci nie uległ zatarciu w szpitalu. Wujo uradował się w duszy na myśl o tym, że istnieją prawdopodobnie jeszcze inne zakamarki jego pamięci, których nie zauważono. Dlaczego ta myśl tak go uradowała – nie miał zielonego pojęcia.

Czyścił wyciorem wnętrze lufy. Jego bronią był niemiecki mauzer, kaliber 11 milimetrów, jednostrzałowy, z gatunku tych, które potwierdziły swoją reputację w rękach Hiszpanów podczas ziemskiej wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Cały arsenał Marsjańskich Sił Zbrojnych pochodził z jednego mniej więcej rocznika. Marsjańscy wywiadowcy, podczas swej mrówczej pracy na Ziemi, trafili na okazijną sprzedaż całej góry mauzerów, brytyjskich enfieldów i amerykańskich springfieldów, i to za psie pieniądze.

Towarzysze broni Wuja również czyścili wyciorami lufy swoich karabinów. Smar pachniał nieźle, a naoliwione szmatki, gdy się je wpychało przez gwint, opierały się naciskowi wyciora akurat na tyle, aby podtrzymać zainteresowanie czyszczącego robotą. Prawie nikt się nie odzywał.

Nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek szczególnie przejął się egzekucją. Jeśli egzekucja miała być dla towarzyszy broni Wuja jakąkolwiek nauką, okazała się nauką równie lekkostrawną jak kaszka manna.

Wygłoszono tylko jeden komentarz na temat udziału Wuja w egzekucji, a wygłosił go sierżant Brackman.

- Dobrześ się spisał, Wuju – powiedział Brackman.

- Dziękuję – odparł Wujo.

- Dobrze się spisał, no nie? – zwrócił się Brackman do towarzyszy broni Wuja.

Kilku skinęło głowami, ale Wujo odniósł wrażenie, że kiwnęliby oni w odpowiedzi na każde pytanie zawierające twierdzenie i pokręciliby przecząco w odpowiedzi na każde pytanie zawierające przeczenie.

Wujo wydobyl z lufy wycior i szmatkę, wsunął kciuk pod otwarty zamek karabinu i złapał promyk słońca na błyszczący od smaru paznokieć kciuka. Puścił zajaczkę w głąb lufy. Następnie przytknął oko do wylotu lufy i przeżył wstrząs, gdyż ujrzał piękno doskonałe. Gotów był godzinami wpatrywać się z uniesieniem w nieskazitelną spiralę gwintu, marząc o krainie szczęśliwości, której okrągłe podwoje widział na drugim końcu lufy. Różowość pod



zatłuszczonym paznokciem na drugim końcu lufy sprawiała, że koniec ten wydawał się Wujowi istic różanym paradyzem. Wuj obiecał sobie, że pewnego dnia przeczolga się przez lufę do raję po tamtej stronie.

„Będzie tam ciepło – myślał sobie Wuj – i księżyc będzie tylko jeden, za to pyzaty, powolny i dostojny”. Różany paradyz nasunął Wujowi jeszcze jedną wizję; jasność tej wizji zdumiała Wuję. W raję mieszkały trzy piękne kobiety, a Wuj dokładnie pamiętał, jak one wyglądają! Jedna była biała, druga złocista, a trzecia brązowa. W widzeniu Wuję – złocista paliła papierosa. Wuj zdumiał się ponownie, stwierdziwszy, że wie, co to za papieros.

Był to papieros marki Księżycowa Poświata.

– Natychmiast sprzedać Księżycową Poświatę! – zarządził głośno Wuj. Wymówił te słowa z przyjemnością – poczuł się nagle władczy, kompetentny.

– Co takiego? – zapytał młody ciemnoskóry żołnierz, który czyścił karabin obok Wuję. – Co mówię, Wuj?

Żołnierz miał dwadzieścia trzy lata. Na lewej piersi, nad kieszonką, nosił czarną naszywkę z wyhaftowanym na żółto imieniem.

Na imię miał Boaz.

Gdyby w Marsjańskich Siłach Zbrojnych dopuszczano się podejrzliwość, Boaz musiałby uchodzić za osobnika mocno podejrzanego. Był zaledwie starszym szeregowcem, a mimo to jego mundur – choć regulaminowej barwy mchu – uszyty był z daleko lepszego materiału i był daleko porządniej skrojony niż mundury pozostałych żołnierzy, z mundurem sierżanta Brackmana włącznie.

Mundury innych żołnierzy były szorstkie, drapiące, pozszywane byle jak grubymi nićmi.

Wyglądały przyzwoicie, tylko gdy ich właściciele stali na baczność. W każdej innej pozycji mundur przeciętnego żołnierza wybrzuszał się i marszczył, jakby zrobiony był z papieru.

Mundur Boazę z kocią zwinnością podążał za każdym jego ruchem. Ściegi miał gęste i drobniutkie. A najbardziej zadziwiające było to, że buty Boazę lśniły głębokim, mrocznym, czerwonym blaskiem – blaskiem, jakiego nie zdołał nadać swoim butom żaden inny żołnierz, niezależnie od tego, jak starannie je czyścił. W odróżnieniu od pozostałych butów kompanii, buty Boazę uszyte były z autentycznej ziemskiej skóry.

– Mówię, żeby coś sprzedać, Wuj? – nalegał Boaz.

– Księżycowa Poświata: na szmelc! Do diabła z nią – wymamrotał Wuj. Sam nie rozumiał, co by te słowa miały znaczyć. Wyrzucił je z siebie tylko dlatego, że bardzo chciały się wydostać.

– Sprzedać! – powtórzył.

Boaz uśmiechnął się smętnie.

– Sprzedać, mówisz? – powtórzył. – W porządku. Wuj, sprzedamy. – W zdumieniu uniósł brwi. – A co mamy sprzedać, Wuj?

Boaz miał zadziwiająco świetliste i świdrujące źrenice.

Wuj uświadomił sobie, że w miarę, jak Boaz się w niego wpatruje, lśnienie i ostrość jego spojrzenia budzą w Wuję rosnący niepokój. Wuj odwrócił wzrok i spojrzał przypadkiem w oczy innych towarzyszy broni – oczy te patrzyły z niezachwianą tępotą. Nawet oczy sierżanta Brackmana.

Wzrok Boazę nadal wwiereał się w Wuję. Wuj poczuł, że musi ponownie spojrzeć Boazowi w oczy. Ich źrenice lśniły jak diamenty.

– Nie pamiętasz mnie, Wuj? – zapytał Boaz. Pytanie to wprawiło Wuję w panikę. Wiedział, że z jakiegoś powodu nie powinien pamiętać Boazę. Z ulgą stwierdził, że istotnie go sobie nie przypomina.

– Boaz, Wuj – rzekł ciemnoskóry. – Nazywam się Boaz.

Wuj skinął głową.

– Bardzo mi miło. Jak leci? – powiedział.

– Leci, można powiedzieć, nie najgorzej – odparł Boaz. Z niedowierzaniem pokręcił głową:

– Ty naprawdę nic a nic nie pamiętasz, Wuj?

– Nie – powiedział Wuj. Pamięć zaczęła mu trochę dokuczać, dawała do zrozumienia, że gdyby się naprawdę postarał, mógłby przypomnieć sobie coś w związku z Boazem. Wuj uciszył pamięć. – Przykro mi – oświadczył. – Absolutnie nic nie pamiętam.

- Ty i ja, Wuju, my jesteśmy kumple - powiedział Boaz. - Boaz i Wujo.

- Aha - powiedział Wujo.

- Pamiętasz, Wuju, zasadę kumpel z kumplem? - zapytał Boaz.

- Nie - odparł Wujo.

- Każdy jeden żołnierz w każdej jednej drużynie - wyjaśnił Boaz - ma swojego kumpla.

Kumple siedzą w jednym wykopie, trzymają się razem w ataku i osłaniają się nawzajem. Jak jeden kumpel popadnie w tarapaty w jakiejś bijatyce, drugi kumpel mu pomaga, przemyca nóż, i tak dalej.

- Aha - powiedział Wujo.

- Niesamowite - zdziwił się Boaz. - Czego to człowiek nie zapomni w szpitalu, a jakie rzeczy zapamięta, żeby mu robili nie wiem co. Ty i ja, Wuju, szkoliliśmy się na kumpli przez okrągły rok, a ty nic nie pamiętasz. A tu nagle bredzisz mi coś o papierosach. Co to za papierosy, Wuju?

- Ja... już nie pamiętam - odparł Wujo.

- Spróbuj sobie przypomnieć - nalegał Boaz. - Raz ci się udało. - Zmarszczył brwi i zrobił zeza, jakby chciał dopomóc Wujowi w koncentracji. - Uważam, że to pasjonujące, co człowiek pamięta po wyjściu ze szpitala. Spróbuj sobie przypomnieć, co się da.

Boaz był trochę zniewieściały - zachowywał się jak cwany osilek, który bierze maminsynka za frak i przemawia do niego tiu-tiu-tiu, jak do niemowlaka.

Ale Boaz lubił Wuja - na swój sposób.

Wujo doznał dziwnego uczucia, że on i Boaz są jedynymi prawdziwymi ludźmi

w kamiennym baraku - a reszta to szklanookie roboty, i to roboty nie najlepszego gatunku.

Sierżant Brackman, rzekomy dowódca, był mniej więcej równie czujny, równie odpowiedzialny, równie przywódczy, jak worek zmokłego pierza.

- Powiedz mi wszystko, co pamiętasz, Wuju - kusił Boaz. - No, stary - namawiał. - Spróbuj przypomnieć sobie wszystko, co się da.

Zanim Wujo zdołał przypomnieć sobie cokolwiek, ból głowy, który przedtem zmusił go do przeprowadzenia egzekucji, znów dał o sobie znać. Tym razem nie skończyło się na ostrzegawczym dźgnięciu. Pod beznamiętnym spojrzeniem Boaza ból w głowie Wuja urósł do rozmiarów dudniącego, oślepiającego kolosa.

Wujo wstał, upuścił karabin, złapał się za głowę, ryknął, wrzasnął i zemdłał.

Kiedy Wujo odzyskał przytomność na podłodze baraku, jego kumpel Boaz zwilżał Wujowe skronie mokrą ścierką.

Towarzysze broni Wuja utworzyli krąg wokół Wuja i Boaza. Na twarzach towarzyszy broni nie było śladu zdziwienia, śladu współczucia. Uważali oni najwyraźniej, że Wujo zrobił coś głupiego i niegodnego żołnierza, w związku z czym zasłużył na to, co go spotkało.

Patrzyli na Wuja, jakby dopuścił się on jakiejś straszliwej głupoty, jak na przykład wystawienie się na cel wroga, czyszczenie nabitej broni, kichnięcie podczas zwiadu lub złapanie choroby wenerycznej i niepowiadomienie o tym przełożonych; jak odmowa wykonania bezpośredniego rozkazu lub przespanie pobudki; jak picie alkoholu na służbie albo dobieranie do małego strita; jak przechowywanie w szafce książki albo granatu ręcznego; jak zadanie pytania, kto właściwie założył te całą armię i po co...

Jedynie Boaz wyglądał, jakby się przejął losem Wuja.

- To moja wina, Wuju - powiedział.

Sierżant Brackman przecisnął się przez krąg i stanął nad Wujem i Boazem.

- Co on narozrabiał, Boaz? - zapytał.

- Żartowałem sobie z niego, panie sierżancie - odparł szczerze Boaz. - Powiedziałem, żeby sięgnął pamięcią tak daleko, jak potrafi. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że weźmie i spróbuje.

- Trzeba mieć trochę oleju w głowie! Żartować sobie z faceta, który dopiero co wyszedł ze szpitala! - burknął Brackman.

- Wiem, wiem - przyznał Boaz, wielce skruszony. - I to mój kumpel... - dodał. - Niech mnie jasna cholera!

- Wuju - zwrócił się Brackman do Wuja. - Nie mówili ci w szpitalu o przypominaniu sobie?

Wujo niepewnie pokręcił głową.

- Może i tak – powiedział. – Dużo mi mówili.

- To najgorsze, co możesz zrobić, Wuju – rzekł Brackman. – Usiłować przypomnieć sobie, co było. Właśnie dlatego wzięli cię do szpitala: bo za dużo pamiętałeś. – Brackman złożył kanciaste dłonie w miseczkę, a w niej umieścił bolesny problem Wuja. – Święty Boże – westchnął. – Pamiętałeś, Wuju, tak mnóstwo, że jako żołnierz nie byłeś wart funta kłaków. Wuj o usiadł, położył dłoń na piersi i stwierdził, że cały przód bluzy ma mokry od łez. Przeszło mu przez myśl, żeby wyjaśnić Brackmanowi, że wcale nie starał się wysilać pamięci, że instynktownie wyczuł w tym przewinienie – a mimo to ból go poraził. Nie powiedział tego jednak, w obawie, że ból powróci.

Wuj o jęknął i wymrugał z oczu resztki łez. Postanowił, że nie robi absolutnie nic, póki nie otrzyma wyraźnego rozkazu działania.

- A ty, Boaz – powiedział Brackman. – Nie wiem, może tygodniowy dyżur w latrynie nauczy cię, co to znaczy robić sobie jaja z ludzi, którzy dopiero co wyszli ze szpitala. Jakaś bezkształtna część pamięci Wuja kazała Wujowi bacznie obserwować rozgrywkę pomiędzy Brackmanem a Boazem. Nie wiedzieć czemu, było to bardzo ważne.

- Tydzień, panie sierżancie? – zapytał Boaz.

- Tak jest, jak Boga kocham – odpowiedział Brackman, po czym zadrżał i przymknął oczy. Antena zaserwowała mu najwyraźniej delikatne ukłucie bólu.

- Cały tydzień, panie sierżancie? – upewnił się powtórnie Boaz z miną niewiniątka.

- Dzień – poprawił się Brackman i zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż jak groźba. Brackman ponownie wzdrygnął się na impuls bólu pod czaszką.

- Od kiedy, panie sierżancie? – indagował Boaz. Brackman zamachał kanciastymi dłońmi.

- Nieważne – powiedział. Wydawał się roztrzęsiony, zawiedziony, zaszczuty. Wciągnął głowę w ramiona, jakby zamierzał tym sposobem skuteczniej odeprzeć atak bólu, jeśli ból się powtórzy. – Dosyć kawałów, do jasnej cholery! – wycharczał. Po czym oddalił się w pośpiechu, wpadł do swojego pokoju w samym końcu baraku i trzasnął drzwiami.

Dowódca kompanii, niejaki kapitan Arnold Burch, wszedł do baraku celem dokonania lotnej inspekcji.

Pierwszy zobaczył go Boaz. Boaz uczynił to, co w podobnych okolicznościach powinien uczynić wzorowy żołnierz. Boaz wrzasnął: „Baa-czność!” Boaz uczynił to, chociaż nie legitymował się żadną rangą. Jest ciekawostką ceremoniału wojskowego, że nawet najniższy rangą szeregowiec może postawić na baczność innych szeregowców i podoficerów, jeśli pierwszy dostrzeże obecność oficera na terenie zadaszonym. Zasada ta nie obowiązuje na polu walki.

Anteny żołnierzy zareagowały natychmiast: wyprostowały żołnierzom plecy, usztywniły kończyny, wciągnęły bebechy, schowały pośladki, wyjałowiły mózgi. Wuj o zerwał się z ziemi i wyprężył sztywno, drżąc z zimna.

Tylko jeden żołnierz nie spieszył się z przyjęciem postawy zasadniczej. Tym żołnierzem był Boaz. A kiedy już w końcu stanął na baczność, w jego postawie była jakaś arogancja, jakaś nadmierna swoboda, jakaś drwina.

Kapitan Burch, uznawszy postawę Boaza za obraźliwą, zamierzał powiedzieć Boazowi parę słów. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, gdy ból rąbnął go między oczy.

Kapitan zamknął usta, nie wymówiwszy ani słowa.

Odprowadzany złowieszczym spojrzeniem Boaza, kapitan zwinnie stanął na baczność, zrobił w tył zwrot, usłyszał werble pod czaszką i w ich takt wymaszerował z baraku.

Po wyjściu kapitana Boaz nie wydał towarzyszącej broni komendy „spocznij”, chociaż było to w jego mocy. W prawej przedniej kieszeni spodni Boaz nosił niewielką skrzynkę kontrolną, dzięki której mógł nakłonić swych towarzyszy niemal do wszystkiego. Skrzynka miała rozmiary ćwierćlitrowej piersiówki. Podobnie jak piersiówka, uwypuklała się pośrodku, by szczelniej przylegać do ciała. Boaz nosił ją na twardej, wypukłej powierzchni uda.

Skrzynka kontrolna zaopatrzona była w sześć guziczków i cztery pokrętła. Manipulując nimi, Boaz był w stanie sterować każdym, kto miał pod czaszką antenę. Boaz mógł każdemu zaordynować ból o dowolnym nasileniu -mógł postawić na baczność, mógł sprawić, że właściciel anteny usłyszy werble, mógł nakazać marsz, stój, padnij, powstań, prezentuj broń, do ataku,

wrót, do biegu, gotowi, start...

Boaz nie miał anteny pod czaszką.

Wolna do woli – oto jak dalece wolna była wolna wola Boaza.

Boaz był jednym z rzeczywistych dowódców Marsjańskich Sił Zbrojnych. Dowodził jedną dziesiątą wojsk, które miały zaatakować Stany Zjednoczone Ameryki w chwili, gdy padnie sygnał do natarcia. Pozostałe jednostki szkoliły się do zaatakowania kolejno: Związku Radzieckiego, Szwajcarii, Japonii, Australii, Meksyku, Chin, Nepalu, Urugwaju...

O ile Boaz się orientował, w Marsjańskich Siłach Zbrojnych było ośmiuset rzeczywistych dowódców, przy czym żaden nie przerastał rangą zwykłego sierżanta. Nominalny wódz całej armii, generał armii Borders M. Pulsifer, znajdował się w istocie pod stałą kontrolą swego ordynansa, kaprała Berta Wrighta. Wzorowy ordynans Bert Wright zawsze nosił przy sobie aspirynę dla generała, który cierpiał na chroniczne niemal bóle głowy.

Zalety systemu tajnego dowodzenia są oczywiste.

Wszelkie ewentualne rozruchy w Marsjańskich Siłach Zbrojnych kierowałyby się zawsze przeciwko niewłaściwym osobom. Podczas wojny zaś wróg mógł spokojnie wytrzebić cały marsjański korpus oficerski, nie zakłócając porządku armii Marsa w najmniejszym nawet stopniu.

– Siedmiuset dziewięćdziesięciu dziewięciu – poprawił Boaz na głos swój uprzedni szacunek liczby rzeczywistych dowódców. Jeden z rzeczywistych dowódców już nie żył, uduszony przy palu przez Wuję. Uduszonym był sierżant Stony Stevenson, były rzeczywisty dowódca jednostki szykującej atak na Wielką Brytanię. Stony tak się zafascynował wysiłkami Wuję zmierzającymi ku zrozumieniu, co jest grane, że zaczął nieświadomie pomagać Wujowi w myśleniu.

Stevensona spotkało za to najwyższe upokorzenie. Wmontowano mu pod czaszkę antenę, na polecenie której przemaszerował do pala, aby tam czekać śmierci z rąk swojego protegowanego.

Boaz zostawił towarzyszy broni w postawie zasadniczej – zostawił ich drżących, bezmyślnych, ślepych na wszystko dookoła. Boaz podszedł do pryczy Wuję i wyciągnął się na niej, plasując swe ogromne, lśniące buty na brązowym kocu. Splecione dłonie założył za głowę i wyprężył się w łuk.

– Aaaa – powiedział. Było to coś pośredniego między ziewaniem a stęknieniem. – Aaaaa...

no, chłopcy, chłopcy, chłopcy – powtórzył bezmyślnie. – Chłopaki, do jasnej cholery. – Był to bezsensowny, rozleniwiony bełkot. Boaz znudził się już trochę swoimi zabawkami. Przyszło mu do głowy, żeby ich może wzajemnie na siebie ponapuszczać, ale karą za to, gdyby go przyłapano, było to samo, co spotkało Stony'ego Stevensona.

– Aaaaa... no, chłopaki. Słuchajcie no, chłopaki – przemówił sennie Boaz. – Do jasnej cholery, chłopcy, nieźle się spisałem. Musicie przyznać. Panu Boazowi świetnie się, można powiedzieć, powodzi.

Sturlał się z łóżka, wylądował na czworakach i podskoczył na równe nogi ze zwinnością pantery. Robił wszystko, co mógł, żeby się maksymalnie nacieszyć swą uprzywilejowaną pozycją życiową.

– Wy, chłopaki, też nie macie najgorzej – przemówił do swych zeszywniałych towarzyszy broni. – Jeśli się wam wydaje, że macie źle, to powinniście zobaczyć, jak się obchodzimy z generałami. – Zachichotał gardłowo. – Przedwczoraj w nocy pokłóciliśmy się z innymi prawdziwymi dowódcami o to, który generał najszybciej biega. Trzask-prask, powyciągaliśmy wszystkich dwudziestu trzech generałów z łóżek, każdy goły jak święty turecki, i ustawiliśmy ich w szeregu jak konie wyścigowe. Potem przyjęliśmy zakłady, no a później puściliśmy generałów w kłus, jakby ich gonił sam diabeł. Pierwszy był generał Stover, zaraz za nim generał Harrison, a za Harrisonem generał Mosher. Rano każdy jeden generał był sztywny jak kłoda. Żaden nie pamiętał, co się działo w nocy.

Boaz znowu zakrztusił się śmiechem, po czym doszedł do wniosku, że jego uprzywilejowana pozycja życiowa wyglądałaby o wiele lepiej, gdyby ją potraktował poważnie – gdyby pokazał wszystkim, jakie to ciężkie brzemie dźwiga na swoich barkach i jak dumny jest z tego, że może je dźwigać. Cofnął się z namaszczeniem, założył kciuki za pasek i zatkał dramatycznie:

– O nie, to nie zabawa, w żadnym razie. – Ciężko dowlókl się do Wuję, zatrzymał się tuż przy nim i zlustrował go od góry do dołu. – Wuju – powiedział. – Nie chcę ci nawet mówić, ile

czasu poświęciłem na myślenie o tobie, na zamartwianie się o ciebie, Wuju.

Boaz kiwał się na piętach.

- Dalej próbujesz rozwiązywać zagadki, prawda, Wuju? Wiesz, ile razy brali cię do szpitala, żeby ci wyczyścić tę cholerną pamięć? Siedem razy, Wuju, siedem! Wiesz, ilu zwykle potrzeba zabiegów, żeby skutecznie pozbawić człowieka pamięci? Jednego, Wuju. Tylko jednego! - Boaz strzelił palcami tuż pod nosem Wuja. - Raz... i starczy. Jeden jedyny raz - i człowiek już nigdy niczym nie zawraca sobie głowy. - Boaz z niedowierzaniem pokręcił głową. - Każdy, tylko nie ty, Wuju.

Wujo zadrżał.

- Za długo cię trzymam na baczność, co. Wuju? - zapytał Boaz. Zgrzytnął zębami. Od czasu do czasu nie potrafił sobie odmówić przyjemności potorturowania Wuja.

Po pierwsze: Wujo miał na Ziemi wszystko, a Boaz nie miał nic.

Po drugie: Boaz był w perfidny sposób zależny od Wuja, czy też miał być od niego uzależniony od chwili, gdy wylądują na Ziemi. Boaz był sierotą; gdy zwerbowano go na Marsa, miał zaledwie czternaście lat - i zielonego pojęcia o tym, jak się można zabawiać na Ziemi.

Liczył, że dowie się tego od Wuja.

- Chcesz wiedzieć, kim jesteś, skąd pochodzisz, czym byłeś? - zapytał Boaz Wuja. Wujo trwał niewzruszenie w postawie zasadniczej, absolutnie bezmyślny, głuchy na wszystko, co Boaz mógłby mu mieć do powiedzenia. Boaz zresztą nie mówił dla pożytku Wuja. Boaz sam siebie upewniał co do kumpla, który będzie przy nim, gdy wylądują na Ziemi.

- Stary! - zaskowyczał Boaz Wujowi prosto w twarz. - Jesteś jednym z największych szczęściarzy na świecie! Tam, na Ziemi, stary, byłeś królem!

Jak większość obiegowych wiadomości, które kursowały na Marsie, informacje Boaza o Wuju były mocno mętne. Boaz nie potrafiłby wskazać źródeł poszczególnych informacji. Wylądował je to tu, to tam, z ogólnego podkładu dźwiękowego, który towarzyszył życiu armii. A jako wzorowy żołnierz, nie mógł sobie pozwolić na zadawanie pytań i próby uzupełniania wiedzy.

Wiedza żołnierza wcale nie musiała być pełna.

W rezultacie Boaz nie wiedział o Wuju nic poza tym że Wujo był niegdyś wielkim szczęściarzem. Tkał wokół tego zawiązka informacji.

- To znaczy - ciągnął Boaz - że nie było, Wuju, takiej rzeczy, której nie mógłbyś mieć, nie było takiej rzeczy, której nie mógłbyś zrobić, nie było takiego miejsca do którego nie mógłbyś dotrzeć!

Wychwalając cud Wujowego szczęścia na Ziemi, Boaz wyrażał jednocześnie swoje wielkie przejęcie innym cudem: mistycznym przekonaniem, że on sam miał na Ziemi wyjątkowo parszywe szczęście.

Boaz użył następnie trzech magicznych słów, które, w jego mniemaniu, opisywały największe szczęście, jakiego człowiek może dostąpić na Ziemi: nocne kluby Hollywood. Boaz nigdy nie widział Hollywood na oczy, nigdy też nie oglądał nocnego klubu.

- Stary! - powiedział. - Dniami i nocami przesiadywałeś w nocnych klubach Hollywood!

Stary! - ciągnął Boaz przemową do sztywnego Wuja. - Miałeś wszystko, czego człowiek potrzebuje, żeby urządzić się na Ziemi, i dobrze wiedziałeś, co z tym robić.

Stary - Boaz starał się zamaskować groteskową bezkształtność swoich pragnień. - Będziemy chodzić po różnych fantastycznych miejscach i zamawiać fantastyczne rzeczy; będziemy się pokazywać z fantastycznymi ludźmi, i w ogóle zafundujemy sobie niekiepską balangę! - Potrząsną? Wuja za ramię. - Kumple - to my, kumplu! o zesz ty - będziemy sławną parą, Wuju! Będziemy wszędzie!

Patrzcie, to ten stary szczęściarz Wujo i jego kumpel Boaz! - zawołał Boaz, łudząc się, że takim właśnie okrzykiem będą ich witać Ziemianie po opanowaniu planety przez armię Marsa. - Oto i oni, radośni jak szczygiełki! - Boaz zachichotał i uchnął na myśl o radosnej parze szczygiełków.

Uśmiech zamarł mu na ustach.

Uśmiechy Boaza nigdy nie miały długiego żywota. Gdzieś głęboko w środku Boaz był chory ze strachu. Był chory ze strachu o utratę posady. Nigdy nie pojął do końca, jak mu się ona trafiła

- jak mu się trafił ten wielki przywilej. Nie wiedział nawet, komu zawdzięcza swoją ciepłą posadkę.

Nie wiedział nawet, kto jest dowódcą rzeczywistych dowódców.

Nikt mu nigdy nie wydał rozkazu - nikt, kto mógłby uchodzić za przełożonego rzeczywistych dowódców. Boaz - jak wszyscy autentyczni dowódcy - kierował się w swych posunięciach tym, co najbliżej określa termin „towarzyskie ploteczki” - ploteczki krążące w grupie rzeczywistych dowódców.

Autentyczni dowódcy spotykali się w późnych godzinach wieczornych, a ploteczki wędrowały wokół stołu na równi z piwem, krakersami i serem.

Pojawiała się, na przykład, ploteczka o marnotrawstwie w magazynach albo o potrzebie autentycznych kontuzji i emocji podczas treningów jujitsu dla żołnierzy, albo też o niechlujstwie żołnierzy, którzy sznurując sztylpy opuszczają dziurki. Boaz, tak samo jak inni, przekazywał ploteczki dalej, nie mając zielonego pojęcia o ich źródle - i na nich właśnie bazował swoje działania.

Egzekucja Stony'ego Stevensona, którą przeprowadził Wujo, dotarła do wiadomości rzeczywistych dowódców w podobny sposób. Ni stąd, ni zowąd, stała się gwoździem konwersacji.

Ni stąd, ni zowąd rzeczywiści dowódcy wpakowali Stony'ego do aresztu.

Boaz dotknął skrzynki kontrolnej, którą nosił w kieszeni, nie ruszając na razie ani gałek, ani guzików. Zajął swe miejsce między tymi, którymi zdalnie sterował, z własnej woli przyjął postawę zasadniczą, nacisnął guzik i przyjął postawę spocznij razem z pozostałymi towarzyszami broni, którzy przyjęli postawę spocznij.

Boaz miał wielką ochotę napić się alkoholu. Wolno mu było używać alkoholu, kiedy tylko zechciał. Autentyczni dowódcy regularnie otrzymywali z Ziemi olbrzymie dostawy wszelkich gatunków alkoholu. Oficerowie też mogli pić do woli, ale przysługiwał im tylko jeden gatunek. Alkohol, którym raczyli się oficerowie, był to wściekle zielony trunek pędzony na miejscu ze sfermentowanego mchu.

Boaz jednak nie pił nigdy. Pierwszym powodem, dla którego nie pił, był strach przed tym, że alkohol obniży jego żołnierską sprawność. Drugim powodem, dla którego nie pił, był strach przed tym, że zapomni się i postawi wódkę zwykłemu żołnierzowi.

Rzeczywistemu dowódcy, który poczęstowałby alkoholem zwykłego żołnierza, groziła kara śmierci.

- Tak, Panie - rzekł Boaz, włączając swój głos w ogólną wrzawę rozluźniających stawy żołnierzy.

W dziesięć minut później sierżant Brackman zarządził odpoczynek, w ramach którego wszyscy żołnierze mieli obowiązek opuścić baraki i podjąć grę w szwabską szmaciankę - czołowy sport żołnierzy z armii Marsa.

Wujo wymknął się cichaczem.

Wujo wymknął się cichaczem do baraku 12, żeby poszukać pod błękitnym kamieniem listu - listu, o którym dowiedział się od swojej rudowłosej ofiary.

Wszystkie baraki w odnośnej kwaterze stały puste.

Na maszcie flagowym przed nimi powiewało świeże powietrze.

Opustoszałe baraki były niegdyś kwaterą Komandosów Marsjańskich. Przed miesiącem Komandosi zniknęli cichcem w środku nocy. Usmoliwszy twarze i przytwierdziwszy przylepcem blaszki identyfikacyjne, żeby nie brzęczały, odlecieli raketami w nieznanym kierunku.

Komandosi Marsjańscy specjalizowali się w duszeniu wartowników pętłami z fortepianowych strun.

Nieznany celem ich podróży był księżyc planety Ziemia. Tam mieli rozpocząć inwazję.

Wujo odnalazł błękitny kamień za kotłownią baraku dwunastego. Był to turkus. Turkus jest pospolitym minerałem na Marsie. Turkus znaleziony przez Wuja był płytą o boku długości jednej stopy.

Wujo zajrzał pod spód. Znalazł aluminiową tulejkę z nakrętką. Wewnątrz tulejki znajdował się bardzo długi list napisany ołówkiem.

Wujo nie wiedział, kto jest autorem listu. I nie bardzo miał jak zgadywać, ponieważ znał

z imienia tylko trzech ludzi: sierżanta Brackmana, Boaza i Wuję.

Wujo wszedł do kotłowni i zamknął za sobą drzwi.

Był bardzo przejęty, chociaż nie rozumiał, dlaczego. Zabrał się do czytania przy skąpym świetle spoza brudnej szyby.

List zaczynał się słowami: Drogi Wuju!

Drogi Wuju! – zaczynał się list. – Bóg mi świadkiem, nie jest tego wiele, ale zapisałem tu kilka rzeczy, które wiem na pewno, a na końcu znajdziesz listę pytań, na które powinieneś za wszelką cenę uzyskać odpowiedzi. To bardzo ważne pytania. Zastanawiałem się nad nimi o wiele więcej niż nad odpowiedziami, które już uzyskałem. Oto pierwsze, co wiem na pewno:

(1.) Jeśli pytanie nie ma sensu, odpowiedź również nie będzie miała sensu.

Każda rzecz, którą autor listu wiedział na pewno, miała swój numer, jakby dla podkreślenia bolesnego, mozolnego charakteru zabawy w odnajdywanie pewników. Rzeczy, które autor listu wiedział na pewno, było sto pięćdziesiąt osiem. Pierwotnie było ich sto osiemdziesiąt pięć, ale siedemnaście wykreślono.

Punkt drugi brzmiał: (2.) Jestem tak zwanym przedmiotem ożywionym.

Punkt trzeci brzmiał: (3.) Znajduję się w miejscu zwanym Mars.

Punkt czwarty brzmiał: (4.) Należę do części czegoś, co się nazywa armia.

Punkt piąty brzmiał: (5.) Armia zamierza zabić inne przedmioty ożywione, znajdujące się w miejscu zwanym Ziemią.

Żaden z pierwszych osiemdziesięciu jeden punktów nie został skreślony. Przez pierwsze osiemdziesiąt jeden punktów autor zbliżał się do spraw coraz bardziej subtelnych i robił coraz więcej błędów.

Boaza rozszyfrował i pozbył się go już na samym wstępie zgaduj-zgaduli.

46.) Uważaj na Boaza, Wuju. On nie jest tym, na kogo wygląda.

(47.) W prawej kieszeni Boaz nosi coś, co zadaje ludziom ból w głowie, jeśli zrobią coś, co się Boazowi nie spodoba.

(48.) Nie tylko Boaz ma to coś, co zadaje ból w głowie. Na oko nie rozpoznasz, kto to ma, a kto nie, więc bądź miły dla wszystkich.

(71.) Wuju, mój drogi – prawie wszystko, co wiem na pewno, jest owocem zmagania z bólem, który zadaje antena – wyjaśniał dalej autor listu. – Ilekroć odwracam się, żeby na coś popatrzeć, i czuję ból, odwracam się tym bardziej, bo wiem, że zobaczę coś, czego nie powinienem zobaczyć. Ilekroć stawiam pytanie i czuję ból, wiem, że postawiłem naprawdę dobre pytanie. Następnie dzielę to pytanie na małe części i pytam o każdą część z osobna. Otrzymuję wówczas serię odpowiedzi częściowych, które następnie łączę w całość, aby otrzymać odpowiedź na całe pytanie.

(72.) Im lepiej uczę się znosić ból, tym więcej się dowiaduję. Ty, Wuju, na razie boisz się bólu, ale jeśli nie będziesz go prowokował – nie dowiesz się niczego. A im więcej się dowiesz, tym radośniej będziesz znosił ból.

W kotłowni opustoszałego baraku Wujo na chwilę odłożył list. Zbierało mu się na płacz, gdyż bohatera wiara autora listu w Wuję nie mogła być bardziej mylnie zaadresowana. Wujo wiedział, że nie zniósłby nawet ułamka bólu, jaki wytrzymał autor listu – że nie zdołałby do tego stopnia pokochać prawdy.

Nawet maleńkie próbne dźgnięcie, jakie zaserwowano mu w szpitalu, było tortura nie do zniesienia. Na wspomnienie straszliwego bólu, jakim Boaz poraził go w baraku, Wujo gwałtownie zachłysnął się powietrzem, jak konająca na brzegu ryba. Wolałby umrzeć, niż wystawić się na kolejne ryzyko takiego bólu.

Oczy zaszklily mu się łzami.

Gdyby teraz spróbował coś powiedzieć, zatkałby rozpaczliwie.

Biedny Wujo, już nigdy nikomu nie chciał się narażać. Całą wiedzę, jaką oferował mu list – wiedzę zdobytą dzięki cudzemu bohaterstwu – postanowił wykorzystać do unikania bólu w przyszłości.

Wujo pomyślał, że może niektórzy ludzie są bardziej odporni na ból. Pomyślał, że z takim właśnie przypadkiem ma tu zapewne do czynienia. Ze łzami w oczach powiedział sobie, że on sam jest pod tym względem wyjątkowo nieodporny. Wujo nie życzył źle autorowi listu, ale

życzył mu, żeby choć raz poczuł ból tak, jak go odczuwa Wuj.

Może wówczas zaadresowałby swój list do” kogoś innego.

Wuj nie miał możliwości sprawdzenia, na ile rzetelne były zawarte w liście informacje.

Wszystko chłonał łapczywie, bezkrytycznie. A chłonać, zaczynał pojmować życie dokładnie tak, jak je pojmował autor listu. Wuj jednym haustem przełknął całą filozofię życiową.

Filozofia ta nadziewana była plotką, historią, astronomią, biologią, teologią, geografią, psychologią, medycyną – a nawet krótką formą literacką.

Oto pierwsze z brzegu przykłady.

Plotka: (22.) Generał Borders chodzi wiecznie pijany. Chodzi tak pijany, że nie potrafi nawet przyzwoicie zasnurować butów, żeby mu się nie rozwiązywały. Oficerowie są tak samo skołowani i nieszczęśliwi jak wszyscy. Ty też, Wuju, byłeś kiedyś oficerem i miałeś własny batalion.

Historia: (26.) Cała ludność Marsa przybyła z Ziemi. Myśleli, że na Marsie będzie im się lepiej powodziło. Nikt już nie pamięta, dlaczego na Ziemi było mu tak niedobrze.

Astronomia: (11.) Wszystko, co jest na niebie, obraca się wokół Marsa raz na dobę.

Biologia: (58.) Nowi ludzie wydostają się z kobiet, kiedy kobiety śpią z mężczyznami. Na Marsie nowi ludzie prawie nigdy nie wychodzą z kobiet, gdyż mężczyźni i kobiety sypiają tu oddzielnie.

Teologia: (15.) Ktoś to wszystko zrobił w jakimś celu.

Geografia: (16.) Mars jest kulisty. Jedyne miasto na Marsie nazywa się Phoebe. Nikt nie wie, dlaczego miasto nazywa się Phoebe.

Psychologia: (103.) Wuju! Największą wadą kardynalnych durniów jest to, że są za bardzo głupi, by uwierzyć w coś takiego jak mądrość.

Medycyna: (73.) Kiedy na Marsie wywabiają człowiekowi pamięć, nigdy nie wywabiają jej doszczętnie. Czyszczą jak gdyby tylko sam środek. Zawsze sporo zostaje po kątach. Krążą opowieści o tym, jak to kilku ludziom spróbowano wyczyścić pamięć do cna. Nieszczęśnicy, których to spotkało, nie potrafili chodzić ani mówić, ani nic. Ponieważ nie bardzo było wiadomo, co z nimi począć, postanowiono ich wytresować, wyuczyć podstawowego zasobu tysiąca słów i przydzielić pracę w urzędach wojskowych lub cywilnych.

Krótką formą literacką: (89.) Twoim najlepszym przyjacielem, Wuju, jest Stony Stevenson.

Stony jest duży, wesoły i silny, i wypija ćwiartkę whisky dziennie. Stony nie ma pod czaszką anteny i pamięta wszystko, co mu się zdarzyło. Podaje się za asa wywiadu, ale jest jednym z rzeczywistych dowódców. Poprzez zdalne sterowanie kontroluje szturmową kompanię piechoty, która szykuje się do ataku na pewne miejsce na Ziemi zwane Anglią. Stony pochodzi z Anglii.

Stony’emu podoba się armia Marsa, bo jest taka śmieszna. Stony śmieje się bez przerwy. Kiedy się dowiedział, co z ciebie za świrus, Wuju, specjalnie przyszedł do twojego barku, żeby ci się przypatrzeć. Udawał przyjaciela, żeby cię naciągnąć na rozmowę. Po chwili zacząłeś mu ufać i wyłożyłeś mu część swoich tajnych teorii dotyczących życia na Marsie. Stony próbował się roześmiać, ale nagle uprzytomnił sobie, że mówisz mu o rzeczach, o jakich sam nie miał pojęcia.

Nie mógł się z tym pogodzić, gdyż – teoretycznie – to on powinien był wiedzieć wszystko, a ty nie powinieneś był wiedzieć nic. A potem ty zadałeś Stony’emu mnóstwo ważnych pytań, a on potrafił odpowiedzieć tylko na połowę z nich. Potem Stony wrócił do swojego baraku, ale pytania, na które nie potrafił ci odpowiedzieć, ciągle krążyły mu po głowie. Tej nocy nie mógł zasnąć, chociaż pił, pił i pił. Zaczął się orientować, że ktoś go wykorzystuje, a on nie ma pojęcia, kto to jest. Nie wiedział nawet, po co właściwie istnieją Marsjańskie Siły Zbrojne. Nie wiedział, dlaczego Mars zamierza zaatakować Ziemię. A im więcej przypominał sobie na temat Ziemi, tym głębiej był przekonany, że Marsjańskie Siły Zbrojne mają tam mniej więcej takie same szanse, jak śnieżna kula w piekle. Zmasowany atak na Ziemię był pewnym samobójstwem. Stony zastanowił się, z kim mógłby o tym pogadać, i jedynie ty, Wuju, przyszedłeś mu do głowy. Więc Stony zwlókł się z łóżka mniej więcej na godzinę przed świtem, wśliznął się do twojego baraku i obudził cię.

Powiedział ci wszystko, co wiedział o Marsie. Powiedział też, że od tej chwili będzie ci mówił wszystko, kurwa, czego się dowie, a ty masz mu mówić wszystko, kurwa, czego sam się dowiesz. I co jakiś czas mieliście siadać gdzieś na boku i składać to wszystko do kupy. Potem dał ci butelkę whisky. Napiliście się obaj i Stony powiedział ci, że jesteś jego najlepszym, kurwa, przyjacielem.



Powiedział, że jesteś jedynym, kurwa, przyjacielem, jakiego w ogóle ma na Marsie, chociaż bez przerwy jest wesoły, a potem się rozpląkał i mało nie pobudził tych, co spali obok ciebie. Kazał ci uważać na Boaza, a na koniec wrócił do swojego baraku i zasnął jak dziecko.

Dalszy ciąg listu był dokumentacją wyników działań tajnej grupy obserwacyjnej w składzie: Stony Stevenson i Wuj. W dalszym ciągu listu wszystkie niemal pewniki poprzedzono zwrotem: „Stony twierdzi” albo: „Odkryłeś, że”, albo: „Powiedziałeś Stony’emu”, albo: „Którejś nocy na strzelnicy spiliście się ze Stonym w cztery dupy i doszliście do wniosku, że...”

Najważniejszy wniosek, do jakiego doszli pijani w cztery dupy Stony i Wuj, był taki, że właściwym dowódcą całego Marsa jest potężny, łagodny, uśmiechnięty, melodyjnie zaciągający mężczyznę, który zawsze pokazuje się z potężnym psem. Człowiek z psem pojawiał się – jak informował Wuj list – mniej więcej raz na sto dni, aby wziąć udział w tajnym posiedzeniu rzeczywistych dowódców armii Marsa.

List nie wyjaśniał – gdyż jego autor o tym nie wiedział – że mężczyzną i psem byli kolejno: Winston Niles Rumfoord i Kazak, Pies z Kosmosu. Ich wizyty na Marsie wcale nie były nieregularne. Rumfoord i Kazak, infundybuloowani chronosynklastycznie, pojawiali się na Marsie z częstotliwością równie łatwą do przewidzenia, jak pojawienie się komety Halleya. Pojawiali się tam co sto jedenaste dni.

Jak informował Wuj list: (155.) Zdaniem Stony’ego, ten wielkolud z psem pojawia się na zebraniach i robi wszystkich w jajo. Umie niezłe czarować, więc zanim jeszcze zebranie dobiegnie końca, wszyscy usiłują myśleć dokładnie tak, jak on. Wszystko, co przychodzi ludziom do głowy, pochodzi od niego. A on się tylko uśmiecha i zaciąga tym swoim śmiesznym głosem, faszerując wszystkie głowy nowymi pomysłami. A potem uczestnicy zebrania wymieniają poglądy, jakby je właśnie osobiście wymyślili. On ma hopla na punkcie szwabskiej szmacianki. Nikt nie wie, jak on się nazywa. Kiedy, go zapytać – tylko się śmieje. Zazwyczaj nosi mundur oddziałów narciarsko-desantowych, ale rzeczywisty dowódca wojsk narciarsko-desantowych zaklina się, że widuje go tylko na zebraniach.

(156.) Wuj, mój stary przyjacielu! – głosił dalej list. -Dopisuj do tego listu każdą rzecz, jaką odkryjecie ze Stonym. List trzymaj w bezpiecznym ukryciu. Pamiętaj powiadomić Stony’ego o każdej zmianie kryjówki. Dzięki temu, nawet gdybyś trafił do szpitala na czyszczenie pamięci, Stony będzie ci mógł powiedzieć, gdzie masz się udać, żeby odzyskać pamięć,

(757.) Wuj, czy wiesz, dlaczego się jeszcze jako tako trzymasz? Trzymasz się, bo masz swoją kobietę i dziecko. Prawie nikt na Marsie nie ma ani jednego, ani drugiego. Twoja kobieta nazywa się Be. Pracuje jako instruktorka w Szkole Oddechowej Schliemanna w Phoebe. Twój syn ma na imię Chrono. Zdaniem Stony’ego Stevensona Chrono jest szkolnym mistrzem gry w szwabską szmaciankę. Be i Chrono, jak wszyscy mieszkańcy Marsa, nauczyli się żyć samotnie. Nie tęsknią za tobą. W ogóle o tobie nie myślą. Ty jednak musisz im udowodnić, że potrzebują cię, jak niczego na świecie.

(J58.) Wuj, ty pierdolnięty sukinsynu, ja cię kocham. Jesteś szajbus jak ta lala. Kiedy już zbierzesz do kupy tę swoją rodzinę, gwizdnij gdzieś raketę i spływajcie tam, gdzie jest cicho i pięknie, i gdzie nie trzeba bez przerwy łykać pigułę, żeby nie wykitować. Zabierz ze sobą Stony’ego. A jak już będziecie na miejscu, nie żałujcie czasu na dociekanie, dlaczego ktoś, kto to wszystko urządził, urządził to, i po co.

Teraz Wujowi został do przeczytania jedynie podpis pod listem.

Podpis ten znajdował się na oddzielnej kartce.

Zanim Wuj na niego spojrział, spróbował wyobrazić sobie psychikę i wygląd zewnętrzny autora listu. Autor listu był nieustraszony. Autor listu był tak gorącym miłośnikiem prawdy, że z własnej woli wystawiał się na dowolnie silny ból, byle tylko powiększyć swój zasób prawd. Górował i nad Wujem, i nad Stonym. Obserwował ich konspiracyjną działalność i opisywał ją z sympatią, rozbawieniem i dystansem.

Wuj wyobrażał go sobie jako wspaniałego siwobrodego starca o posturze kowala.

Wuj odwrócił kartkę i odczytał podpis.

Pozdrawiam cię najserdeczniej – głosiła formułka nad podpisem.

Sam podpis zajmował niemal całą stronę. Składał się z czterech drukowanych liter, każda wysokości sześciu cali i szerokości dwóch. Litery były koślawe, jakby wysmarowane z wielkim

przejęciem przez przedszkolaka. Oto podpis:

Był to podpis Wujka.

Bohaterskim autorem listu był Wujko.

Wujko napisał ten list do siebie samego, zanim poddano go zabiegowi czyszczenia pamięci.

List był pierwszej wody literaturą, gdyż dzięki niemu Wujko poczuł się dzielny, czujny i potajemnie wolny. Stał się swoim własnym bohaterem w godzinie wielkiej potrzeby.

Wujko nie wiedział, że człowiekiem, którego zamordował przy palu, był jego najlepszy przyjaciel, Stony Stevenson. Gdyby o tym wiedział, być może popełniłby samobójstwo. Los jednak oddalił od niego tę wiedzę na wiele lat.

Kiedy Wujko powrócił do baraku, żołnierze ostrzyli właśnie maczety i bagnety wielkimi płachtami papieru ściernego. Wszyscy cyzelowali ostrza.

Na wszystkich twarzach widniał charakterystyczny potulny uśmiezek. Był to uśmiezek potulnego baranka, który, w sprzyjających okolicznościach, z rozkoszą dokona krwawego mordy. Pułk otrzymał właśnie rozkaz bezwzględnego przemaszerowania na pokłady swoich statków kosmicznych.

Wojna z Ziemią została rozpoczęta.

Jednostki Komandosów Marsjańskich unieszkodliwiły już wszelką aparaturę na ziemskim Księżycu. Komandoskie baterie rakietowe ostrzeliwały teraz z Księżyca wszystkie większe miasta, robiąc piekło na Ziemi.

Aby zaś umilić Ziemianom kontemplację piekła, radio marsjańskie ciurkiem emitowało na Ziemię taką oto wiadomość, w postaci ogłupiającego muzycznego kupletu:

Ejże, czarny, biały, żółty – poddaj się lub zgiń,

Ejże, czarny, biały, żółty – poddaj się lub zgiń.

## Rozdział 6

### Dezertor czasu wojny

„Zupełnie nie rozumiem, dlaczego szwabska szmacianka nie jest dyscypliną olimpijską – i to najwyższej rangi.”

(-)

Winston Niles Rumfoord

Równina, na której stała flota inwazyjna, oddalona była od obozu o sześć mil marszu. Trasa przecinała północno-zachodni kraniec Phoebe – jedyne miasta na Marsie.

Według „Kieszonkowej historii Marsa” Winstona Nilesa Rumfoorda, liczba mieszkańców Phoebe w okresie szczytowego zaludnienia miasta wynosiła osiemdziesiąt siedem tysięcy. Każda istota i każda budowla w mieście Phoebe pozostawały w bezpośrednim związku z wysiłkiem mobilizacyjnym. Armia zatrudnionych w Phoebe robotników sterowana była, tak samo jak żołnierze, poprzez umieszczone pod czaszkami anteny.

Kompania Wujka przecinała właśnie północno-zachodni kraniec Phoebe, maszerując pośrodku macierzystego pułku w kierunku oczekującej eskadry. Utrzymywanie żołnierzy w marszu i w szyku za pomocą impulsów z anten uznano chwilowo za zbędne. Żołnierze byli teraz sterowani gorączką wojny.

Idąc, śpiewali i mocno stukali żelaznymi obcasami w żelazną ulicę. Śpiewali krwiożerczą pieśń:

Strach, żałoba, spustoszenie -

Hejże, hejże ha! -

Niech ogarną całą Ziemię!

Hejże, hejże ha!

Ziemia w ogniu i łańcuchach!

Hejże, hejże ha!

Nie ma mózgu, nie ma ducha!

Hejże, hejże ha!

Krzycz!- Hejże ha!

Mdlej! - Hejże ha!

Giń!- Hejże ha!

Biaaaaaaaaaaaaaada.

Fabryki Phoebe pracowały jeszcze pełną parą. Nikt nie szwendał się po ulicach, żeby popatrzeć na przemarsz rozśpiewanych herosów. Budyńki łypały oknami, za którymi rozbłyskiwały i gasły oslepiające błyski światła. Jakaś brama rzygnęła bryzgą dymiącego, żółtego blasku topionego metalu. W żołnierską piosenkę wdarł się piskliwy zgrzyt młyna.

Trzy latające talerze - błękitne patrolowce - przeleciały tuż ponad miastem, wydając słodki, kojący odgłos grającego bączka do zabawy.

„Juhuuu” - zaśpiewały i pomknęły po stycznej do zakrzywiającej się pod nimi powierzchni Marsa. Po chwili równej merdnięciu psiego ogona, błyszczały już jako punkciki w wiekuiestej przestrzeni.

„Strach, żałoba, spustoszenie” - śpiewało wojsko.

Lecz jeden żołnierz tylko bezgłośnie poruszał ustami. Tym żołnierzem było Wujo.

Wujo maszerował jako pierwszy z lewej, w drugim od końca szeregu swojej kompanii.

Tuż za nim maszerował Boaz. Od wzroku Boaza Wuja śwędział kark. Ponadto, z Wuja i Boaza zrobiono braci syjamskich, łącząc ich długą rurą sześciocalowego ciężkiego moździerza.

„Mdlej! - Hejże ha! - śpiewało wojsko. - Giń! - Hejże ha! Biaaaaaaaaaaaaaada”.

- Wuju, kumplu - zagadnął Boaz.

- Tak, kumplu? - odparł Wujo z roztargnieniem. Pośród chaosu swego rynsztunku Wujo ukrywał odbezpieczony ręczny granat. Zawlecza już była wyciągnięta. Aby doprowadzić do wybuchu w trzy sekundy, wystarczyło go teraz po prostu upuścić.

- Wystarałem się dla nas o niezły przydział, kumplu - powiedział Boaz. - Stary Boaz potrafi zadbać o swojego kumpla, no nie, kumplu?

- No tak, kumplu - zgodził się Wujo.

Dzięki staraniom Boaza, Boaz i Wujo mieli się znaleźć na pokładzie kampanijnego statku-matki floty inwazyjnej. Statek-matka miał wprawdzie, przez czysty logistyczny traf, hołubić na swym pokładzie ciężki moździerz, lecz nie był to w zasadzie statek bojowy. Jego załoga liczyła raptem dwie osoby, resztę zaś miejsca zajmowały słodyczne, sprzęt sportowy, nagrania muzyczne, puszkowane hamburgery, gry planszowe, piguły, napoje orzeźwiające, egzemplarze Biblii, papier listowy, przyrządy do golenia, deski do prasowania i inne tego typu bodźce pobudzające morale żołnierza.

- Niezły początek, co, kumplu? Dostać się na statek-matkę.

- Mamy szczęście, kumplu - zgodził się Wujo. Nie przerywając marszu, spuścił granat w otwór kanalizacyjny.

Gardziel rynsztoka bluznęła i ryknęła wielkim głosem.

Żołnierze padli plackiem na ziemię.

Boaz, jako rzeczywisty dowódca kompanii, pierwszy uniósł głowę. Widząc sączący się z kanalizacji dym, pomyślał, że musiała nastąpić eksplozja gazów kanałowych.

Boaz wsunął dłoń do kieszeni, nacisnął guziczek i zasilł swą kompanię sygnałem do powstania.

Kiedy żołnierze wstawali, Boaz także wstał.

- Psiakrew, kumplu - powiedział. - Zdaje się, że przeszliśmy chrzest ogniowy.

Uniósł swój koniec lufy moździerza.

Drugiego końca nie miał kto unieść.

Wujo oddalił się w poszukiwaniu żony, syna i najlepszego przyjaciela.

Wujo przekroczył wzgórze i wyszedł na płaską, płaską, płaską, płaską powierzchnię Marsa.

Syn, którego szukał Wujo, miał na imię Chrono.

Według rachuby ziemskiej Chrono miał osiem lat.

Imię Chrono otrzymał na cześć miesiąca, w którym się urodził. Rok marsjański dzielił się na

dwadzieścia jeden miesięcy, w tym dwanaście trzydziestodniowych i dziewięć trzydziestojednodniowych. Miesiące nazywały się kolejno: styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień, winston, nils, rumfoord, kazak, newport, chrono, synklastyk, infundybuł i salo.

W ujęciu mnemonicznym:

Salo, nils i czerwiec mają dni trzydzieści,

Tak samo jak wrzesień, winston, chrono, kwiecień,

Kazak, infundybuł, rumfoord, newport, luty.

A reszta miesięcy ma trzydzieści jeden.

Nazwa „salo” pochodziła od pewnego stworzenia, które Winston Niles Rumfoord spotkał na Tytanie. Tytan to, jak wiadomo, wyjątkowo przyjemny księżyc Saturna.

Salo, kumpel Rumfoorda na Tytanie, był wysłannikiem obcej galaktyki. Do lądowania na Tytanie zmusiła go awaria elementu siłowni statku kosmicznego, którym podróżował. Salo czekał na dostawę części zamiennej.

Czekał cierpliwie już od dwustu tysięcy lat.

Statek Salo zasilany był – podobnie jak cały system zbrojeniowy Marsa – zjawiskiem zwanym PWZ – czyli Powszechną Wolą Zaistnienia. To właśnie za sprawą PWZ z nicości powstają wszechświaty – to PWZ sprawia, że nicość pragnie za wszelką cenę stać się „cością”. Wielu Ziemiaków cieszy się z tego, że Ziemia nie zna PWZ.

Jak głosi mądrość ludowa:

Wicio znalazł szczyptę Powszechnego Woli Zaistnienia.

Nie wiedział, co z nią zrobić – dodał do jedzenia.

Był to pomysł niebezpieczny:

Z Wicia mamy sześć Dróg Mlecznych.

Syn Wujka, Chrono, był w wieku ośmiu lat wyśmienitym graczem w grę zwaną szwabską szmacianką. Szwabska szmacianka była jedyną rzeczą, na jakiej mu zależało. Szwabska szmacianka była dominującym sportem na Marsie – w szkole, w wojsku i na boiskach zakładowych.

Ponieważ na Marsie było zaledwie pięćdziesięcioro dwoje dzieci, Marsowi wystarczała jedna szkoła, usytuowana w samym środku Phoebe. Żadne z uczęszczających tam pięćdziesięciorga dwojga dzieci nie zostało poczęte na Marsie. Wszystkie zostały poczęte albo na Ziemi, albo – jak w przypadku chłopca Chrono – na statku kosmicznym wiozącym rekrutów na Marsa.

Dzieci nie były przeciążane nauką, gdyż społeczeństwo marsjańskie nie miało specjalnie pomysłu, co z nimi począć. Dzieci większość czasu poświęcały grze w szwabską szmaciankę.

W szwabską szmaciankę gra się sflaczała piłką wielkości sporego melona. Piłka jest mniej więcej tak samo skoczna, jak pięciolitrowej pojemności kapelusz napełniony deszczówką. Gra przypomina baseball: serwujący celuje piłką w pole przeciwnika i obiega dookoła bazy, a gracze w polu usiłują złapać piłkę i zbić nią biegacza. W szwabskiej szmaciance bazy są tylko trzy: baza pierwsza, baza druga i cel. I nie wolno podawać piłki serwującemu. Serwujący kładzie piłkę na jednej dłoni i wybija ją drugą dłonią. Jeśli zaś gracz w polu zbije biegacza na odcinku pomiędzy bazami, biegacz odpada z gry i musi natychmiast opuścić boisko.

Wielka popularność szwabskiej szmacianki na Marsie była – jak się łatwo domyśleć – osobistą zasługą Winstona Nilesa Rumfoorda, którego zasługą było wszystko na Marsie.

W pracy zatytułowanej Winston Niles Rumfoord, Benjamin Franklin i Leonardo da Vinci Howard W. Sams dowodzi, że szwabska szmacianka była jedyną dyscypliną sportową, z jaką Rumfoord zaznajomił się w dzieciństwie. Sams wykazuje, że gry tej nauczyła Rumfoorda guwernantka, niejaka panna Joyce MacKenzie.

W odległym świecie dziecięcych lat Rumfoorda, w Newport, drużyna w składzie: Rumfoord, panna MacKenzie i Earl Moncrief, lokaj, regularnie rozgrywała mecze w szwabską szmaciankę przeciwko drużynie w składzie: Watanabe Wataru – ogrodnik, z pochodzenia Japończyk, Beverly June Wataru – córka ogrodnika, i Edward Seward Darlington – niedorozwinięty chłopiec stajenny. Drużyna Rumfoorda zawsze wygrywała.

Wujo – jedyny dezertor w historii Marsjańskich Sił Zbrojnych – przycupnął dysząc ciężko za blokiem turkusa i przyglądał się uczniom grającym w szwabską szmaciankę na żelaznym boisku.

Za blokiem turkusa Wujowi towarzyszył rower, skradziony ze stojaka na rowery przy fabryce masek gazowych. Wuj nie wiedział, które z dzieci jest jego synem – który to jest Chrono. Plan Wuja był mocno nieprecyzyjny. Wuj marzył, że zbierze do kupy swoją żonę, syna i najlepszego przyjaciela, gwizdnie gdzieś statek kosmiczny i wszyscy razem odlecą tam, gdzie można żyć długo i szczęśliwie.

- Hej, Chrono! – zawołało jakieś dziecko na boisku. – Twoja kolej!

Wuj zerknął ponad głazem ku stanowisku serwującego. Za chwilę miało tam podejść dziecko, które jest jego synem – za chwilę miał tam podejść Chrono.

Chrono, syn Wuja, stanął na serwisie.

Jak na swój wiek, był niski, ale zadziwiająco barczysty? Jego kruczoczarne włosy były gęste jak szczotka – kruczoczarne włosie szczotki skręcało się gwałtownie w kierunku przeciwnym kierunkowi ruchu wskazówek zegara.

Dziecko było leworęczne. Piłka spoczywała na jego prawej pięści i chłopiec właśnie szykował się uderzyć ją lewą.

Dziecko miało głęboko osadzone oczy, tak samo jak ojciec. Oczy te błyszczały pod czarnymi strzechami brwi. Błyszczały rozpaczliwą furią.

Błyszczący furią wzrok błędził od jednego gracza do drugiego. Wprawiał graczy w dygot, prowokował do zmian miejsca, groził, że ślamazarna, głupia piłka zaatakuje ich zaraz z przerażającą prędkością i porozrywa na strzępy, jeśli tylko ośmielą się stanąć jej na drodze.

Nieme ostrzeżenie serwującego dotarło i do nauczycielki. Zajmowała ona tradycyjną pozycję sędziego w meczach szwabskiej szmacianki, pomiędzy pierwszą a drugą bazą, i ogarnęło ją przerażenie. Była to filigranowa staruszka nazwiskiem Isabel Fenstermaker, Miała siedemdziesiąt trzy lata i – zanim wyczyszczono jej pamięć – była świadkiem Jehowy. Została uprowadzona podczas próby sprzedania „Czaty” agentowi marsjańskiemu w Duluth.

- Drogi Chrono – rzekła z wymuszonym uśmiechem. -Nie zapominaj, że to tylko zabawa.

Niebo pociemniało nagle za sprawą eskadry stu latających talerzy – krwistoczerwonych wehikułów, którymi podróżowały Marsjańskie Oddziały Narciarsko-Desantowe. Chóralne pohukiwania rakiet brzmiały jak śpiewna burza, od której zadrżały szyby w oknach szkoły. Na dowód wielkiej wagi, jakiej osoba Chrona przydawała grze w szwabską szmaciankę, wypada zaznaczyć, że ani jedno dziecko nie spojrzało w górę.

Doprowadziwszy graczy i pannę Fenstermaker do granicy rozstroju nerwowego, Chrono odłożył piłkę na ziemię i wyjął z kieszeni krótką metalową blaszkę, która była jego talizmanem. Pocałował blaszkę na szczęście i schował z powrotem do kieszeni.

Potem gwałtownie podniósł piłkę, zaserwował z potężnym plaśnięciem i na czworakach rzucił się między bazy.

Gracze i panna Fenstermaker uchyliłi się przed piłką, jakby to była rozgrzana do czerwoności kula armatnia. Kiedy piłka zatrzymała się wreszcie sama z siebie, gracze rzucili się na nią z rytualną, celową niezdarnością. Widać było wyraźnie, że celem ich starań jest za wszelką cenę nie trafić chłopca Chrono piłką i nie wyeliminować go z gry. Wszyscy gracze jakby się zmówili, aby spotęgować chwałę chłopca Chrono poprzez odstawienie żalösnej farsy o bezradności jego przeciwników.

Chrono był najwyraźniej najwspanialszą rzeczą, z jaką dzieci zetknęły się na Marsie, a wszelka chwała, jakiej same mogły dostąpić, też pochodziła od niego. Dzieci robiły wszystko, żeby dodać mu chwały.

Chrono dopadł celu w tumanie rdzy.

Jeden z graczy cisnął w niego piłką – ale za późno, za późno, o wiele za późno. Gracz, zgodnie z rytuałem, przeklął swoje parszywe szczęście.

Chrono wstał, otrząpał się i ponownie ucałował talizman, tym razem w podzięcie za kolejne dotarcie do celu.

Chrono święcie wierzył, że cała jego moc pochodzi od talizmanu; tak samo wierzyli jego koledzy, a nawet – w głębi duszy – i panna Fenstermaker.

Oto historia talizmanu.

Pewnego dnia panna Fenstermaker zabrała dzieci na lekcję poglądową do fabryki miotaczy ognia. Dyrektor fabryki objaśnił dzieciom kolejne stadia produkcji miotacza ognia i wyraził

nadzieję, że niektóre z dzieci, gdy podrosną, zechcą podjąć u niego pracę. Pod koniec wycieczki, w pakowalni, dyrektor złapał się w spiralę stalowej taśmy używanej do zabezpieczania zapakowanych już miotaczy ognia.

Był to spiralny kawałek zębatej taśmy, porzucony w przejściu hali przez niechlujnego robotnika. Zanim dyrektor zdołał wyzwolić się z potrzasku, otarł sobie całą kostkę u nogi i rozdarł spodnie. Odstawił wówczas pierwszy – w przeciwieństwie do poprzednich – w pełni zrozumiały dla dzieci pokaz. Zgodnie z zasadami logiki, wściekł się na spiralę.

Zaczął ją deptać.

A kiedy złapała go ponownie, pochwycił ją i pociął na czterocalowe kawałki, używając w tym celu gigantycznych nożyc.

Dzieci były podbudowane moralnie, głęboko wstrząśnięte i bardzo zadowolone. A kiedy opuszczały pakowalnię, Chrono podniósł jeden z czterocalowych odcinków spirali i schował do kieszeni. Odcinek podniesiony przez chłopca Chrono różnił się od pozostałych tym, że miał wyborowane dwie dziurki.

To był właśnie talizman chłopca Chrono, który stał się częścią jego osoby nie mniej ważną niż prawa ręka. Można powiedzieć, że system nerwowy chłopca Chrono obejmował i tę blaszkę. Ktokolwiek dotknąłby blaszki, dotknąłby i Chrona.

Dezertor Wujo wyprostował się za turkusowym głazem, po czym z animuszem i urzędową miną wkroczył na boisko. Uprzednio pozbawił swój mundur wszelkich insygniów. Nadało mu to urzędowy, wojowniczy wygląd, nie sugerujący jednak udziału w żadnym konkretnym przedsięwzięciu. Z całego ekwipunku, który dźwigał przed dezercją, Wujo zatrzymał jedynie maczetę, jednostrzałowy mauzer i granat. Leżały one teraz w kryjówce za blokiem turkusa, razem ze skradzionym rowerem.

Wujo pomaszerował wprost do panny Fenstermaker. Oświadczył jej, że chciałby niezwłocznie porozmawiać z chłopcem Chrono w sprawie służbowej – i to bez świadków. Nie powiedział jej, że jest ojcem chłopca. Fakt, że był ojcem, nie upoważniał go do niczego. Fakt, że był urzędnikiem, upoważniał go do wszystkiego, o co byłby uprzejmy poprosić.

Biedna panna Fenstermaker z łatwością dała się nabrać. Zgodziła się, aby Wujo porozmawiał z chłopcem w jej gabinecie.

Gabinet panny Fenstermaker zawalony był nie poprawionymi klasówkami, częściowo nawet sprzed pięciu lat. Panna Fenstermaker miała spore zaległości w pracy – tak spore, że ogłosiła moratorium pracy dydaktycznej do momentu, kiedy upora się z wystawieniem stopni za klasówki. Niektóre sterty papieru zawaliły się tworząc lodowce, sięgające mackami pod biurko panny Fenstermaker, do hallu, a nawet do jej prywatnej ubikacji.

Dwupółkową etażerkę wypełniała kolekcja minerałów.

Nikt nigdy nie kontrolował pracy panny Fenstermaker. Nikomu na tym nie zależało.

Wystarczyło, że panna Fenstermaker legitymowała się uprawnieniami nauczycielskimi wydanymi w stanie Minnesota, USA, Ziemia, System Słoneczny, Droga Mleczna.

Podczas rozmowy z synem, Wujo siedział za biurkiem panny Fenstermaker, a Chrono stał przed nim. Chrono stał na własne życzenie.

Planując przemowę do syna, Wujo machinalnie otwierał kolejne szuflady biurka, odkrywając przy tym, że i one pełne są minerałów.

Chrono był bystry i agresywny. Zanim Wujo wymyślił, jak zacząć rozmowę, Chrono go ubiegł.

– Głupie gadanie – powiedział.

– Co takiego? – zdziwił się Wujo.

– Wszystko, co pan powie. Głupie gadanie – wyjaśnił ośmiolatek.

– A skąd wiesz? – zainteresował się Wujo.

– Wszyscy tak samo głupio gadają – oświadczył Chrono. – Po co mnie pan w ogóle pyta o zdanie? I tak, jak skończę czternaście lat, wsadzicie mi coś w głowę i będę robił, co wam się spodoba.

Chrono nawiązywał do faktu, że anteny wmontowywano dzieciom dopiero po ukończeniu przez nie czternastego roku życia. Chodziło o rozmiar czaszki. W dniu czternastych urodzin dziecko wędrowało do szpitala na operację. Golono mu głowę, a lekarze i pielęgniarki

dowcipkowali sympatycznie na temat jego dojrzałości. Zanim dziecko przewieziono do sali operacyjnej, zadawano mu pytanie, jakie lody lubi najbardziej. Gdy dziecko budziło się po operacji, czekała na nie duża porcja wybranych lodów – orzechowych, waniliowych, czekoladowych albo innych.

– Twoja matka też głupio gada?

– Tak, odkąd ostatnim razem wróciła ze szpitala – odparł Chrono.

– A ojciec? – zapytał Wuj.

– Nic o nim nie wiem – odpowiedział Chrono. – Nie obchodzi mnie. Jest taki sam głupi, jak cała reszta.

– A kto nie jest głupi? – zapytał Wuj.

– Ja – odparł Chrono. – Nikt więcej.

– Podejdź bliżej – powiedział Wuj.

– Po co? – spytał Chrono.

– Bo chcę ci powiedzieć na ucho jedną strasznie ważną rzecz.

– Wątpię – powiedział Chrono.

Wuj wstał, obszedł biurko, zbliżył się do chłopca i szepnął mu do ucha:

– Jestem twoim ojcem! – Z chwilą, gdy wymówił te słowa, serce zaczęło mu dudnić jak młot pneumatyczny.

Chrono był nieporuszony.

– No i co z tego? – zapytał z kamienną twarzą. Nikt mu nigdy nie uświadomił, nie pokazał na przykładzie, że ojciec jest czymś istotnym. Na Marsie słowo „ojciec” pozbawione było ładunku emocjonalnego.

– Przyszedłem cię zabrać – powiedział Wuj. – Jakoś się stąd wydostaniemy.

Potrząsnął chłopcem łagodnie, próbując wykrzesać z niego iskierką zainteresowania.

Chrono metodycznie odrywał palce ojca z własnego ramienia jakby to były pijawki.

– I co będziemy robić? – zapytał.

– Żyć! – zawołał Wuj.

Chłopiec zlustrował ojca beznamiętnym spojrzeniem, próbując znaleźć choćby jeden powód, dla którego miałby wchodzić w konszachty z obcym. Wydobyl z kieszeni swój talizman i potarł go obiema dłońmi.

Wyimaginowana moc, jakiej dostarczał mu talizman, pozwoliła chłopcu Chrono konsekwentnie nie ufać nikomu i żyć tak, jak dotychczas, w furii i samotności.

– Ja już żyję – powiedział. – Niczego nie potrzebuję -dodał. – Niech pan idzie do diabła.

Wuj cofnął się. Usta skrzywiły mu się w podkówkę.

– Do diabła? – szepnął.

– Wszystkim każę się wynosić do diabła – oświadczył chłopiec. Starał się być uprzejmy, ale natychmiast zmęczył się wysiłkiem. – Czy mogę już wrócić na boisko?

– Własnemu ojcu każesz iść do diabła? – mamrotał Wuj. Pytanie to sięgnęło echem poprzez opustoszałą pamięć Wuja do nietkniętego zakamarka, gdzie drzemały okruchy jego własnego dzieciństwa. Dziwaczne dzieciństwo Wuja upłynęło na marzeniach o ujrzeniu i ukochaniu wreszcie ojca, który nie chciał go oglądać i wcale nie pragnął jego miłości.

– Słuchaj, ja... ja zdezerterowałem, żeby tu przyjść... żeby cię odszukać – wydukał Wuj.

W oczach chłopca rozbłysła iskierka zainteresowania, która natychmiast zgasła.

– Dorwaj pana – powiedział. – Każdego w końcu dorwaj.

– Ukradnę statek kosmiczny – mówił Wuj. – Ty, twoja matka i ja wsiądziemy do niego i odlecimy stąd!

– Dokąd? – zapytał chłopiec.

– Gdzieś, gdzie jest dobrze! – odparł Wuj.

– Niech mi pan powie, gdzie jest dobrze – nalegał Chrono.

– Nie wiem. Trzeba będzie poszukać! – odparł Wuj. Chrono z politowaniem pokiwał głową.

– Bardzo mi przykro – rzekł – ale wydaje mi się, że pan nie wie, co pan mówi. Po prostu zginie przez pana cała masa ludzi.

– Chcesz tu zostać? – zapytał Wuj.

– Mnie tu nie jest źle – odparł Chrono. – Czy mogę już wrócić na boisko?

Wujo rozplakał się.

Placz Wuja zaniepokoił chłopca, Chrono nigdy jeszcze nie widział płaczącego mężczyzny.

Sam też nigdy nie płakał. – Idę na boisko! – wrzasnął dziko i wybiegł z gabinetu.

Wujo podszedł do okna. Wyrzwał na żelazne boisko. Drużyna chłopca Chrono grała teraz w polu. Chrono dołączył do drużyny, stanął twarzą do serwującego, którego plecy oglądał Wuj. Chrono ucałował talizman i schował go do kieszeni.

– Dobra, chłopaki! – ryknął gardłowo. – Do roboty, chłopaki! Zabijemy go!

Kobieta Wuja, matka chłopca Chrono, pracowała jako instruktorka w Szkole Oddechowej Schliemanna, do której uczęszczali rekruci. Metoda oddechowa Schliemanna polega, rzecz jasna, na przystosowaniu człowieka do przebywania w próżni lub w niesprzyjającej atmosferze, bez hełmu czy innej nieporęcznej aparatury respiracyjnej.

Najogólniej rzecz biorąc, metoda ta sprowadza się do zażywania bogatych w tlen pigułek.

Pobierany w tej postaci tlen przenika do krwiobiegu nie poprzez płuca, lecz przez ścianki jelita cienkiego. Na Marsie pigułki te nosiły oficjalną nazwę Bojowych Racji Tlenowych, potocznie zaś zwano je pigułkami.

Metodę oddechową Schliemanna najłatwiej jest stosować w atmosferze nieszkodliwej, lecz i bezwartościowej, jaką była na przykład atmosfera Marsa. Oddychający oddycha i mówi normalnie, mimo iż w atmosferze nie występuje tlen, który nadawałby się do wchłonięcia w płuca. Należy jedynie pamiętać o regularnym zażywaniu pigułek.

Na kursach, które prowadziła kobieta Wuja, rekruci zaznajamiali się z technikami trudniejszymi, stosowanymi w próżni lub w atmosferze szkodliwej dla człowieka. Oddychanie wymaga wówczas nie tylko regularnego łykania pigułek, lecz i blokowania otworów usznych i nosowych, przy jednoczesnym zaciskaniu ust. Każda próba nabrania powietrza czy przemówienia powoduje krwotok i zwykle śmierć.

Kobieta Wuja była jedną z sześciu instruktorek w Szkole Oddechowej Schliemanna, do której uczęszczali rekruci. Pracowała w jałowej, białej sali bez okien, o powierzchni trzydziestu stóp kwadratowych. Wzdłuż ścian sali biegły ławki.

Na ustawionym pośrodku stole znajdował się słoik pigułek, słoik zatyczek do nosa i uszu, rolka przylepca, nożyczki i mały magnetofon. Magnetofon miał za zadanie emitować muzykę podczas długich przerw, kiedy uczniowie nie mieli nic do roboty, poza cierpliwym oczekiwaniem na efekty działania własnej fizjologii.

Taki okres właśnie trwał. Uczniowie przed chwilą zażyli piguły. Teraz mieli za zadanie siedzieć cicho na ławkach i słuchać muzyki, czekając, aż piguły dotrą w rejony ich jelit cienkich. Piosenkę, której słuchali, piracka radiostacja marsjańska przechwyciła ostatnio z jakiejś ziemskiej audycji muzycznej. Na Ziemi był to wielki szlagier; wykonywał go tercet w składzie: głos męski, głos żeński i dzwony kościelne. Piosenka nosiła tytuł: „Bóg to inżynier naszych dusz”. Chłopiec i dziewczyna śpiewali na przemian po jednej linijce tekstu, aby w refrenie połączyć się w harmonijny duet.

Dzwony kościelne łąkały i zawodziły, ilekroć w tekście pojawiła się wzmianka natury religijnej.

Rekrutów było siedemnastu. Wszyscy mieli na sobie nowiutkie szorty barwy mchu. Kazano im się rozebrać, aby instruktorka mogła bez trudu śledzić ich zewnętrzne reakcje fizjologiczne na technikę oddechową Schliemanna.

Rekruci byli świeżo po aplikacji amnezji i założeniu anten w szpitalu Centrum Recepcyjnego. Wszyscy mieli ogolone głowy, a na nich pasy przylepca, biegnące od ciemienia aż po nasadę karku.

Przylepiec wskazywał lokalizację anteny.

Oczy rekrutów ziały pustką, jak okna opuszczonego młyna.

Podobnie i oczy instruktorki, gdyż ona także przeszła ostatnio zabieg czyszczenia pamięci.

Kiedy wychodziła ze szpitala, poinformowano ją, jak się nazywa, gdzie mieszka, i jak należy uczyć oddychania metodą Schliemanna? Był to praktycznie komplet informacji, jakich jej udzielono. Powiedziano jej ponadto jeszcze jedno: że ma ośmioletniego syna imieniem Chrono i że, jeśli zechce, może odwiedzać go w szkole we wtorki po południu.

Instruktorka, matka chłopca Chrono, kobieta Wuja, miała na imię Be. Nosiła mszystozielony



dres i białe tenisówki, a na szyi – gwizdek na łańcuszku i stetoskop.

Na podkoszulku miała wyhaftowane imię.

Popatrzyła na zegar ścienny. Minęło dość czasu, aby nawet najbardziej opieszwały system trawienny przetransportował pigułę do jelita cienkiego. Be wstała, wyłączyła magnetofon i dmuchnęła w gwizdek.

– Na miejsca! – zawołała.

Rekruci nie przeszli jeszcze zasadniczego szkolenia wojskowego, nie zdołali więc od razu precyzyjnie zająć miejsc. Na podłodze wymalowane były kwadraty, wewnątrz których rekruci mieli się poustawiać, formując miłe dla oka rzędy i szeregi. Rozpoczęła się zabawa przypominająca komórki do wynajęcia: po kilku pustookich rekrutów tłoczyło się zapamiętałe do jednego kwadratu. W końcu jednak każdy trafił na właściwe miejsce.

– W porządku – powiedziała Be. – Proszę teraz wyjąć zatyczki i zatkać nimi nosy i uszy.

Rekruci dzierżyli zatyczki w zaciśniętych dłoniach. Pozatykali sobie nosy i uszy.

Be przeszła od jednego do drugiego, sprawdzając, czy wszystkie nosy i uszy zostały należycie zapieczętowane.

– W porządku – oświadczyła zakończywszy inspekcję. – Bardzo dobrze – pochwaliła. Ze stołu wzięła rolkę przylepca. – Udowodnię wam teraz, że posiadając Bojowe Racje Tlenowe, czy też, jak wkrótce nauczycie się nazywać je po wojskowemu: piguły, nie potrzebujecie w ogóle używać płuc.

Przeszła wzdłuż szeregów, zaklejając wszystkie usta kawałkami przylepca. Nikt nie protestował. Kiedy skończyła, nikt nie dysponował aperturą stosowną do wyrażania protestu?

Be zanotowała dokładny czas i ponownie włączyła magnetofon. Przez dwadzieścia następnych minut czekało ją jedynie obserwowanie zmian kolorystycznych na nagich ciałach i konwulsji szczelnie zapieczętowanych, bezużytecznych płuc. Zgodnie z teorią, ciała powinny były przybrać najpierw barwę siną, następnie czerwoną, zaś po upływie przepisowych dwudziestu minut – z powrotem naturalną. Klatki piersiowe miały natomiast kolejno: drgać z wielką mocą, poniechać wysiłku, powrócić do normy.

Po zakończeniu dwudziestominutowej próby każdy rekrut powinien czuć się skutecznie przekonany, że oddychanie za pomocą płuc jest w ogóle zbędne. Teoretycznie, każdy absolwent Szkoły Oddechowej Schliemanna powinien był nabrać takiej ufności w siebie samego i piguły, że w każdej chwili gotów byłby wyskoczyć z rakiety, czy to na ziemski Księżyc, czy na dno ziemskiego oceanu – obojętne gdzie – nie zastanawiając się ani przez ułamek sekundy, w co właściwie skacze.

Be przysiadła na ławce.

Pod jej wspaniałymi oczami widniały ciemne kręgi. Kręgi pojawiły się, gdy wyszła ze szpitala i ciemniały teraz z każdym dniem. W szpitalu obiecywano Be, że z każdym dniem będzie spokojniejsza i bardziej zorganizowana. Powiedziano jej też, że gdyby przypadkiem czuła się inaczej, ma się natychmiast zgłosić do szpitala po dalszą pomoc.

– Każdy z nas potrzebuje czasem pomocy – rzekł doktor Morris N. Castle. – Nie ma się czego wstydzić. Może któregoś dnia ja przyjdę po pomoc do pani, Be? I z pewnością nie zawaham się o nią poprosić.

Be trafiła do szpitala po tym, jak pokazała swemu przełożonemu wiersz własnego autorstwa o metodzie oddechowej Schliemanna:

Zerwij z powietrzem na zawsze – już czas,

I wszystkie ujścia zablokuj;

Gardło zaciśnij jak skąpiec pełną garść,

Niech życie siedzi w środku.

Głęboki wdech i wydech – to nie my!

Oddech to zwykła słabość.

A gdy w śmiertelną przestrzeń przyjdzie iść,

Pamiętaj: nic nie gadać!

Gdy cię ogarnie żal albo śmiech,

Niech jedna łaza to powie.

Dusza jest twoim więźniem, serce też -

Pora uwięzić mowę.

Wszak każdy z nas jest wyspą, która płynie przez morza nieożywione.

Tak, każdy z nas jest wyspą: wyspą-fortecą, wyspą-domem.

Be, która za napisanie tego sonetu trafiła do szpitala, miała niezwykle wyrazistą twarz: wyniosłą, o wydatnych kościach policzkowych. W zdumiewający sposób przypominała indiańskiego wojownika. Ktokolwiek jednak tak by ją przyrównał, musiałby natychmiast dodać, że wyglądała przy tym naprawdę wspaniale.

Ktoś nagle zapukał do drzwi klasy. Be podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Słucham? - powiedziała.

W opustoszałym korytarzu stał czerwony, zgrzany mężczyzna w mundurze. Mundur nie miał dystynkcji. Na plecach mężczyzny wisiał karabin. Mężczyzna miał głęboko osadzone, rozbiegane oczy.

- Posłaniec - burknął. - Wiadomość dla Be.

- To ja - odparła niepewnie Be.

Posłaniec zlustrował ją wzrokiem od stóp do głów. Poczuli się naga pod jego spojrzeniem.

Ciało mężczyzny promieniowało gorączką, która otoczyła Be jak duszny namiot.

- Poznajesz mnie? - szepnął mężczyzna.

- Nie - odparła Be. Pytanie sprawiło jej wielką ulgę. Wyglądało na to, że mieli już kiedyś ze sobą do czynienia. A więc jego wizyta była zgodna z panującymi zwyczajami - tyle że w szpitalu Be zapomniała i jego, i zwyczaje.

- Ja też cię nie pamiętam - szepnął.

- Byłam w szpitalu - powiedziała Be. - Musieli wyczyścić mi pamięć.

- Mów szeptem! - pouczył ją z irytacją.

- Co? - zdziwiła się Be.

- Mów szeptem! - powtórzył.

- Przepraszam - szepnęła. Wyglądało na to, że mówienie szeptem należy do obyczaju związanego z tym konkretnym urzędnikiem. - Zapomniałam o bardzo wielu rzeczach.

- Wszyscyśmy dużo pozapominali - odparł zjadliwym szeptem. Ponownie zerknął w głąb korytarza. - Jesteś matką chłopca Chrono, tak? - upewnił się szeptem.

- Tak - odszepnęła.

Dziwny posłaniec zajrzał jej bacznie w oczy. Nabrał powietrza, westchnął, zmarszczył brwi i szybko zamrugał powiekami.

- Co?.. co to za wiadomość? - szepnęła Be.

- Wiadomość brzmi tak - szepnął posłaniec. - Jestem ojcem chłopca Chrono.

Zdezercerowałem właśnie z armii. Nazywam się Wujo. Zamierzam uciec stąd razem z tobą, chłopcem i moim najlepszym przyjacielem. Nie wiem na razie, jak to zrobić, ale musisz być gotowa w każdej chwili! - Podał jej granat ręczny. - Schowaj to gdzieś - szepnął. - Kiedy przyjdzie czas, może ci się przydać.

Z dzyurki w końcu korytarza dobiegły nerwowe okrzyki.

- Powiedział, że ma do przekazania poufną wiadomość! - wrzeszczał jakiś mężczyzna.

- Ładny mi posłaniec! Tramwaj w oku! - wrzeszczał drugi. - To dezercer wojenny! Do kogo przyszedł?

- Nie mówił. Powiedział, że to ściśle tajne. Rozległ się gwizdek.

- Sześciu za mną! - wrzasnął mężczyzna. - Przeszukamy wszystkie sale. Reszta - otoczyć budynek!

Wujo wepchnął Be z granatem ręcznym do klasy i zamknął drzwi. Zdjął broń z ramienia i wycelował ją w zakorkowanych, pozalepianych plastrem rekrutów.

- Niech mi tylko który mrugnie albo spróbuje jakichś sztuczek - zagroził - a będzie po was.

Wyprostowani sztywno na wyznaczonych polach, rekruci nie zareagowali. Byli sinobladzi.

Kłatki piersiowe drgały im konwulsyjnie.

Cała uwaga każdego z żołnierzy skupiona była w rejonie dwunastnicy, gdzie rozpuszczała się właśnie niewielka, biała, życiodajna pigułka.

- Gdzie mogę się schować? - zapytał Wujo. - Jak się stąd wydostać?

Be nie musiała odpowiadać. W sali nie było gdzie się schować. Nie było też wyjścia,

z wyjątkiem drzwi na korytarz.

Pozostawało tylko jedno – i Wuj to właśnie zrobił. Rozebrał się do mszystozielonych szortów, ukrył karabin pod ławką, powsadzał sobie zatyczki w uszy i nozdrza, zalepił usta i stanął między rekrutami.

Głowę miał ogoloną, tak samo jak rekruci. I tak samo jak oni nosił na niej plaster biegnący od ciemienia po nasadę karku. Wuj był tak beznadziejnym żołnierzem, że lekarze w szpitalu otworzyli mu czaszkę, aby sprawdzić, czy nie cierpi przypadkiem na niedowład anteny.

Be obiegła salę wzrokiem. Była spokojna jak w transie. Otrzymany od Wuja granat dzierżyła pionowo, jak gdyby to był wazon z doskonałej piękności różą. Następnie podeszła do miejsca, w którym Wuj ukrył karabin, i ułożyła granat obok mauzera – ułożyła go starannie, okazując przykładowy respekt dla cudzej własności.

Następnie zajęła swoje miejsce przy stole.

Ani nie wpatrywała się w Wuja, ani też nie omijała go wzrokiem. W szpitalu powiedziano jej, że przeszła bardzo, bardzo poważną chorobę, która grozi nawrotem, jeśli Be nie skoncentruje się tylko i wyłącznie na pracy, pozwalając innym myśleć i martwić się za siebie. Jej jedynym zadaniem było za wszelką cenę zachować spokój.

Jazgot fałszywych alarmów, w jakie obfitowało przeczesywanie budynku, rozlegał się coraz bliżej.

Be programowo odcięła się od troski o cokolwiek. Wuj, z chwilą zajęcia miejsca wśród rekrutów, zredukował sam siebie do roli numeru porządkowego. Obserwując go pod kątem zawodowym, Be stwierdziła, że ciało Wuja przybiera barwę sinozieloną, zamiast czysto sinej. Mogło to oznaczać, że Wuj od kilku godzin nie zażył piguły, skutkiem czego wkrótce wykituje. Dać mu spokojnie wykitować, było niewątpliwie najbezpieczniejszym rozwiązaniem problemu, jaki Wuj postawił przed Be. A Be nade wszystko pragnęła spokoju.

Nie wątpiła, że Wuj jest ojcem jej dziecka. Takie było życie. Be nie pamiętała Wuja i nie zadała sobie trudu przyjrzenia mu się teraz, aby go rozpoznać następnym razem – jeśliby miało dojść do następnego razu. Nie miała co z nim począć.

Zauważyła, że ciało Wuja nabrało barwy zdecydowanie zielonkawej. Jej diagnoza była więc słuszna. Wykituje lada chwila.

Be zdrzemnęła się na jawie. We śnie ujrzała małą dziewczynkę w wykrochmalonej sukience, białych rękawiczkach i białych pantofelkach, z własnym białym kucykiem. Be zazdrościła dziewczynce, że jest taka czyściutka.

Be nie miała pojęcia, kim może być dziewczynka ze snu. Wuj padł bezszelestnie, wiotki jak wór podrobów.

Wuj obudził się i stwierdził, że leży na plecach w koi statku kosmicznego. W kabinie paliło się oślepiające światło. Wuj zaczął wrzeszczeć, ale kacowaty ból głowy natychmiast zamknął mu usta.

Z wysiłkiem stanął na nogi i jak pijany uczepił się stelaża koi. Był sam. Ktoś na nowo ubrał go w mundur.

W pierwszej chwili Wuj pomyślał, że wystrzelili go w przestrzeń wiekuistą.

Zaraz jednak stwierdził, że luk na zewnątrz jest otwarty, a za lukiem widać twardy grunt.

Wuj wygramolił się przez właz i zwymiotował.

Uniósłszy załzawione oczy stwierdził, że najprawdopodobniej nadal jest na Marsie, czy też na czymś, co uderzająco przypomina Marsa.

Była noc.

Żelazną równinę pokrywały rzędy i szeregi statków kosmicznych.

Na oczach Wuja szereg rakiet pięciomilowej długości oderwał się od szyku i melodyjnie poszybował w przestrzeń.

Zaszczekał pies. Szczekanie przypominało odgłos wielkiego mosiężnego gongu.

Zaraz potem z czeluści nocy wybiegł susami pies, wielki i przeraźliwy jak tygrys.

– Kazak! – krzyknął w ciemności męski głos.

Pies zatrzymał się posłusznie, ale nie spuszczał oka z Wuja; groźbą swych długich, oślinionych kłów, przyspilił go do ściany statku.

Pan psiska wychynął z ciemności, poprzedzony tańczącym snopem światła latarki. Kiedy

znalazł się o kilka jardów od Wuję, przyłożył sobie latarkę pod brodę. Jego twarz, zmieniona kontrastowym światłowieniem, przypominała oblicze demona.

- Czołem, Wuję - powiedział. Zgasił latarkę i przesunął się w bok, stając w smudze światła, którym rzygał właz rakiety. Był potężny, dziwnie miękki i cudownie pewny siebie. Nosił krwistoczerwony mundur wojsk narciarsko-desantowych i ich charakterystyczne buty o ściętych noskach. Był nieuzbrojony, jeśli nie liczyć czarno-złotej laseczki długości jednej stopy.

- Dawnośmy się nie widzieli - dodał, kraszając słowa nikłym uśmiechem w kształcie litery „v”. Przemawiał gardłowym tenorem z melodyjnym zaciąganiem.

Wuję nie przypominał go sobie, za to mężczyzna najwyraźniej dobrze znał Wuję - i myślał o nim z dużą serdecznością.

- Kto ja jestem, Wuję? - spytał, żartobliwie mężczyzna. Wuję zatkało. To musiał być Stony Stevenson, najlepszy nieustraszony przyjaciel Wuję.

- Stony? - szepnął Wuję.

- Stony? - powtórzył mężczyzna. Roześmiał się. - Mój Boże - powiedział. - Ileż to razy żałowałem, że nie jestem Stonym, i ile razy jeszcze tego pożałuję!

Ziemia zadrżała. Górą przeszła trąba powietrzna. To otaczające Wuję zewsząd rakiety smyrnęły w powietrze i znikły z pola widzenia.

Statek Wuję miał teraz do dyspozycji cały sektor żelaznej równiny. Najbliższe statki znajdowały się o jakieś pół mili od niego.

- Twój pułk odleciał, Wuję - rzekł mężczyzna. - A ty zostałeś? Nie wstyd ci?

- Kim pan jest? - zapytał Wuję.

- Cóż znaczy imię w dobie wojny? - odparł mężczyzna. Położył swą wielką dłoń na ramieniu Wuję. - Ech, Wuję, Wuję, Wuję - powiedział. - Przeszedłeś swoje.

- Kto mnie tu przyprowadził? - zapytał Wuję.

- Żandarmeria, chroń ją Panie Boże - odparł mężczyzna.

Wuję pokręcił głową. Łzy spływały mu po policzkach. Był pokonany. Utrzymywanie tajemnicy przestało mieć sens, nawet wobec kogoś, kto mógł być może zadecydować o jego życiu lub śmierci. Do życia i śmierci biedny Wuję miał stosunek obojętny.

- Ja... ja tylko chciałem zebrać swoją rodzinę - powiedział. - Nic więcej.

- Mars to fatalne miejsce na miłość, Wuję. Fatalne miejsce na życie rodzinne - oświadczył mężczyzna.

Mężczyzną tym był, naturalnie, Winston Niles Rumfoord. Rumfoord był głównodowodzącym wszystkiego, co marsjańskie. Nie był wprawdzie praktykującym komandosem narciarsko-desantowym, ale mógł nosić każdy mundur, który przypadł mu do gustu, nie bacząc na piekło, jakie inni musieli przeżyć, aby osiągnąć ten przywilej.

- Najsmutniejsza historia miłosna, jaką jestem w stanie sobie wyobrazić - rzekł Rumfoord - zdarzyła się właśnie na Marsie. Chciałbyś posłuchać, Wuję?

Dawno, dawno temu - zaczął Rumfoord - latający talerz uniósł pewnego człowieka z Ziemi na Marsa. Człowiek ów przystał na ochotnika do Marsjańskich Sił Zbrojnych, dlatego już w podróży nosił szykowny mundur podpułkownika Szturmowej Dywizji Piechoty tychże sił. Czuł się elegancki w każdym calu, zwłaszcza że na Ziemi należał do kategorii upośledzonych duchowo i, jak wszyscy duchowo upośledzeni, uważał, że mundur świadczy o człowieku jak najpiękniej.

Dysponował nietkniętą jeszcze pamięcią, a instalacja anteny dopiero go czekała. Mimo to był tak szczerze oddany sprawie marsjańskiej, że powierzono mu pilotowanie statku kosmicznego. O takim rekrucie werbownicy mawiają, że ochrzcił swoje jaja imionami Dejmos i Fobos - dodał Rumfoord. - Deimos i Phobos to dwa księżyce Marsa.

Podpułkownik ów, nie mający za grosz militarne go wykszolenia, doświadczał podczas podróży tego, co Ziemianie nazywają „odnajdywaniem się w roli”. Nie wiedząc absolutnie nic o przedsięwzięciu, w które się wpakował, wydawał on rozkazy innym rekrutom i pilnował, by je wypełniali.

Rumfoord uniósł palec, a Wuję ze zdumieniem stwierdził, że palec jest przezroczysty.

- Na pokładzie talerza była tylko jedna kabina pierwszej klasy, do której nie wolno mu było wchodzić - ciągnął Rumfoord. - Załoga wyjaśniła mu troskliwie, że apartament należy do

najpiękniejszej z kobiet, jakie kiedykolwiek przewieziono na Marsa, i że każdy mężczyzna, ujrzawszy tę kobietę, musiałby się w niej zakochać. Miłość zaś – jak twierdzili – jest zgubą każdego żołnierza, z wyjątkiem najtwardszych asów munduru.

Oburzony sugestią, że nie zalicza się do najtwardszych asów munduru, Wujó uraczył załogę całą serią opowieści o swych finezyjnych przewagach w dziedzinie obcowania z najwspanialszymi kobietami, z których żadna nie zdołała wzruszyć głazu jego serca. Załoga nie pozbyła się jednak sceptycyzmu, wyrażając przy tym śmiałą opinię, że w swoich lubieżnych podbojach Wujó nie natknął się nigdy na tak inteligentną i wyniosłą piękność, jak ta w zamkniętym apartamencie.

Ogromny, zdawałoby się, szacunek załogi dla Wujó uległ w tym miejscu nieznacznemu podważeniu. Pozostali rekruci, czując owo podważenie, także pozwolili sobie zwątpić w jego autorytet. Podpułkownikowi w papuzim uniformie dano wreszcie odczuć, kim jest naprawdę – mianowicie nadętym błaznem. Nikt nie powiedział głośno, jakim to sposobem podpułkownik mógłby odzyskać nadwątlony honor, ale sposób ten był dla wszystkich oczywisty. Aby odzyskać honor, podpułkownik musiał uwieść piękność z zamkniętego apartamentu. Podpułkownik gotów był uczynić to w każdej chwili.

Załoga jednak – ciągnął Rumfoord – w dalszym ciągu usiłowała ustrzec go przed niechybną miłosną porażką i złamaniem serca. Ego podpułkownika zasyczało, zaskwierczało, pyknęło, trzasnęło – i sflaczało.

W mesie oficerskiej – opowiadał dalej Rumfoord – odbywała się właśnie mała prywatka. Nasz podpułkownik spił się jak bela i zaczął rozrabiać. Na nowo chełpił się swą bezduszną rozwiązłością na Ziemi. Nagle spostrzegł, że ktoś podrzucił mu na dno szklanki klucz do apartamentu.

Podpułkownik udał się tam niezwłocznie, otworzył drzwi kabiny i zaryglował je za sobą – rzekł Rumfoord. – Wewnątrz apartamentu było ciemno, lecz wewnątrz głowy podpułkownika rozjaśniał alkohol i butne słowa oświadczenia, jakie złoży nazajutrz przy śniadaniu.

Bez trudu posiadał w ciemności kobietę osłabioną strachem i środkami uspokajającymi – ciągnął Rumfoord. – Był to akt pozbawiony radości, w którym zaspokojenia nie zaznał nikt poza Matką Naturą i jej najprymitywniejszymi krewniakami.

Nasz podpułkownik czuł się nieszczególnie. Czuł się parszywie. Nieroztropnie zapalił światło, w nadziei, że uroda kobiety pozwoli mu poczuć dumę z własnej zwierzęcości – ciągnął smętnie Rumfoord. – Na koi kuliła się dość pospolitej urody kobieta po trzydziestce. Miała zaczerwienione oczy i twarz spuchniętą od łez i rozpacz.

Co więcej, nasz podpułkownik wiedział, kto to jest. Była to kobieta, która, zgodnie z pewną przepowiednią, miała kiedyś urodzić dziecko podpułkownika – rzekł Rumfoord. – Podczas ich poprzedniego spotkania okazała mu tyle dumy i pogardy, teraz zaś była tak zdruzgotana, że nawet bezduszny podpułkownik poczuł się wzruszony.

Nasz podpułkownik po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie wówczas coś, czego większość ludzi nigdy sobie nie uświadamia: że jest nie tylko ofiarą złośliwego losu, lecz i jednym z najokrutniejszych tego losu wysłanników. Kiedy spotkali się poprzednio, kobieta uważała go za świnię. Teraz udowodnił jej bezspornie, że istotnie jest świnią.

Jak słusznie przewidywała załoga – ciągnął Rumfoord – podpułkownik był po tym zdarzeniu do niczego jako żołnierz. Wplątał się beznadziejnie w zawiłą taktykę zadawania najlżejszego, zamiast jak najsilniejszego, bólu. Dowodem jego sukcesów na tym polu niechaj będzie fakt, że uwiedziona kobieta obdarowała go zrozumieniem i przebaczeniem.

Kiedy statek dotarł na Marsa, podpułkownik zorientował się podczas przypadkowej rozmowy w szpitalu Centrum Recepcyjnego, że wkrótce odbiorą mu pamięć. W związku z tym napisał do siebie pierwszy z serii listów, które zawierały w punktach wszystko, o czym nie chciał zapomnieć. Pierwszy list dotyczył w całości skrzywdzonej kobiety.

Już pozbawiony pamięci, nasz podpułkownik odszukał ją i stwierdził, że i ona go sobie nie przypomina. Stwierdził ponadto, że kobieta jest w ciąży i nosi w łonie jego dziecko. Postawił więc przed sobą zadanie zdobycia jej miłości, a poprzez nią – także miłości dziecka.

Usiłował wypełnić to zadanie – ciągnął Rumfoord – i to nie jeden raz, Wujó, lecz wiele razy.

Za każdym razem doznawał porażki. Zadanie to stało się jednak centralnym problemem jego

życia, być może dlatego, że sam pochodził z rozbitej rodziny.

Zródłem jego porażek, Wuju – mówił dalej Rumfoord – była wrodzona oziębłość kobiety, a także szkoła psychiatryczna, która ideały marsjańskiego społeczeństwa utożsamiała ze szlachetnym zdrowym rozsądkiem. Ilekroć naszemu bohaterowi udało się przekabacić kobietę na swoją stronę – totalnie pozbawiona poczucia humoru psychiatria marsjańska prostowała ją na nowo, czyniąc z niej na powrót pełnowartościową obywatelkę.

Zarówno nasz bohater, jak i jego kobieta, byli częstymi gośćmi na oddziałach psychiatrycznych swoich szpitali. I warto, być może, zastanowić się nad tym – zakończył Rumfoord – że ów doszczętnie sfrustrowany mężczyzna był jedynym Marsjaninem, który stworzył dzieło filozoficzne, zaś owa doszczętnie autofrustrująca się kobieta była jedyną Marsjanką, która stworzyła wiersz.

Boaz zbliżył się do kompanijnego statku-matki od strony miasta Phoebe, gdzie szukał Wuja. – Jasna cholera – zwrócił się do Rumfoorda. – Polecieli sobie, a nas zostawili! – Boaz przyjechał rowerem.

Dostrzegł Wuja.

– Jasna cholera, kumplu – zwrócił się do Wuja. – Dałeś ty, stary, popalić swojemu kumplowi. Jak słowo daje! Jakżeś się tu dostał?

– Żandarmeria – odparł Wuj.

– Jedyne sposob dostania się do dokądkolwiek – uzupełnił beztróska Rumfoord.

– Musimy ich gonić, kumplu – powiedział Boaz. – Chłopaki nie zaatakują, jak nie ma z nimi statku-matki. O co by mieli walczyć?

– O przywilej zostania pierwszą armią, jaka padła w zbożnym celu – odparł Rumfoord.

– Jak to? – zdziwił się Boaz.

– Nieważne – odparł Rumfoord. – Wy, chłopaki, wskakujcie teraz do środka, zamknijcie włącz i naciśnijcie guzik „start”. Dogonicie ich bez kłopotu. Wszystko jest w pełni zautomatyzowane.

Wuj i Boaz wskoczyli do środka.

Rumfoord przytrzymał zewnętrzną klapę włączu.

– Boaz – powiedział – przycisk „start” to jest ten czerwony guzik na środkowym pulpicie.

– Wiem – powiedział Boaz.

– Wuju – rzekł Rumfoord.

– Słucham? – odparł obojętnie Wuj.

– Ta kobieta, ta, co urodziła jego dziecko – rzekł Rumfoord – ta, co była jedyną poetką na Marsie...

– No, co z nią? – zniecierpliwiał się Wuj. Nie obchodziła go specjalnie. Nie domyślił się, że kobieta z opowieści Rumfoorda to Be, jego własna kobieta.

– Przed przyjazdem na Marsa była przez kilka lat żoną kogoś innego – powiedział Rumfoord.

– Ale kiedy ten pistolet podpułkownik dobrał się do niej w kajucie statku lecącego na Marsa... była nadal dziewicą.

Winston Niles Rumfoord mrugnął do Wuja, zanim zamknął zewnętrzną klapę włączu.

– Zrobiliście jej mężowi niezły kawał, co. Wuju? – powiedział na pożegnanie.

## Rozdział 7

### Zwycięstwo

Nie ma powodu, dla którego zło miałoby triumfować częściej niż dobro. Triumf to kwestia organizacji. Jeżeli istnieje coś takiego jak zastępy anielskie, to mam nadzieję, że działają one według schematu organizacyjnego Mafii.

(-)

Winston Niles Rumfoord

Ktoś powiedział, że cywilizacja ziemska wydała jak dotąd aż dziesięć tysięcy wojen, ale tylko trzy inteligentne komentarze na temat wojny – komentarze autorstwa Tukidydesa, Juliusza Cezara i Winstona Nilesa Rumfoorda.

Winston Niles Rumfoord tak umiejętnie dobrał 75000 słów dla swojej Kieszonkowej historii Marsa, że nie sposób cokolwiek dodać lub uściślić w jego opisie wojny ziemsko-marsjańskiej. Każdy, kto dokonując opisu historycznego uważa za swój obowiązek opisać przebieg wojny ziemsko-marsjańskiej, musi ulec onieśmielającej pewności, że zostało to już zrobione – i to doskonale – przez Rumfoorda.

Zbity z pantaląku historyk przyjmuje wówczas najczęściej następujący tok postępowania: relacjonuje przebieg wojny w sposób możliwie najbardziej faktograficzny, oschły i skrótowy, po czym natychmiast odsyła czytelnika do dzieła Rumfoorda.

Powyższy tok postępowania przyjmuje się i tutaj.

Wojna ziemsko-marsjańska trwała 67 dni ziemskich. Zaatakowane zostały wszystkie państwa na Ziemi.

Straty wojenne Ziemi wyniosły: 461 zabitych, 223 rannych, 0 jeńców i 216 zaginionych.

Straty wojenne Marsa wynosiły: 149315 zabitych, 446 rannych, 11 jeńców i 46634 zaginionych.

Po zakończeniu wojny okazało się, że wszyscy Marsjanie bądź to nie żyją, bądź też zostali ranni, wzięci do niewoli lub zaginęli.

Na Marsie nie ostała się żywa dusza. Wszystkie budowle na Marsie zostały zrównane z ziemią.

Załogi ostatnich marsjańskich statków, które zaatakowały Ziemię, składały się – ku zgrozie Ziemian, którzy najpierw podziurawili je jak sita – ze starców, kobiet i kilkorga małych dzieci.

Marsjanie przybyli na Ziemię w najzmyślniej skonstruowanych rakietach, jakie znał System Słoneczny. Póki oddziałami marsjańskimi sterowali rzeczywiści dowódcy, oddziały te walczyły zawięzcie, ofiarnie i z dużą ochotą do bezpośredniego zwania z wrogiem, co zyskiwało im zazdrosny podziw przeciwnika.

Często dochodziło jednak do tego, że oddział tracił rzeczywistego dowódcę – czy to w powietrzu, czy na lądzie. Ilekroć do tego doszło, duch w oddziale zamierał w jednej chwili.

Największym problemem wojsk marsjańskich było jednak to, że ich uzbrojenie niewiele odbiegało od uzbrojenia oddziału policji w ziemskim mieście średniej wielkości. Walczyli przy użyciu broni palnej, granatów, noży, moździerzy i małych katapult rakietowych. Nie dysponowali ani bronią nuklearną, ani czołgami, ani średnią czy ciężką artylerią, ani osłoną powietrzną, ani też – od chwili wylądowania na Ziemi – transportem.

Oddziały marsjańskie nie miały ponadto żadnego wpływu na miejsce lądowania swoich statków. Każdym z pojazdów sterował całkowicie zautomatyzowany pilot-nawigator, który to zespół urządzeń elektronicznych został przez techników marsjańskich ustawiony tak, aby statek wylądował w z góry wyznaczonym punkcie na Ziemi, niezależnie od tego, jak niesprzyjająco mogłaby się tam akurat przedstawiać sytuacja strategiczna.

Jedynymi dostępnymi załozce elementami sterowania były dwa przyciski na środkowym pulpicie kabiny – jeden z napisem „start”, drugi z napisem „stop”. Po naciśnięciu guzika z napisem „start” pojazd odlatywał z Marsa. Po naciśnięciu guzika z napisem „stop” nie działało się nic. Guzik „stop” zainstalowano w rakietach na usilne żądanie marsjańskich psychiatrów, zdaniem których istoty ludzkie zawsze wolą mieć do czynienia z mechanizmem, który – przynajmniej we własnym mniemaniu – mogą w każdej chwili wyłączyć.

Wojna ziemsko-marsjańska rozpoczęła się 23 kwietnia, kiedy to Komandosi Marsjańscy opanowali księżyc planety Ziemia. Nikt nie stawiał oporu. Jedynymi Ziemianami na Księżycu byli akurat: Amerykanie, w liczbie 18, w Obserwatorium im. Jeffersona, Rosjanie, w liczbie 53, w Obserwatorium im. Lenina, i duńscy geolodzy, w liczbie 4, gdzieś na terytorium Mare Imbrium.

Marsjanie drogą radiową przekazali Ziemi wiadomość o swoim przybyciu i zażądali bezzwłocznego poddania się. Następnie uraczyli Ziemię tym, co w ich mniemaniu stanowiło „przedsmak piekła”.

Przedsmak ów – ku niemałemu rozbawieniu Ziemi – okazał się być niewinnym deszczem rakiet, z których każda niosła ładunek dwunastu funtów TNT.

Po uraczeniu Ziemi wspomnianym przedsmakiem pieklą Marsjanie poinformowali Ziemię, że jej sytuacja jest beznadziejna.

Ziemia była odmiennego zdania.

W ciągu następnej doby Ziemia wystrzeliła w kierunku marsjańskiego przyczółka na Księżycu 617 pocisków termonuklearnych. Z czego 276 dotarło do celu. Celnymi pociskami nie tylko unicestwiły przyczółek, lecz i sprawiły, że Ziemianie musieli zrezygnować z odwiedzania Księżyca na co najmniej dziesięć milionów najbliższych lat.

Ponadto, w wirze wojennej zawieruchy, jeden zbłąkany pocisk ominął Księżyc trafiając w zamian w nadlatującą eskadrę statków kosmicznych, które wiozły 15671 Komandosów Marsjańskich. W ten to sposób sprawa Komandosów Marsjańskich została definitywnie zakończona.

Komandosi Marsjańscy nosili kolczaste nakolanniki, lśniące czarne uniformy i czternastocalowe noże-piłki w cholewach. Ich symbolem była czaszka i skrzyżowane piszczele. Motto Komandosów głosiło: Per aspera ad astra – dokładnie tak samo, jak motto miasta Kansas w USA, Ziemia, System Słoneczny, Droga Mleczna.

Potem nastąpił trzydziestodwudniowy okres spokoju, gdyż tyle dokładnie czasu potrzebowały główne siły ofensywy marsjańskiej na przebycie próżni dzielącej obie planety.

W zmasowanym natarciu uczestniczyło 81 932 ludzi zgrupowanych na pokładach 2311 statków. Reprezentowane były wszystkie formacje, za wyjątkiem Komandosów Marsjańskich.

Oszczędzono Ziemi niepewności co do terminu pojawienia się tej straszliwej Armady.

Stacjonujący na Księżycu radiowcy marsjańscy zdążyli – nim ulegli unicestwieniu – obiecać Ziemianom, że owa druzgocąca siła zdusi ich za trzydzieści dwa dni.

Po upływie trzydziestu dwóch dni, czterech godzin i piętnastu minut Marsjańska Armada wleciała w rejon kontrolowanej przez radary zapory termonuklearnej. Liczbę przeciwlotniczych rakiet termonuklearnych wystrzelonych w kierunku Marsjańskiej Armady szacuje się oficjalnie na 2542670. Faktyczna liczba wystrzelonych rakiet nie ma większego znaczenia, skoro siłę zapory można wyrazić inaczej, w sposób przypadkowo zgodny i z duchem poezji, i z duchem prawdy. Zapora zmieniła barwę ziemskiego nieba z rajskiego błękitu na piekielny palony oranż. Jeszcze przez półtora roku niebo nad Ziemią było ciemnopomarańczowe.

Tylko 761 statków, czyli 26635 żołnierzy, potężnej Marsjańskiej Armady przedarło się przez zaporę i osiadło na Ziemi.

Gdyby osiadły wszystkie w jednym miejscu, ocalali Marsjanie mogliby jeszcze stanąć do walki. Elektroniczni piloci-nawigatorzy mieli jednak własne poglądy na temat miejsc lądowania. Piloci-nawigatorzy rozproszyli resztki Armady po całej powierzchni Ziemi. Na całej kuli ziemskiej zaczęły wylaniać się ze statków oddziały, plutony i kompanie Marsjan, żądając, aby milionowe państwa natychmiast im się poddały.

Solidnie poparzony żołnierz imieniem Krishna Garu zaatakował sam jeden całe Indie, używając w tym celu dwururki. I choć nie było komu zdalnie nim sterować, nie poddał się, dopóki strzelba nie rozerwała mu się w rękach.

Jedynym sukcesem militarnym Marsjan było opanowanie targu mięsnego w Bazylei, Szwajcaria, przez siedemnastu komandosów narciarsko-desantowych.

Wszędzie indziej Marsjan szlachtowano bez pardonu, zanim zdążyli się okopać.

Amatorzy trudnili się szlachtowaniem na równi z profesjonalami. Dla przykładu, podczas bitwy o Boca Raton na Florydzie, USA, pani Lyman R. Peterson zastrzeliła czterech żołnierzy Marsjańskiej Piechoty Szturmowej ze strzelby swojego syna, kaliber 22. Kosiła ich, w miarę jak wychodzili ze statku, który wylądował na podwórku pani Peterson.

Pani Peterson przyznano pośmiertnie Medal Honorowy Kongresu.

Tak się złożyło, że Marsjanie, którzy zaatakowali Boca Raton, byli niedobitkami kompanii Wuję i Boaza. Pozbawieni Boaza, swego rzeczywistego dowódcy, który zdalnie nimi sterował, walczyli oni – mówiąc najogólniej – dość apatycznie.

Kiedy oddziały amerykańskie pojawiły się w Boca Raton, by dać odpór Marsjanom, nie było już z kim walczyć. Zaróżowieni z dumy cywile sami się pięknie o wszystko zatroszczyli.



Dwudziestu trzech Marsjan powieszono na latarniach w dzielnicy handlowej, jedenastu zastrzelono na miejscu, ostatni zaś, sierżant Brackman, siedział w więzieniu jako ciężko ranny jeniec wojenny.

Marsjanie zaatakowali siłą trzydziestu pięciu żołnierzy.

– Możecie nam podesłać jeszcze trochę Marsjan – powiedział Ross L. McSwann, burmistrz Boca Raton.

Został on później senatorem Stanów Zjednoczonych.

Po całej Ziemi zabijano, zabijano i zabijano Marsjan, aż w końcu jedynymi wolnymi i żywymi Marsjanami zostali komandosi narciarsko-desantowi, buszujący po targu mięsnym w Bazylei, Szwajcaria. Poinformowano ich przez megafony, że są w beznadziejnej sytuacji, że krążą nad nimi bombowce, że wszystkie ulice zablokowane są przez czołgi i strzelców wyborowych, i że w targ mięsny wycelowano właśnie pięćdziesiąt dział. Kazano im wyjść natychmiast, z rękami do góry, gdyż w przeciwnym razie targ zostanie zrównany z ziemią.

– Gówno! – wrzasnął rzeczywiście dowódca komandosów narciarsko-desantowych.

Zapadła kolejna cisza.

Samotny marsjański statek zwiadowczy przekazał Ziemi z czeluści kosmosu wiadomość, że czeka ją kolejny atak, straszliwszy niż wszystko, co opisują annały wojenne.

Ziemia zaśmiała się i przyszykowała do odparcia ataku. Po całej kuli ziemskiej rozległy się radosne wystrzały: to amatorzy oswajali się z lekką bronią palną.

Na wyrzutnie wjechały świeże zapasy pocisków termonuklearnych, zaś dziewięć gigantycznych ładunków natychmiast wystrzelono na Marsa. Jeden z nich trafił planetę, ścierając z jej powierzchni miasto Phoebe i koszary. Dwa inne zniknęły w infundybule chronosynklastycznej. Reszcie przypadła rola kosmicznych wraków.

Skuteczne trafienie Marsa nie miało większego znaczenia.

Na Marsie i tak nie było już żywej duszy.

Ostatni Marsjanie lecieli właśnie w kierunku Ziemi.

Ostatni Marsjanie nadlatywali w trzech turach.

W pierwszej turze lecieli rezerwiści – resztką wyszkolonych oddziałów – w liczbie 26119 ludzi na 721 statkach.

W pół ziemskiej doby za nimi leciało 86912 uzbrojonych doraźnie cywilów płci męskiej na 1738 statkach. Cywile nie nosili mundurów, każdy z nich oddał dotychczas jeden strzał z karabinu i żaden nie był szkolony w posługiwaniu się jakąkolwiek inną bronią.

W pół ziemskiej doby za tymi żalonymi ofermami leciało 1391 nie uzbrojonych kobiet i 52 dzieci na 46 statkach.

Była to cała reszta marsjańskiej populacji i sprzętu lotniczego.

Mózgiem marsjańskiego samobójstwa był Winston Niles Rumfoord.

Finezyjne samobójstwo Marsa zostało sfinansowane dzięki zawrotnym zyskom z inwestowania w ziemię, papiery wartościowe, spektakle na Broadwayu i wynalazki. Ponieważ Rumfoord potrafił czytać przyszłość, zbiecie fortuny było dla niego kaszką z mleczkiem.

Marsjański majątek przechowywany był w bankach szwajcarskich na kontach numerowych. Człowiekiem, który dokonywał marsjańskich inwestycji, sterował Programem Zaopatrzenia Marsa i marsjańskim wywiadem na Ziemi, człowiekiem, który przyjmował polecenia bezpośrednio od Rumfoorda, był Earl Moncrief, wiekowy lokaj Rumfoordów. Moncrief, do którego los uśmiechnął się dopiero pod sam koniec jego służalczego żywota, z ochotą stał się bezwzględny, sumienny, błyskotliwym wręcz Ministrem Spraw Ziemskich Rumfoorda. Fasada Moncriefa nie uległa zmianie.

Moncrief zmarł ze starości we własnym łóżku, w części czeladnej posiadłości Rumfoordów.

Zmarł w dwa tygodnie po zakończeniu wojny.

Technologiczna doskonałość marsjańskiego samobójstwa była w przeważającej mierze zasługą Salo, z którym Rumfoord przyjaźnił się na Tytanie. Salo był wysłannikiem Tralfamadorii – planety należącej do Małego Obłoku Magellana. Salo doskonalił swą smykałkę techniczną wśród cywilizacji liczącej sobie miliony ziemskich lat. Salo dysponował niesprawnym statkiem kosmicznym. Nawet w stanie niesprawnym był to zdecydowanie najwspanialszy statek kosmiczny, jaki oglądano dotychczas w obrębie Systemu Słonecznego. Statek Salo, pozbawiony

elementów luksusowych, posłużył za prototyp wszystkich statków marsjańskich. Salo nie był specjalnie zdolnym inżynierem, potrafił jednak pobrać wszystkie parametry swego statku i sporządzić plany konstrukcyjne jego marsjańskich potomków.

A co najważniejsze – Salo dysponował pewną ilością najpotężniejszego z potężnych źródeł energii: PWZ, czyli Powszechnej Woli Zaistnienia. Salo wspaniałomyślnie ofiarował połowę swego zapasu PWZ na rzecz samobójstwa Marsa.

Earl Moncrief, lokaj, oparł sterowane przez siebie systemy – finansowy, zaopatrzeniowy i wywiadowczy – na bezwzględnej sile pieniądza i wnikliwej analizie ludzkiego sprytu, złośliwości i niezadowolenia, zwykle skrywanych za służalczymi fasadami.

Tacy właśnie ludzie ochoczo przyjmowali marsjańskie pieniądze i marsjańskie rozkazy. Nie zadawali pytań. Z wdzięcznością brali na siebie rolę termitów podgryzających obrzeża ustalonego porządku.

Pochodzili z rozmaitych środowisk.

Zmodyfikowany schemat statku Salo rozbito na schematy poszczególnych partii pojazdu.

Agenci Moncriefa porozwozili te schematy do producentów całego świata.

Producenci nie mieli pojęcia, do czego mają służyć zamówione części. Wiedzieli jedynie, że dobrze zarabiają na ich produkcji.

Pierwszą setkę marsjańskich statków kosmicznych agenci Moncriefa zgromadzili w tajnych bazach na Ziemi. Statki zasilono dawką PWZ, którą Rumfoord wręczył Moncriefowi w Newport.

Statki natychmiast podjęły służbę, dowożąc, systemem wahadłowym, pierwszych rekrutów i pierwsze maszyny na Marsa, gdzie miało powstać miasto Phoebe.

Kiedy miasto Phoebe powstało, ofiarowana przez Salo PWZ poruszyła wszystkie tryby.

Kłęska wojenna Marsa – kłęska głupia i druzgocąca – była zgodna z zamysłem Rumfoorda.

Będąc jasnowidzem, Rumfoord wiedział, że tak się to wszystko skończy – i został usatysfakcjonowany.

Miał nadzieję, że przykładem totalnej i nie do zapomnienia zagłady Marsa zmieni świat na lepsze.

Jak sam pisze w Kieszonkowej historii Marsa: „Každy, kto chciałby w sposób znaczący zmienić świat, musi legitymować się żyłką showmana, szczerą gotowością przelania ludzkiej krwi i nową, wiarygodną religią, którą zainauguruje podczas krótkiej pauzy skruchy i przerażenia, jaka zwykle następuje po rzezi.

Przyczyny wszystkich klęsk ziemskich wodzów dają się sprowadzić do zaniedbania przynajmniej jednego z trzech wymienionych elementów – wywodzi Rumfoord.

Dość już tych przywódczych niewypałów, przez które miliony giną za czapkę śliwek, albo i to nie! – grzmi Rumfoord. – Sprawmy sobie, dla odmiany, garstką bezbłędnie dowodzonych, którzy giną za wielką sprawę!”

Garstką bezbłędnie dowodzonych sprawił sobie Rumfoord na Marsie – i sam został ich wodzem.

Legitymował się żyłką showmana.

Legitymował się szczerą gotowością przelania ludzkiej krwi.

Legitymował się nową, wiarygodną religią, którą zamierzał zainaugurować po zakończeniu wojny.

Znał też sposoby na przedłużenie pauzy skruchy i przerażenia, jaka zwykle następuje po wojnie. Sposoby te były wariacjami na jeden temat: wspaniałe zwycięstwo Ziemi nad Marsem było w istocie niesmaczną rzezią nieuzbrojonych praktycznie świętych – świętych, którzy wypowiedzieli Ziemi mizerną wojenkę, tylko po to, by połączyć wszystkie jej narody w monolit Bractwa Człowieczego.

Kobieta imieniem Be i jej syn Chrono znaleźli się w ostatniej fali marsjańskiego ataku na Ziemię. W falce właściwie, złożonej z czterdziestu sześciu zaledwie statków.

Reszta floty podążyła już w dół ku zagładzie.

Ziemia wytropiła ostatnią falę, a raczej falkę, marsjańskiego ataku. Nie ostrzelano jej jednak pociskami termonuklearnymi. Pociski termonuklearne się skończyły.

Zużyto wszystkie.

Tak więc falka osiadła na Ziemi nietknięta. Rozproszyła się po całym globie.

Nieliczni szczęśliwcy, którym trafili się pod lufę Marsjanie z ostatniej fali, zaczęli natychmiast strzelać do nich w ekstazie. Strzelali w euforii, póki nie stwierdzili, że obiektem ich ataków są bezbronne kobiety i dzieci.

I to był koniec wspaniałej wojny.

Na Ziemi – zgodnie z planem Rumfoorda – począł kiełkować wstyd.

Statek, niosący na pokładzie Be, chłopca Chrono i jeszcze dwadzieścia dwie inne kobiety, nie został ostrzelany po wylądowaniu na Ziemi. Wylądował z dala od cywilizacji.

Rozbił się w Amazońskiej Dżungli Deszczowej, w Brazylii.

Ocalili jedynie Be i Chrono.

Chrono wyczołgał się z wraka i ucałował swój talizman.

Wujo i Boaz także nie zostali ostrzelani.

Po naciśnięciu guzika „start” i opuszczeniu Marsa przydarzyło im się coś bardzo dziwnego.

Spodziewali się, że przegonią swoją kompanię, a tymczasem w ogóle jej nie dogonili.

Nie zobaczyli już żadnego statku kosmicznego.

Incydent ów miał bardzo proste wyjaśnienie, choć w pobliżu nie było akurat nikogo, kto mógłby je przedstawić: Wujo i Boaz wcale nie mieli polecieć na Ziemię, – przynajmniej nie tak zaraz.

Rumfoord tak nastawił pilota-nawigatora ich statku, że Wujo i Boaz mieli najpierw udać się na Merkurego, o dopiero stamtąd na Ziemię.

Rumfoord nie życzył sobie, aby Wujo zginął w wojnie.

Rumfoord życzył sobie, aby Wujo przesiedział jakieś dwa lata w bezpiecznym miejscu.

Potem zaś – zgodnie z życzeniem Rumfoorda – Wujo miał się jakoby cudem pojawić na Ziemi.

Rumfoord zarezerwował sobie Wuję do głównej roli w widowisku, które zamierzał zorganizować, aby wprowadzić nową religię.

Wujo i Boaz czuli się w kosmosie bardzo samotni i zaintrygowani. Nie mieli co robić, nie mieli na co patrzeć.

– Jasny gwint, Wuju – powiedział Boaz. – Ciekawe, gdzie się podziała nasza paczka.

Przeważająca część paczki dyndała akurat na latarniach w dzielnicy handlowej Boca Raton.

Automatyczny pilot-nawigator Wuję i Boazę, który sterował między innymi oświetleniem kabiny, utrzymywał na statku sztuczny cykl ziemskich nocy i dni, nocy i dni, nocy i dni.

Jedynymi lekturami na pokładzie były dwa komiksy, pozostawione tam przez budowniczych statku. Pierwszy nosił tytuł „Tweety i Sylwester” i opowiadał o kanarku, który doprowadza pewnego kota do białej gorączki; drugi zaś – „Nędznicy” – był historią człowieka, który ukradł kilka złotych lichtarzy pewnemu księdzu, chociaż ksiądz był dla niego dobry.

– Wuju, po co jemu były te wszystkie lichtarze? – zapytał Boaz.

– A cholera go wie – odparł Wujo. – Gównu mnie to obchodzi.

W tym momencie pilot-nawigator wyłączył oświetlenie kabiny, postanawiając, że od tej chwili nastanie noc.

– Wszystko cię gównu obchodzi, co, Wuju? – zapytał po ciemku Boaz.

– Zgadza się – odparł Wujo. – Nawet to, co nosisz w kieszeni, też mnie gównu obchodzi.

– A co ja takiego noszę w kieszeni? – zaciekawiał się nieszczerze Boaz.

– Urządzenie do zadawania ludziom bólu – powiedział Wujo. – Urządzenie do zmuszania ludzi, żeby robili to, co ci przyjdzie do głowy.

Wujo usłyszał w ciemności pomruk, a następnie cichy jęk Boazę. Domyślił się też, że Boaz nacisnął właśnie guzik tego, co nosił w kieszeni – guzik, który miał ściąć Wuję z nóg.

Wujo ani pisnął.

– Wuju? – zagadnął Boaz.

– Uhum? – odparł Wujo.

– Jesteś tam, kumplu? – zdumiał się Boaz.

– A gdzie miałbym pójść? – zapytał Wujo. – Myślałeś, że już po mnie?

– Dobrze się czujesz, kumplu? – indagował Boaz.

– Tak, kumplu, a bo co, kumplu? – odparł Wujo. – Wczoraj, jak spałeś, kumplu,

wyciągnąłem ci, kumplu, tę zabawkę z kieszeni i rozmontowałem ją, kumplu, i wybebeszyłem,

kumplu, i napchałem, kumplu, papierem toaletowym. A teraz, kumplu, siedzę sobie na pryczy i trzymam, kumplu, załadowany karabin, a ten karabin wycelowany jest w ciebie, kumplu – i co ty, sieroto, myślisz teraz zrobić?

Rumfoord zmaterializował się na Ziemi w Newport dwukrotnie podczas trwania wojny ziemsko-marsjańskiej: raz tuż po jej rozpoczęciu, a drugi raz – w dniu zakończenia. Rumfoord i jego pies nie mieli jeszcze wówczas znaczenia kultowego. Byli po prostu atrakcją turystyczną. Wierzytiele wydzierżawili posiadłość Rumfoordów pewnemu showmanowi nazwiskiem Martin T. Lapp. Lapp sprzedawał bilety na materializację w cenie jednego dolara za sztukę. Cały show polegał na pojawieniu się, a następnie zniknięciu, Rumfoorda i jego psa. Rumfoord ani myślał odzywać się do kogokolwiek prócz lokaja Moncriefa, do Moncriefa zaś mówił szeptem. Siadał zadumany w głębokim fotelu w pokoiku pod schodami – w Muzeum Kajtka. Jedną dłonią przesłaniał oczy; palce drugiej zaś wplatał w łańcuch stalowej obroży Kazaka.

Rumfoorda i Kazaka reklamowano jako duchy.

Za oknem pokoiku ustawiono platformę, a drzwi do korytarza usunięto. W ten sposób dwie kolejki turystów mogły równocześnie wić się wzdłuż pokoju, po to, by każdy z przechodzących rzucił sobie okiem na infundytułowanych chronosynklastycznie mężczyznę i psa.

– Coś nie za bardzo dziś rozmowny – wyjaśniał publiczności Martin T. Lapp. – Proszę pamiętać, że on ma sporo do myślenia. To, że siedzi tutaj, to jeszcze nie koniec. On i ten pies rozciągają się na całą odległość między Słońcem a Betelgeuzą.

Aż po ostatni dzień wojny, cały scenariusz i efekty dźwiękowe spektaklu były dziełem Martina T. Lappa.

– To fantastyczne, drodzy państwo, że przybywacie tu w tym wielkim dniu historii świata, aby podziwiać ów niepowtarzalny eksponat o niezaprzeczalnych wartościach kulturowych, poznawczych i naukowych. – Tak witał turystów Lapp w ostatnim dniu wojny.

– Jeśli duch przemówi – ciągnął Lapp – opowie nam o cudach minionych i przyszłych, o rzeczach we Wszechświecie, jakie się nam nie śniły. Mam nadzieję, że przynajmniej niektórzy z was będą mieli szczęście być tutaj w chwili, gdy duch uzna, że dojrzał już moment, w którym opowie nam wszystko, co wie.

– Ten moment właśnie dojrzał – oświadczył głucho Rumfoord.

– Ten moment już prawie gnije – uściślił Winston Niles Rumfoord.

– Chwalebne zwycięstwo, które dziś świętujecie, przyniosło chwałę jedynie pokonanym zastępom świętych. Owi święci byli, jak wy, Ziemianami. Wyprawili się oni na Marsa, przygotowali skazany na zagładę atak i ochoczo poświęcili życie, tylko po to, by Ziemianie połączyli się wreszcie w jeden naród: radosny, życzliwy i dumny.

Umierając – ciągnął Rumfoord – pragnęli nie rajy dla siebie samych, lecz wiecznotrwałego braterstwa ludzi na Ziemi.

W tym to żarliwie pożądanym celu – mówił – niosę wam dzisiaj słowo nowej religii, którą przyjmie z ochotą każde ludzkie serce w każdym zakątku ziemskiego globu.

Granice państw – obwieścił Rumfoord – przestaną istnieć.

Zamrze dążenie do wojny – obwieścił Rumfoord.

– Zamrze wszelka zazdrość i strach, i nienawiść – obwieścił Rumfoord.

– A imię tej nowej religii – obwieścił Rumfoord – brzmi: Kościół Boga Doskonale Obojętnego.

Flaga tego kościoła będzie błękitno-złota – obwieścił Rumfoord. – A na polu błękitnym złotymi literami wypisane będą te oto słowa: „Zajmijcie się ludźmi, a Bóg Wszechmogący sam się sobą zajmie”. Dwie główne nauki tej religii brzmią: człek marny nie jest w stanie wspomóc ani ucieszyć Boga Wszechmogącego; oraz: los to nie palec Boży.

Dlaczego mielibyście wyznawać tę akurat religię, a nie jakąkolwiek inną? – ciągnął

Rumfoord. – Powinniście ją wyznawać, gdyż ja, głosiciel tej religii, potrafię czynić cuda, czego nie potrafią głosiciele innych religii. Jakie cuda potrafię czynić? Potrafię uczynić cud przekazania wam, z największą dokładnością, tego, co niesie przyszłość.

W tym miejscu Rumfoord przepowiedział ze szczegółami pięćdziesiąt przyszłych zdarzeń.

Obecni pieczołowicie zakonotowali jego przepowiednie.

Nie trzeba dodawać, że wszystkie przepowiednie prędzej czy później się sprawdziły - i to co do joty.

- Nauki tej religii wydadzą się wam z początku mato precyzyjne i niejasne - powiedział Rumfoord. - Z czasem jednak dostrzeżecie ich piękno i kryształową przejrzystość.

Tytułem tymczasowo niejasnego wstępu - ciągnął Rumfoord - przytoczę wam pewną przypowieść: Dawno, dawno temu los postarał się, aby niemowlę zwane Malachi Constant przyszło na świat jako najbogatszy osesek na kuli ziemskiej. Tego samego dnia los postarał się o to, by pewna ślepa babuleńka stąpnęła na wrotkę porzuconą u szczytu betonowych schodów, aby koń pewnego policjanta rozdeptał małą kataryniarza i aby zwolniony warunkowo rabuś bankowy znalazł na dnie kufra na strychu własnego domu znaczek pocztowy wartości dziewięciuset dolarów. Pytam was, czy los to palec Boży? - Rumfoord wznosił do góry własny palec wskazujący, który był przezroczysty jak pierwszorzędna szklanka.

- Podczas kolejnych odwiedzin - rzekł - przytoczę wam, bracia, przypowieść o ludziach, którzy postępują tak, jak, w ich własnym mniemaniu, oczekuje tego od nich Bóg Wszchemogący. Tymczasem radzę wam, w ramach przygotowań do zrozumienia tej paraboli, przeczytać wszystko, co wam wpadnie w ręce na temat Inkwizycji Hiszpańskiej.

Następnym razem - ciągnął Rumfoord - przywiozę wam Biblię w wersji poprawionej stosownie do wymogów współczesności. Dostarczę wam też skróconą historię Marsa, prawdziwe dzieje świętych, którzy oddali swe życie za zjednoczenie narodów świata w Bractwo Człowiecze. Historia ta skruszy serce każdej ludzkiej istoty dysponującej jeszcze sercem do skruszenia. Rumfoord i jego pies zdematerializowali się w mgnieniu oka.

Na pokładzie statku kosmicznego lecącego z planety Mars w kierunku planety Merkury, na pokładzie statku wiozącego Wuja i Boaza, automatyczny pilot-nawigator ponownie zarządził dzień.

Nastał świt po nocy, podczas której Wujo oświadczył Boazowi, że to coś, co Boaz ma w kieszeni, nie zdoła już nikomu zadać bólu.

Wujo spał na swojej pryczy w pozycji siedzącej. Na jego kolanach spoczywał załadowany i odbezpieczony mauzer.

Boaz nie spał. Leżał na swojej pryczy pod przeciwległą ścianą kabiny. Boaz przez całą noc nie zmrużył oka. Gdyby tylko zechciał, mógł teraz z łatwością rozbroić i zabić Wuja.

Boaz doszedł jednak do wniosku, że kumpel jest mu potrzebny znacznie bardziej niż urządzenie do zmuszania ludzi, aby robili dokładnie to, co Boaz im każe. W ciągu ostatniej nocy przestał zresztą być tak bardzo pewien, co mianowicie chciałby im nakazywać.

Boaz doszedł do wniosku, że tak naprawdę w życiu liczą się tylko dwie rzeczy: nie być samotnym i nie bać się. Prawdziwy kumpel był wart więcej niż wszystko inne.

Kabinę wypełnił nagle dziwaczny, zgrzytliwy, szczekliwy odgłos. Był to śmiech. Był to śmiech Boaza. Śmiech Boaza brzmiał tak dziwacznie, ponieważ Boaz nigdy jeszcze nie śmiał się w ten sposób - nigdy jeszcze nie śmiał się z tego, z czego śmiał się teraz.

Śmiał się z potwornego bigosu, w jaki się władował - z tego, że przez całe swoje wojskowe życie udawał, że rozumie wszystko, co się dzieje, i że to, co się dzieje, jest w porządku.

Śmiał się z tego, że jak dureń dał się wykorzystywać - Bóg wie komu i Bóg wie, w jakim celu.

- Kurczę pieczone, kumplu - przemówił na głos. - Co my tu robimy, w samym środku kosmosu? Co my robimy w tych ciuchach? Kto steruje tym całym kretyństwem? Jak to się stało, żeśmy wleźli w tę puszkę po konserwach? Dlaczego mamy do kogoś strzelać, kiedy dojedziemy tam, gdzie dojedziemy? Dlaczego ktoś ma próbować nas zabić? Dlaczego? - zapytał Boaz. - Kumplu - powiedział. - Ty mi powiedz, dlaczego.

Wujo ocknął się i gwałtownie obrócił muszkę mauzera w kierunku Boaza.

Boaz śmiał się dalej jakby nigdy nic. Wyjął z kieszeni skrzynkę kontrolną i cisnął ją na podłogę.

- Już jej nie chcę, kumplu - powiedział. - Nic nie szkodzi, że ją wybebeszyłeś. Mam jej dosyć.

Mam dosyć tego całego gówna! - ryknął Boaz.

## Rozdział 8

## W nocnym klubie Hollywood

HARMONIA – jedyna forma życia spotykana na planecie Merkury. Harmonia zamieszkuje jaskinie. Trudno sobie wyobrazić wdzięczniejsze stworzenie.

## DZIECIĘCA ENCYKLOPEDIA CUDÓW I CIEKAWYCH ZAJĘĆ

Planeta Merkury śpiewa jak kryształowy kielich.

Śpiewa nieprzerwanie.

Jedną stroną Merkury zwrócony jest ku Słońcu. Ku Słońcu zwraca się wciąż ta sama strona Merkurego. Pokrywa ją ocean rozgrzanego do białości pyłu.

Drugą stroną Merkury zwrócony jest ku nicości wiekuistej przestrzeni. Ku nicości wiekuistej przestrzeni zwraca się wciąż ta sama strona Merkurego. Pokrywa ją dżungla olbrzymich, białoniebieskich, zimnych jak lód kryształów.

Merkury śpiewa dzięki napięciu, jakie powstaje między gorącą półkulą wiecznego dnia a zimną półkulą wiecznej nocy.

Merkury pozbawiony jest atmosfery, więc jego pieśń odbiera się zmysłem dotyku.

Pieśń jest powolna. Merkury potrafi wytrzymać jeden dźwięk przez okres równy ziemskiemu tysiącleciu. Niektórzy twierdzą, że pieśń ta była niegdyś wesoła, szybka, nieokiełznana – i zniewalająco bogata. Niewykluczone.

W przepastnych jaskiniach Merkurego żyje pewien gatunek stworzeń.

Pieśń, którą śpiewa planeta, jest dla tych stworzeń bardzo ważna, gdyż żywią się one wibracjami. Odżywiają się energią mechaniczną.

Stworzenia przywierają kurczowo do śpiewających ścian swoich jaskiń,

W ten sposób zżerają pieśń Merkurego.

W głębi jaskiń ściany fosforyzują cytrynowym światłem.

Stworzenia zamieszkujące jaskinie są przezroczyste. Gdy przywierają do ścian, fosforyczne światło przenika je na wylot. Żółte światło ścian, po przepuszczeniu przez ciała stworzeń, przybiera żywy odcień akwamaryny.

Natura jest wspaniała.

Stworzenia zamieszkujące jaskinie do złudzenia przypominają małe latawce bez szkieletu.

Dojrzały osobnik ma kształt romboidalny i mierzy jedną stopę długości na osiem cali szerokości.

Grubość jego nie przekracza grubości ścianki balonika.

Każde ze stworzeń ma cztery słabiutkie ssawki – po jednej na każdym czubku. Ssawki te umożliwiają im czołganie się, – podobne do pełzania dżdżownicy – a także przywieranie do podłoża i wyczuwanie miejsc, w których pieśń Merkurego jest najbardziej smakowita.

Znalazłszy miejsce obiecujące godziwy posiłek, stworzenia przylepiają się do ściany jak wilgotna tapeta.

Stworzenia nie potrzebują systemu krążenia. Są tak cienkie, że życiodajne wibracje rozchodzą im się po wszystkich komórkach bez żadnych układów wspomagających.

Stworzenia nie wydalają.

Stworzenia rozmnażają się przez łuszczenie. Świeżo złuszczone młode przypominają łupież.

Wszystkie stworzenia są jednej płci.

Każde stworzenie złuszcza potomka własnego rodzaju, przy czym własny rodzaj jest dla wszystkich identyczny.

Stworzenia nie znają dzieciństwa jako takiego. Łuski zaczynają same się łuszczyć już w trzy ziemskie godziny po opadnięciu z dorosłego osobnika.

Stworzenia nie osiągają dojrzałości po to, aby następnie zdegenerować się i umrzeć. Po osiągnięciu dojrzałości pozostają w pełnym, rzecz można, rozkwicie, tak długo, jak długo

Merkury zechce im śpiewać.

Stworzenia nie znają sposobu na wzajemne zadawanie sobie bólu, nie mają też motywów do zadawania sobie bólu.

Głód, zawiść, ambicja, strach, uraza, religia i pociąg seksualny są im nie znane i zbędne.

Stworzenia te kierują się jednym tylko zmysłem: zmysłem dotyku.

Dysponują słabą zdolnością telepatyczną. Wiadomości, które potrafią nadawać i odbierać, są niemal równie monotonne, jak pieśń Merkurego. Istnieją dwie potencjalne wiadomości. Pierwsza stanowi automatyczną odpowiedź na drugą, druga zaś stanowi automatyczną odpowiedź na pierwszą.

Pierwsza brzmi: „Jestem tutaj, jestem tutaj, jestem tutaj”.

Druga brzmi: „Dobrze, że jesteś, dobrze, że jesteś, dobrze, że jesteś”.

Stworzenia mają jeszcze jedną cechę, dla której nie znaleziono jak dotąd pragmatycznego wyjaśnienia: mają otóż skłonność do układania się w zaskakujące wzory na tle fosforyzujących ścian.

Aczkolwiek ślepe i obojętne na cudze spojrzenia, grupują się one często w geometryczne, oszałamiające kombinacje cytrynowo-akwamarynowych rombów. Kolor cytrynowy pochodzi z odsłoniętych kawałków ściany. Barwę akwamaryny uzyskuje światło ścian po przefiltrowaniu przez ciała stworzeń.

Z racji swojej miłości do muzyki i skłonności do udzielania się w służbie sztuki, stworzenia otrzymały od Ziemi śliczną nazwę.

Nazywają się harmonie.

Wujo i Boaz schodzili do lądowania po mrocznej stronie Merkurego, w odległości siedemdziesięciu dziewięciu ziemskich dni od Marsa. Nie wiedzieli, że planetą, na której lądują, jest Merkury.

Stwierdzili, że Słońce jest przeraźliwie wielkie. Nie zachwiało to jednak ich przekonania, że lądują na Ziemi.

Podczas ostrego hamowania utracili świadomość. Teraz ją odzyskiwali – raczeni okrutną i piękną iluzją.

Wujowi i Boazowi zdawało się, że ich statek osiada powoli wśród drapaczy chmur, ponad którymi igrają snopy światła reflektorów.

– Nikt nie strzela – zauważył Boaz. – Albo już po wojnie, albo się jeszcze nie zaczęło.

Wesołe snopy światła, które obserwowali, nie pochodziły z reflektorów. Ich źródłem były wysokie kryształy na granicy oddzielającej jasną półkulę Merkurego od półkuli mrocznej.

Kryształy przechwytywały promienie słońca, łamały je pryzmatycznie i wysyłały na mroczną stronę planety. Kryształy po stronie mrocznej łapały promienie i podawały dalej.

Nietrudno było uwierzyć, że to reflektory bawią się światłem ponad dachami wyrafinowanej cywilizacji. Nietrudno było wziąć gęstą dżunglę białoniebieskich kryształów za majestatyczne, piękne drapacze chmur.

Stojący przy luku Wujo zapłakał bezgłośnie. Opłakiwał miłość, rodzinę, przyjaźń, prawdę, cywilizację. Opłakiwał abstrakcje, gdyż jego pamięć kryła w zanadrzu kilka zaledwie twarzy i rekwizytów, z których wyobraźnia mogłaby sklecić misterium. Imiona klekotały mu w głowie jak suche kości. Stony Stevenson – przyjaciel... Be – żona... Chrono – syn... Wujo – ojciec...

Ni stąd, ni zowąd natknął się na imię Malachi Constant – i zupełnie nie wiedział, co z nim począć.

Wujo popadł w tępe uwielbienie, tępy szacunek dla wspaniałych ludzi i wspaniałych żywotów, których dziełem były majestatyczne budowle omiatane teraz snopami światła reflektorów. Oto miejsce, w którym rodziny bez oblicza, przyjaciele bez oblicza i nadzieje bez imienia mogły rozkwitać jak...

Metafora dotycząca rozkwitania uleciała Wujowi z pamięci.

Wyobraził sobie nadzwyczajną fontannę – stożek utworzony z ustawionych schodkowa mis o rosnących średnicach. Do niczego. Fontanna była sucha jak pieprz, upstrzona ruinami ptasich gniazd. Wujo poczuł klucie w opuszkach palców, jakby je sobie pościerał wdrapując się po wyschniętych misach fontanny.

Obraz był do niczego.

Następnie Wujó wyobraził sobie trzy piękne dziewczyny, które kusily go do zejścia w naoliwioną czeluść lufy mauzera.

– Chłópie – zdziwił się Boaz. – Wszyscy śpią. Ale nie pośpią sobie długo! – Boaz zajodłował i oczy mu rozblyśły. – Jak Boaz i Wujó ruszą w tango – powiedział – każdy jeden zerwie się na równe nogi i oka nie zmruży, najmniej przez parę tygodni!

Pilot-nawigator wprawnie manewrował statkiem. Aparatura gadała nerwowo sama do siebie, kołując, wirując, popstrykując i bucząc. Lokalizowała i omijała przeszkody z obu stron, w poszukiwaniu idealnego lądowiska na dole.

Projektanci pilota-nawigatora celowo zaszczepili aparaturze jedną obsesję – obsesją tą było znalezienie schronienia dla bezcennych rzekomo oddziałów i sprzętu, które statek niósł na pokładzie. Pilot-nawigator miał za zadanie osadzić oddziały i sprzęt w najgłębszej dziurze w okolicy. Zakładano, że lądowanie będzie miało miejsce pod ogniem nieprzyjaciela.

W dwadzieścia ziemskich minut później – pilot-nawigator dalej gadał do siebie. Miał sobie więcej do powiedzenia niż kiedykolwiek przedtem.

A statek wciąż opadał i opadał, z dużą prędkością.

Rzekome reflektory i wieżowce znikły z pola widzenia. Pozostała atramentowa czerń.

Wnętrze statku zaległa cisza o niewiele jaśniejszym odcieniu. Wujó i Boaz wyczuli, co się z nimi dzieje, i nie znajdowali na to słów.

Słusznie wyczuli, że są oto grzebani żywcem.

Statek podskoczył zniecka, ciskając Boazem i Wujem o podłogę.

Gwałtowność maszyny przyniosła Wujowi i Boazowi gwałtowną ulgę.

– Nareszcie w domu! – zawołał Boaz. – Witajcie w domu!

W tej samej chwili powróciło ohydne uczucie podróowania na lecącym z drzewa liściu.

W dwadzieścia ziemskich minut później statek nadal łagodnie opadał w dół.

Podskoki stały się częstsze.

Aby uchronić się przed skutkami wstrząsów, Boaz i Wujó powędrowali do łózek. Położyli się twarzami w dół, zaciskając dłonie na metalowych prętach stelaży koi.

Aby unieszczęśliwić ich do reszty, pilot-nawigator znów zarządził noc.

Nad kopułą statku przeszedł zgrzyt, który zmusił Wuję i Boazę do podniesienia głów z poduszek i spojrzenia na luki. Na zewnątrz panowało bladożółte światło.

Wujó i Boaz wrzasnęli z radości i rzucili się do luków. Ledwie ich dopadli, ponownie rzuciło nimi o ziemię, gdyż statek wyzwolił się właśnie z pułapki i podjął opadanie.

W jedną ziemską minutę później opadanie ustało.

Pilot-nawigator pstryknął skromnie. Dostarczywszy bezpiecznie ładunek z Marsa na Merkurego, pilot-nawigator wyłączył się zgodnie z instrukcją.

Dostarczył swój ładunek na dno jaskini, sto sześćdziesiąt mil pod powierzchnią Merkurego.

Mozolnie przedzierał się w dół przez uciążliwy system kominów, póki nie dało się już opaść głębiej.

Boaz pierwszy dopadł luku, pierwszy wyrzał na zewnątrz i pierwszy zobaczył radosne, romboidalne, żółto-akwamarynowe powitanie, jakie harmonie zgotowały na ścianie jemu i Wujowi.

– Wujó! – zawołał Boaz. – Jak Boga kocham, spuścił nas w sam środek nocnego klubu w Hollywood!

W tym miejscu pożyteczna będzie rekapitulacja zasad techniki oddechowej Schliemanna – pożądana dla pełnego zrozumienia tego, co później nastąpiło. W kabinie ciśnieniowej Wujó i Boaz otrzymywali tlen z pigułek, które rozpuszczały im się w jelitach cienkich. Z chwilą przeniesienia się w atmosferę nie pozbawioną ciśnienia, mogli jednak poniechać zatykania otworów usznych i nosowych i trzymania gęb na kłódkę. Pełne zakorkowanie konieczne było jedynie w próżni lub w atmosferze trującej.

Boaz działał pod wrażeniem, że na zewnątrz statku panuje pożywna atmosfera jego ojczystej Ziemi.

W rzeczywistości na zewnątrz nie było nic poza próżnią.

Boaz zatrzasnął wewnętrzne drzwi, lecz dopiero po tym, jak obaj z Wujem nabawili się krwotoków w trakcie wznoszenia okrzyków radości.



Padli, krwawiąc obficie z układów oddechowych.

Jedynym, co uratowało ich od śmierci, był automatyczny system zabezpieczający, który na eksplozję natychmiast odpowiedział kontrexplozją, przywracając ciśnienie w kabinie do normy.

- O matko! - powiedział Boaz po przyjściu do siebie. - O matko jedyna, ja chromolę - to w ogóle nie jest Ziemia.

Wujo i Boaz nie wpadli w panikę.

Posiłkiem, odpoczynkiem, napojem i pigułkami przywrócili sobie siły.

Następnie zaś zakorkowali otwory uszne i nosowe, zamknęli gęby na kłódkę i ruszyli na zwiedzanie okolic statku. Stwierdzili, że ich grobowiec jest głęboki, zawity, nieskończony, bezpowietrzny, nie zamieszkały przez nic, co choćby w odległym stopniu przypominało człowieka.

Zauważyli obecność harmonii, lecz nie podniosła ich ona na duchu. Stworzenia wydały im się przerażające.

Wujo i Boaz nie przyjęli tak naprawdę do wiadomości, że znajdują się w miejscu zgodnym z powyższym opisem. Nieprzyjęcie tego do wiadomości uratowało ich przed paniką.

Powrócili na statek.

- O.K. - powiedział spokojnie Boaz. - Zdarzył się jakiś błąd. Utknęliśmy za głęboko w ziemi. Musimy teraz polecieć z powrotem do góry, tam, gdzie stoją domy. Powiem ci szczerze, Wuj: wcale mi się nie wydaje, żeby to, w czym żeśmy się zagrzebali, to była Ziemia. Zdarzył się, jak mówię, jakiś błąd i trzeba będzie popytać ludzi z tamtych domów, gdzie jesteśmy.

- O.K. - powiedział Wuj. Obliznął wargi.

- Naciśnij tylko ten guzik „start” - powiedział Boaz - a polecimy jak ptaszek.

- O.K. - powiedział Wuj.

- Wiesz, Wuj - powiedział Boaz - ci tam na górze, w tych domach, mogą w ogóle nie wiedzieć o tym tutaj pod ziemią. Może odkryliśmy coś, co ich rzuci na kolana.

- Jasne - zgodził się Wuj. Jego dusza czuła ciśnienie piętrzących się nad nią dziesiątek mil bieżących skały. Jego dusza przeczuła prawdziwą istotę potrzasku. We wszystkie strony, a także w górę, biegły korytarze, które się rozwidlały, rozwidlały i rozwidlały. A każde rozwidlenie rozwidlało się w kanaliki, a każdy kanalik - w przesmyki nie szersze niż por ludzkiej skóry. Dusza Wuja słusznie czuła, że najwyżej jedna na dziesięć tysięcy odnóg wiedzie prosto na powierzchnię.

Dzięki błyskotliwie pomyślanemu czujnikowi na spodzie, statek Wuja i Boaza z łatwością wyczuł drogę w głąb jednego z bardzo nielicznych kanałów wiodących do środka - w głąb jednego z bardzo nielicznych kanałów wiodących na zewnątrz.

Dusza Wuja nie podejrzewała jeszcze jednego: bezdennej głupoty pilota-nawigatora, gdy przyszło do podróżowania w górę. Projektantom w ogóle nie postało w głowie, że statek lecący w górę może stanąć, w obliczu jakichkolwiek problemów. Wszystkie marsjańskie statki kosmiczne miały, bądź co bądź, za zadanie wystartować z pozbawionego przeszkód pola na Marsie i po wylądowaniu pozostać na Ziemi. W rezultacie statek nie posiadał praktycznie żadnych czujników do wykrywania przeszkód w górze.

- Czołem, stara dziuro - powiedział Boaz.

Wujo od niechcenia nacisnął guzik „start”,

Pilot-nawigator mruknął z cicha,

W ciągu dziesięciu ziemskich sekund pilot-nawigator był całkowicie rozgrzany.

Statek z lekkością piórka uniósł się nad podłoże jaskini, musnął ścianę, ze zgrzytliwym, rozdzierającym piskiem zaczął szorować o ścianę burtą, huknął kopułą w sterzący u góry występ, cofnął się, znów huknął kopułą, cofnął się, ściał występ, poszedł lekko w górę. Za chwilę ponownie rozległ się zgrzytliwy pisk - tym razem ze wszystkich stron jednocześnie.

Ruch do góry ustał całkowicie.

Statek wklinował się w litą skałę.

Pilot-nawigator stęknął.

Przez podłogę kabiny posłał swojej załodze smużkę musztardowego dymu.

Pilot-nawigator przestał stękać.

Przegrzał się, przegrzanie zaś było dla pilota-nawigatora sygnałem do wycofania statku

z beznadziejnego bigosu, w jaki sam go wpakował. Pilot-nawigator zgrzytając zabrał się do wykonywania zadania. Jęknęły stalowe wsporniki. Nity szczęknęły jak karabiny w akcji.

W końcu statek został uwolniony.

Pilot-nawigator wiedział, że wyżej dupy nie podskoczy.

Skierował pojazd na powrót ku podłożu jaskini, gdzie osadził go z donośnym cmoknięciem.

Pilot-nawigator wyłączył się.

Wujo ponownie wcisnął guzik „start”.

Statek ponownie wtarabanił się w ślepy korytarz, ponownie się wycofał, ponownie osiadł na dole i zgasił silniki.

Po dwunastokrotnym powtórzeniu tego cyklu czynności jasne było, że statek może jedynie rozwalić się w drobny mak. Powłoka była już i tak mocno naruszona.

Kiedy statek po raz dwunasty osiadł na podłodze jaskini, Wujo i Boaz rozkleili się kompletnie. Zaczęli płakać.

- Już po nas, Wuju, już po nas - szlochał Boaz.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek żył - powiedział Wujo załamującym się głosem. -

Myślałem, że w końcu chociaż trochę użyję życia.

Wujo zbliżył się do luku i oczami pełnymi łez wyrżał na zewnątrz.

Zobaczył, że najbliższe statku stworzenia utworzyły na akwamarynowym tle doskonale kształtną, jasnożółtą literę E.

Utworzenie litery E mieściło się w granicach prawdopodobieństwa ułożenia czegokolwiek przez bezmózgie stworzenia, grupujące się w sposób niekontrolowany. Po chwili jednak Wujo stwierdził, że przed E znajduje się doskonale zarysowane J. Przed J zaś - doskonale zarysowane C.

Wujo przekrzywił głowę i z ukosa wyrżał przez luk. Pozycja ta zapewniła mu pole widzenia długości stu jardów, obejmujące całą zachwaszczoną harmoniami ścianę.

Wujo skonstatował w osłupieniu, że harmonie układają na ścianie wiadomość z olśniewających liter.

Wiadomość ta - akwamarynowa na cytrynowym tle -brzmiała:

TO JEST TEST NA INTELIGENCJĘ!

## Rozdział 9

### Zagadka rozwiązana

Na początku Bóg stał się Niebem i Ziemią... I rzekł Bóg: „Niech się stanę światłem”. I stał się światłem.

### AUTORYZOWANA POPRAWIONA BIBLIA Winstona Nilesa Rumfoorda

Doskonałą przekąską na podwieczorek będą młode harmonie zwinięte w tutki i nadziewane serkiem wenusjańskim.

### KUCHNIA GALAKTYCZNA Beatrycze Rumfoord

W sensie duchowym męczennicy z Marsa umarli nie w chwili zaatakowania Ziemi, lecz wówczas, gdy zostali wcieleni w tryby marsjańskiej maszyny wojennej.

### KIESZONKOWA HISTORIA MARSZA Winstona Nilesa Rumfoorda

Znalazłem sobie miejsce, gdzie mogę robić dobrze nie wyrządzając nikomu krzywdy.

### (-) B o a z, w WUJU I BOAZIE W JASKINIACH MERKUREGO Sary Horne Canby

Najpopularniejszą książką jest od pewnego czasu Autoryzowana poprawiona Biblia Winstona Nilesa Rumfoorda. Drugie miejsce pod względem poczytności zajmuje uroczy żart literacki pt. Kuchnia galaktyczna Beatrycze Rumfoord. Na trzecim plasuje się Kieszonkowa

historia Marsa Winstona Nilesa Rumfoorda. Na czwartym zaś – powieść dla dzieci. Wujó i Boaz w jaskiniach Merkurego pióra Sary Horne Canby.

Pocziwy wydawca wyjaśnia sukces książki pani Canby na skrzydełku obwoluty: „Które dziecko nie marzy o tym, by rozbić się gdzieś na statku kosmicznym wyposażonym w zapas hamburgerów, hot dogów, ketchupu, sprzętu sportowego i oranżady w proszku?”

Dr Frank Minot z kolei, w książce pt. *Czy doróśli to harmonie?*, definiuje perwersyjny aspekt miłości, jaką dzieci darzą książkę pani Canby: „Zastanówmy się – pisze Minot – jak bliskie są doświadczenia Wujó i Boaza codziennym doświadczeniom dziecka. Wujó i Boaz z całą powagą i szacunkiem odnoszą się do stworzeń, będących w gruncie rzeczy istotami nieprzyzwoicie wręcz pozbawionymi motywacji, wrażliwości i intelektu”. Kreśląc paralełę między ludzkimi rodzicami a harmoniami, Minot powołuje się na postępowanie Wujó i Boaza wobec harmonii. Przez trzy lata, co czternaście ziemskich dni, harmonie przekazywały Wujowi i Boazowi nowy komunikat, zawsze pełen wiary lub zawołanej drwiny.

Autorem komunikatów był naturalnie Winston Niles Rumfoord, który materializował się na Merkurym w cyklu czternastodniowym. Odlepił on harmonie tu, a przylepił je ówdzie, formując na ścianach litery.

W opowieści pani Canby pierwsza wzmianka o tym, że Rumfoord od czasu do czasu kręcił się po jaskiniach, pada pod sam koniec książki, gdy Wujó odkrywa w pyle ślady wielkich psich łap.

W tym miejscu – jeśli to dorosły czyta książkę na głos dziecku – dorosły musi obowiązkowo zapytać fantastycznie groźnym głosem:

– No i jak myślisz, co to był za piesek?

Był to piesek Kazak. Był to straszliwy, ogromny, bezlitosny, infundytułowany chronosynklastycznie piesek Winstona Nilesa Rumfoorda.

Kiedy Wujó odkrył w pyle korytarza jaskini ślady łap Kazaka, Wujó i Boaz przebywali na Merkurym już od trzech ziemskich lat. Przez ten czas Merkury dwanaście i pół raza obwiał Wujó i Boaza dookoła Słońca.

Wujó znalazł ślady w korytarzu biegnącym sześć mil ponad komorą, w której spoczywał powgniatany, poharatany, uwięziony w skale statek kosmiczny. Wujó nie mieszkał już na statku, tak samo zresztą jak Boaz. Statek służył im teraz za wspólną bazę zaopatrzeniową, do której mniej więcej raz na ziemski miesiąc zgłaszali się po zapasy żywności.

Wujó i Boaz rzadko się spotykali. Obracali się w zupełnie różnych kręgach.

Kręgi, w których obracał się Boaz, były dość ograniczone. Boaz zamieszkiwał stałą i bogato urządzoną posesję. Znajdowała się ona na tym samym poziomie, co statek, tyle że o ćwierć mili dalej.

Kręgi, w których obracał się Wujó, były ogromne i różnorakie. Wujó nie założył domu.

Wędrował niestrudzenie coraz dalej, pnąc się ku powierzchni, póki nie powstrzymał go chłód.

Tam, gdzie chłód zatrzymywał Wujó, tam zatrzymywał i harmonie. W górnych regionach, po których błędził Wujó, harmonie były zziębnięte i nieliczne.

W przytulnej głębinie, gdzie mieszkał Boaz, harmonie rosły szybko i obficie.

Boaz i Wujó rozstali się po ziemskim roku spędzonym wspólnie na pokładzie statku. Ten pierwszy wspólny rok przekonał ich dobitnie, że nie wydostaną się na zewnątrz, póki coś lub ktoś nie pojawi się, aby ich wyprowadzić.

Było to dla nich jasne, aczkolwiek stworzenia na ścianach uparcie przekazywały im komunikaty podkreślające prostotę testu, któremu zostali poddani, a także łatwość, z jaką mogliby się wydostać, gdyby tylko trochę pomyśleli, gdyby tylko pomyśleli z większą fantazją.

– POMYŚLCIE! – namawiały stworzenia.

Wujó i Boaz rozstali się po okresie przejściowego szaleństwa Wujó. Wujó usiłował zabić Boaza. Boaz wszedł na statek niosąc harmonię, która niczym się nie różniła od wszystkich innych harmonii, i powiedział:

– Przypatrz się, Wujó, jaki śmieszny karakan.

Wujó rzucił się Boazowi do gardła.

W chwili znalezienia śladów psich łap Wujó był nagi. W ciągłym kontakcie ze skałą mszystozielony uniform i czarne fibrowe buty Marsjańskiej Szturmowej Dywizji Piechoty zdarły

się do cna.

Wujo nie przejął się psimi śladami. Duszy Wuja nie wypełniło po brzegi poczucie wspólnoty ani światelko nadziei, gdy Wujo dostrzegł ślady łap istoty z krwi i kości, ślady łap najlepszego przyjaciela człowieka. Niewiele też miał sobie do powiedzenia, kiedy do śladów psich łap dołączyły ślady dobrze obutego mężczyzny.

Wujo pozostawał w stanie wojny z otaczającym go środowiskiem. Doszło do tego, że uważał je albo za siedlisko złej woli, albo za produkt chorobliwie złej organizacji. W odpowiedzi, walczył z nim jedyną bronią, jaką miał pod ręką – biernym oporem i manifestacyjną pogardą. Ślady stóp wziął Wujo za wstępne posunięcia w kolejnej kretyńskiej grze, do której usiłowało go wciągnąć środowisko. Postanowił, że owszem, podąży za śladami, ale ospale, bez entuzjazmu. Podąży za nimi tylko dlatego, że nic innego nie ma akurat w planie.

Podąży za nimi.

Zobaczy, dokąd prowadzą.

Szedł potykając się i zataczając. Biedny Wujo, solidnie stracił na wadze, nie mówiąc już o czuprynie. Starzał się bardzo szybko. Oczy go paliły, a szkielet zachowywał się jak wiązka kości luzem.

Wujo nie golił się na Merkurym. Ilekroć rozkrzewione włosy i broda zaczynały mu zawadzać, obcinał kępy włosów nożem rzeźnickim.

Boaz golił się codziennie. Dwa razy na ziemski tydzień Boaz strzygł się przy pomocy zestawu fryzjerskiego z wyposażenia statku.

Boaz, o dwanaście lat młodszy od Wuja, nigdy w życiu nie czuł się lepiej. W jaskiniach Merkurego nabrał ciała – a także równowagi wewnętrznej.

Nisza, którą zamieszkiwał Boaz, wyposażona była w pryczę, stół, dwa krzesła, gruszkę treningową, lustro, hantle, magnetofon i taśmotekę z nagraniami tysiąca stu kompozycji.

Nisza, którą zamieszkiwał Boaz, miała drzwi – obły gład, którym Boaz zamykał jej wylot. Drzwi stały się konieczne, gdyż harmonie uznały Boaza za Pana Boga Wszechmogącego.

Lokalizowały go na podstawie bicia serca.

Gdyby zasnął przy otwartych drzwiach, zbudziłby się przyszpilony do ziemi przez setki tysięcy swoich wielbicielek. Puściłyby go dopiero wówczas, gdy serce Boaza przestałoby bić.

Boaz – tak samo jak Wujo – chodził nago. Nadal miał jednak buty. Jego oryginalne skórzane buty fantastycznie zniosły próbę czasu. To prawda, na jedną milę przebytą przez Boaza, Wujo przemierzał pięćdziesiąt, ale buty Boaza nie tylko przetrwały – buty Boaza wyglądały jak nowe.

Boaz regularnie odkurzał je, pastował i pucował do połysku.

Właśnie pucował je do połysku.

Drzwi niszy zablokowane były gładem. Tylko cztery ulubione harmonie towarzyszyły

Boazowi w mieszkaniu. Dwie owinęły mu się wokół bicepsów. Jedna przylgnęła do uda.

Czwarta, niedojrzały osobnik długości trzech zaledwie cali, przywierała od strony spodniej do nadgarstka Boaza – pasła się na jego pulsie.

Ilekroć Boaz trafił na harmonię, która podobała mu się bardziej niż inne, pozwalał jej właśnie na to – na to, by popasła się na jego pulsie.

„Lubisz to? – przemawiał w myślach do zaszczyconej harmonii. – Przyjemne, co?”

Boaz nigdy jeszcze nie czuł się tak silny fizycznie, nigdy jeszcze nie czuł się tak silny intelektualnie, nigdy jeszcze nie czuł się tak silny duchowo. Był zadowolony, że rozstał się z Wujem, ponieważ Wujo zawsze tak wszystko wykręcił, że w końcu każdy, kto czuł się szczęśliwy, wychodził na głupka albo idiotę.

„Od czego człowiek się taki robi? – spytał Boaz w myślach młodą harmonię. – Co on z tego ma, w porównaniu z tym wszystkim, co odrzuca? Nic dziwnego, że wygląda jak chory”.

Boaz pokręcił głową.

„Próbowałem go zainteresować wami, karakany, to się wściekł jeszcze gorzej. Po co się tak wściekać?”

Ja tam nie wiem, co jest grane – ciągnął w myślach Boaz – i pewnie nawet, jakby mi ktoś wytłumaczył, i tak byłbym za głupi, żeby zrozumieć. Wiem jedno: ktoś poddał nas testowi, ktoś albo coś, o wiele mądrzejszy od nas. I jedyne, co mogę zrobić, to zachowywać się przyjaźnie, nie denerwować się i przyjemnie zabijać czas, póki nie będzie po wszystkim”.

Boaz kiwnięciem głowy sam przyznał sobie rację.

- Taka jest moja filozofia, przyjaciele - przemówił do przyssanych do siebie harmonii. -

I wasza też, jeśli się nie mylę. Pewnie dlatego takeśmy się od początku spiknęli.

Czubek skórzanego buta, który Boaz pucował do połysku, lśnił jak rubin.

- Chłopaki, hej tam, chłopaki, chłopaki, chłopaki - przemówił do siebie Boaz, wpatrując się w rubin. Kiedy pucował buty, wyobrażał sobie, że w rubinach ich nosków może zobaczyć mnóstwo rzeczy.

Akurat w tej chwili Boaz patrzył w rubin i widział, jak Wujko dusi Stony'ego Stevensona przy kamiennym palu na żelaznym placu defilad, hen, hen, na Marsie. Ów straszliwy obraz nie nasunął mu się przypadkowo. Stanowił on oś stosunków łączących Boaza z Wujem.

„Ty mnie nie prawduj - powiedział Boaz w myślach - to i ja ciebie nie będę prawdował”.

Takie życzenie wyraził kilkakrotnie wobec Wuja.

Boaz sam wymyślił to życzenie, a miało ono oznaczać: Wujko ma przestać otwierać Boazowi oczy na prawdę o harmoniach, ponieważ Boaz kocha harmonie i ponieważ Boaz jest tak uprzejmy i nie otwiera Wujowi oczu na prawdy, które by Wujka unieszczęśliwiły.

Wujko nie wiedział, że zadusił na śmierć swojego przyjaciela Stony'ego Stevensona. Wujko sądził, że Stony nadal żyje sobie w najlepsze gdzieś we Wszechświecie. Wujko karmił się nadzieją ponownego spotkania ze Stonym.

Boaz był uprzejmy nie ujawniać Wujowi prawdy, niezależnie od rozmiarów pokusy do walnięcia nią Wujka między oczy.

Straszliwy obraz w rubinie rozpląnął się w nicość.

„Tak, Panie” - rzekł w myślach Boaz.

Dorosła harmonia na lewym bicepsie Boaza poruszyła się niespokojnie.

„Prosisz Boaza o koncert? - zapytał ją Boaz w myślach. - O to ci chodzi? Chcesz powiedzieć tak: »Boazuniu, nie pomyśl sobie, że jestem niewdzięczna, przecież wiem, jaki to wielki zaszczyt dostać się tutaj, tak blisko twojego serca. Tylko że cały czas myślę o moich przyjaciółkach po tamtej stronie drzwi i cały czas żałuję, że i im nie trafił się jakiś smaczny kęs»». O to ci chodzi?”

-Boaz w myślach ponowił pytanie. - Próbujesz pewnie powiedzieć: »Proszę cię, Tatu Boazie, daj koncert dla wszystkich moich biednych przyjaciół po tamtej stronie«? O to ci chodzi?”

Boaz uśmiechnął się.

- Nie musisz mi się podlizywać - rzekł do harmonii.

Mała harmonia na nadgarstku złożyła się w pół i rozwinęła.

„A ty, co masz do powiedzenia? - spytał ją w myślach Boaz. - Próbujesz powiedzieć:

»Wujciu Boazie, twój puls jest zbyt pożywny dla takiego szkraba jak ja. Wujciu Boazie, puść prozę jakąś miłą, słodką, nietrudną muzyczkę do jedzenia«? O to ci chodzi?”

Boaz skupił teraz uwagę na harmonii przywierającej mu do prawego ramienia. Stworzenie pozostawało w bezruchu.

„Milczek z ciebie, co? - zagadnął je w myślach Boaz. - Gada mało, za to myśli cały czas.

Myślisz pewnie, że Boaz jest paskudny, bo nie pozwala muzycze grać bez przerwy, co?”

.Harmonia na lewym bicepsie znów się poruszyła.

„Co mówisz? - zapytał w myślach Boaz. Przekrzywiwszy głowę udał, że nasłuchuje, chociaż żaden dźwięk nie zdołałby roznieść się w próżni, którą zamieszkiwał.

Mówisz: »Królu Boazie, zagraj nam proszę Uwerturę 1812«? - Boaz uczynił minę

zdzumioną, a zaraz potem bardzo srogą. - Nie wszystko, co najsmaczniejsze, bywa najzdrowsze” - upomniał stworzonko w myślach.

Naukowcy badający zagadnienie Wojny Marsjańskiej częstokroć załamują ręce nad niekonsekwencją przygotowań wojennych Rumfoorda. Na niektórych odcinkach plany Rumfoorda mocno szwankują. Dla przykładu - buty, w które wyposażył swe regularne oddziały, były wręcz satyrą na nietrwałość papierowego społeczeństwa Marsa - satyrą na społeczeństwo istniejące tylko po to, by ulec samozniszczeniu w dziele jednoczenia narodów Ziemi.

Dla odmiany biblioteki muzyczne skompletowane osobiście przez Rumfoorda dla kompanijnych statków-matek, stanowią ekstrakt wielkiej schedy kulturowej - schedy przygotowanej jakby z myślą o monumentalnej cywilizacji, mającej przetrwać tysiąc ziemskich lat. Twierdzi się, że Rumfoord poświęcił więcej czasu bezużytecznym bibliotekom muzycznym

niż zbrojeniom i szpitalnictwu polowemu razem wziętym.

Zdaniem anonimowego aforysty – „Armia Marsa przybyła z zapasem muzyki na trzysta godzin ciągłego słuchania, a nie zdążyła wysłuchać do końca nawet „Minutowego walca»„. Obląkańczy nacisk na muzykę, którą uniosły na swych pokładach kampanijne statki-matki, ma bardzo proste wyjaśnienie: Rumfoord miał hopla na punkcie dobrej muzyki, hopla, który ogarnął go – tak się składa – dopiero po tym, jak został rozciągnięty w czasie i przestrzeni przez infundybule chronosynklastyczną.

Harmonie w jaskiniach Merkurego też miały hopla na punkcie dobrej muzyki. Przez całe stulecia pały się na jednej synkopowanej nucie pieśni Merkurego. Kiedy Boaz po raz pierwszy zaserwował im muzykę – a było to przypadkowo „Święto wiosny” – niektóre stworzonka aż poumierały w ekstazie.

Martwa harmonia marszczy się i pomarańczowieje w żółtym świetle merkuriańskich jaskiń.

Martwa harmonia wygląda jak suszona morela.

Za pierwszym razem, który w zamyśle Boaza wcale nie miał być koncertem dla harmonii, magnetofon stał na podłodze statku. Stworzonka, które aż poumierały w ekstazie, pozostawały w bezpośrednim kontakcie z kadłubem statku.

Teraz, w dwa i pół roku później, Boaz potrafił już tak zorganizować koncert dla harmonii, aby ich nie pozabijać.

Boaz opuścił swoją niszę z magnetofonem i wybranymi taśmami pod pachą. W korytarzu na zewnątrz stały dwie aluminiowe deski do prasowania. Nóżki ich zaopatrzone były w filcowe podkładki. Deski stały w odległości sześciu stóp jedna od drugiej, między nimi zaś rozciągały się nosze, wykonane z aluminiowych prętów i mszystozielonego płótna.

Boaz umieścił magnetofon pośrodku noszy. Zadaniem całej maszyny było maksymalnie rozcieńczyć dobywające się z magnetofonu wibracje. Zanim wibracje dotarły do kamiennej podłogi, musiały przedrzeć się przez martwe płótno noszy, wzdłuż ich stelaża, poprzez deski do prasowania, na koniec zaś przez filcowe osłonki nóżek, na których wspierały się deski.

Rozcieńczanie było miarą bezpieczeństwa. Gwarantowało, że żadna z harmonii nie otrzyma śmiertelnej dawki muzyki.

Boaz umieścił taśmę w magnetofonie i włączył urządzenie. Przez cały czas trwania koncertu stał na straży przy magnetofonie. Jego zadaniem było pilnować, by żadne ze stworzeń nie podczołgało się za blisko. Jeśli któreś stworzenie podczołgało się za blisko, Boaz miał za zadanie odlepić je od ściany czy podłogi, zbesztać i przylepić z powrotem w odległości stu jardów lub jeszcze dalej.

„Jak nie nabierzesz rozumu – karciał Boaz w myślach niefrasobliwą harmonię – będziesz za każdym razem lądować tam, w lewym rogu. Przemyśl to sobie”.

Nawet stworzenie umieszczone o sto jardów od magnetofonu otrzymywało mnóstwo muzyki do zjedzenia.

Ściany jaskiń miały tak niezwykłą zdolność przewodzenia, że nawet harmoniom przywartym do ścian o całe mile dalej dostawały się za ich pośrednictwem okruchy Boazowego koncertu. Wujo, który tropiąc ślady coraz głębiej zapuszczał się w jaskinie, stwierdził na podstawie zachowania harmonii, że Boaz daje koncert. Dotarł do strefy cieplej, gdzie roilo się od harmonii. Załamywał się tu regularny wzór żółtych i akwamarynowych rombów – mozaika ulegała wynaturzeniom w postaci nieforemnych grud, wiązek i zygzaków. Wszystko to było dziełem muzyki.

Wujo złożył tobolek na ziemi, a następnie sam położył się dla odpoczynku.

Wujo śnił o kolorach innych niż żółć i akwamaryna.

Potem przyśniło mu się, że jego najlepszy przyjaciel, Stony Stevenson, oczekuje go za najbliższym zakrętem. Umysł Wuja ożywił się pod wpływem słów, które obaj ze Stonym wypowiedzą podczas spotkania. Umysł Wuja nadal nie dysponował obrazem twarzy, która pasowałaby do imienia Stony Stevensona, ale nie miało to większego znaczenia.

– Takich dwóch, jak my! – rzekł do siebie Wujo. Rozumiał przez to, że on i Stony, działając we dwójkę, byliby niepokonani.

– Słowo daję – powiedział sobie z satysfakcją Wujo. – Właśnie takich dwóch chcę za wszelką cenę trzymać oddzielnie. Bo jak Stony i Wujo znów się kiedyś spikną, tamci będą musieli bardzo

uważać. Kiedy Stony spiknie się z Wujem, wszystko się może zdarzyć, i zazwyczaj się zdarza. Wuj zachichotał.

Ci, którzy rzekomo obawiali się ponownego spiknięcia Wuja ze Stonym, zamieszkiwali wielkie, piękne budowle na powierzchni. W ciągu trzech lat wyobraźnia Wuja utkała całe systemy wiedzy na kanwie kilku migawkowych obrazów rzekomych budowli, które były w istocie litymi, martwymi, zimnymi jak lód kryształami. Wyobraźnia Wuja była teraz święcie przekonana, że panowie całego stworzenia zamieszkiwali, właśnie te budowle. Więzili oni Wuja i Boaza, a kto wie, czy nie i Stony'ego. Przeprowadzali w jaskiniach doświadczenia na Wuju i Boazie. Nadawali komunikaty przy użyciu harmonii. Same harmonie nie miały z komunikatami nic wspólnego.

Wszystko to Wuj wiedział na pewno.

Wuj wiedział na pewno jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Wiedział nawet, jak są umeblowane budynki na powierzchni. Meble w ich wnętrzach w ogóle nie miały nóg. Unosiły się po prostu w powietrzu, podtrzymywane siłą magnetyczną.

Zaś mieszkańcy budynków w ogóle nie pracowali i nigdy się o nic nie troszczyli.

Wuj ich nienawidził.

Nienawidził także harmonii. Oderwał jedną od ściany i przedarł na pół. Harmonia natychmiast się pomarszczyła i spomarańczowiła.

Wuj cisnął przepołowionym zewłokiem o pułap. A patrząc za nim, dostrzegł na suficie nowy komunikat. Komunikat rozpraszał się stopniowo pod wpływem muzyki. Ale jeszcze był czytelny.

Komunikat w sześciu słowach instruował Wuja, jak ma uciec z podziemia w sposób pewny, prosty i szybki. Otrzymałszy rozwiązanie zagadki, której przez trzy lata sam nie zdołał rozwikłać, Wuj musiał przyznać, że zagadka była istotnie dziecinnie prosta i pozbawiona kruczków.

Wuj puścił się w dół ciągiem jaskiń, aż wreszcie dotarł w sam środek Boazowego koncertu dla harmonii. Niezwykła wieść sprawiła, że był rozgorączkowany, a oczy wyłaziły mu z orbit.

Nie mógł mówić w próżni, więc zaciągnął Boaza na statek.

Tam, w nienaruszonej atmosferze kabiny, Wuj przekazał Boazowi komunikat, który oznaczał ucieczkę z podziemia.

Teraz z kolei powinno było zatkać Boaza. Boaz zawsze z wielkim przejęciem przyjmował najdrobniejsze nawet sygnały mogące świadczyć o inteligencji harmonii. Teraz jednak, wysłuchawszy nowiny o możliwości rychłego wydostania się z więzienia, Boaz zachował niezrozumiałą powściągliwość.

- To... to by wyjaśniało tamten drugi komunikat - rzekł cicho Boaz.

- Jaki tamten komunikat? - zdziwił się Wuj.

Boaz uniósł ramiona do góry, by dać Wujowi obraz komunikatu, który przed czterema ziemskimi dniami pojawił się na ścianie przed jego domem.

- Pisało tam: „BOAZ, NIE ODCHODŹ!” - powiedział Boaz. Dumnie popatrzył pod nogi. - „KOCHAMY CIĘ, BOAZ”. Tak tam pisało.

Boaz opuścił ręce i odwrócił się, jak gdyby się odwracał od piękna, które nie sposób znieść.

- Jak to zobaczyłem - powiedział - musiałem się uśmiechnąć. Popatrzyłem po tych maluśkich, grzecznych karakanach przyklejonych do ściany i powiedziałem sobie: „No, co wy - gdzie by tam wasz Boaz miał iść? Boaz tu jeszcze posiedzi, i to długo!”

- To pułapka! - powiedział Wuj.

- Co takiego? - zdziwił się Boaz.

- Pułapka! - powtórzył Wuj. - Sztuczka, za pomocą której chcę nas tutaj zatrzymać!

Na stole przed Boazem leżał otwarty komiks pod tytułem Tweety i Sylwester. Boaz nie od razu odpowiedział Wujowi. Najpierw przekartkował szczytaną do cna książkę.

- Spodziewam się - rzekł w końcu.

Wuj przypomniał sobie treść szaleńczej odezwy do Boaza, w której harmonie powoływały się na miłość. Następnie uczynił coś, czego nie robił już od dawna. Roześmiał się. Pomyślał, że trudno o bardziej melodramatyczny finał dla tego całego koszmaru niż fakt, że bezmózgie membrany mówią o miłości.

Boaz pochwycił Wuję gwałtownie i zatelepał jego wyschlým szkieletem.

- Byłbym ci wdzięczny, Wuju - wycedził przez zęby - gdybyś pozwolił mi mieć własne zdanie o tym komunikacie, jak to one mnie kochają. Widzisz - ciągnął - Wuju - ciągnął - dla ciebie to może być głupie. Widzisz - ciągnął - Wuju - ciągnął - te zwierzaki to nie twoja broszka. Nikt ci nie każe ich lubić ani rozumieć, ani wypowiadać się na ich temat. Widzisz - ciągnął Boaz - Wuju - ciągnął Boaz - ta wiadomość nie była dla ciebie. Tam pisało, że kochają mnie. Ty jesteś zwolniony.

Boaz puścił Wuję i z powrotem zajął się komiksem. Wuję zdumiał widok jego szerokich, brązowych, muskularnych pieców. Żyjąc z dala od Boaza, Wuję pochlebiał sobie w myślach, że w sensie fizycznym jest dla Boaza równym partnerem. Teraz przekonał się, jak żałośnie głupio sam siebie zwodził.

Mięśnie pleców Boaza poruszały się płynnie w misternych układach, kontrapunktując szybkie ruchy kartkujących książkę palców.

- Tak się niby znasz na pułapkach i w ogóle - przemówił Boaz. - A skąd wiesz, że jak stąd odlecimy, nie wpakujemy się w jeszcze gorszą pułapkę?

Zanim Wuję zdołał mu odpowiedzieć, Boaz przypomniał sobie, że zostawił bez dozoru włączony magnetofon.

- Nikt ich tam w ogóle nie pilnuje! - krzyknął z rozpaczą. Zostawił Wuję i pobiegł w sukurs harmoniom.

Czekając na powrót Boaza, Wuję planował sposób odwrócenia statku do góry dnem. Tak właśnie brzmiało rozwiązanie zagadki, jak się wydostać na górę. To właśnie zakomunikowały mu na pułapie harmonie:

**WUJU, ODWRÓĆ STATEK DO GÓRY DNEM.**

Teoretycznie, odwrócenie statku do góry dnem było oczywiście zabiegiem ze wszelkich miar słusznym. Na spodzie znajdował się system czujnikowy. Po odwróceniu, statek mógłby się wydostać na powierzchnię z tym samym wdziękiem i sprytem, z jakim wmanewrował się pod ziemię.

Dzięki elektrycznemu podnośnikowi i ledwie wyczuwalnemu ciśnieniu w jaskiniach Merkurego, Wuję zdołał odwrócić statek jeszcze przed powrotem Boaza. Dla rozpoczęcia wycieczki w górę wystarczyło teraz nacisnąć guzik „start”. Stojący na głowie statek rąbnie wówczas w podłogę jaskini, podda się i wycofa, ulegając wrażeniu, że podłoga to strop. Podąży w górę systemem kominów, ulegając wrażeniu, że podąży w dół. I nieuchronnie znajdzie wyjście na powierzchnię, ulegając wrażeniu, że szuka możliwie najgłębszej dziury. Dziura, w której się na koniec znajdzie, będzie bezdennym, bezściennym jarem wiekuistej przestrzeni.

Boaz wszedł do stojącego na głowie statku z naręczem martwych harmonii. Niósł z kilogram atrapek suszonych moreli. Niektóre - co było do przewidzenia - wymknęły mu się z ramion. A zatrzymawszy się, by je pozbiierać, Boaz uronił jeszcze więcej.

Po twarzy lały mu się strugi łez.

- Widzisz? - rzekł Boaz. Był rozpaczliwie wściekły na siebie samego. - Widzisz, Wuju? - powtórzył. - Widzisz, co się dzieje, kiedy człowiek pójdzie sobie, tak ot, i zapomni?

Boaz pokręcił głową.

- To jeszcze nie wszystkie - powiedział. - To jeszcze grubo nie wszystkie.

Znalazł pusty karton po lizakach i złożył w nim ciała martwych harmonii.

Wyprostował się, podparł pod boki. Tak jak przedtem zadziwił Wuję swoją tężyzną fizyczną, tak teraz zadziwił go swą godnością.

Wyprostowany Boaz był mądrym, uczciwym, płaczącym, brązowym Herkulesem.

Wuję czuł się przez kontrast chudy, kostropaty i popieprzony w środku.

- Chcesz zrobić podział, Wuju? - zapytał Boaz.

- Podział? - powtórzył Wuję.

- Piguły, żarcie, oranżada w proszku, cukierki - podpowiedział Boaz,

- Mamy się dzielić? - zdziwił się Wuję. - Święty Boże, przecież tu jest wszystkiego dosyć na pięćset lat.

Nigdy dotąd nie rozmawiali o podziale. Nigdy niczego im nie zabrakło, nie groził nawet



żaden brak.

- Potowa dla ciebie, na drogę, a połowa zostaje tu ze mną - zaproponował Boaz.

- Zostaje z tobą? - niedowierzał Wuj. - Przecież... przecież ty lecisz ze mną, no nie?

Boaz uniósł swą wielką prawicę w taktownym geście nakazującym milczenie - w geście istoty ludzkiej wielkiej w każdym calu.

- Tylko mnie tu nie prawduj, Wuj - rzekł Boaz. - To i ja ciebie nie będę prawdował.

Pięścią otarł łzy.

Wuj nigdy nie zdołał opędzić się od intrygujących słów Boaza o prawdowaniu. Przeraziła go, jakaś część pamięci ostrzegała Wuja, że Boaz nie blefuje, że Boaz rzeczywiście zna jakąś prawdę o Wuju, która rozerwałaby Wuja na strzępy.

Wuj otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- Przychodzisz do mnie z wielką nowiną - powiedział Boaz. - „Boazie - mówisz - będziemy wolni!” Na to ja zaczynam się cieszyć, rzucam robotę i szykuję się do wyjścia na wolność.

I przez cały czas powtarzam sobie, jak to nareszcie będę wolny - ciągnął Boaz. - Aż

wreszcie próbuję sobie wyobrazić, jak to będzie, i przychodzą mi do głowy tylko ludzie.

Popychają mnie to w te, to wewte, i nic ich nie zadowala, wściekają się tylko coraz bardziej, bo nic a nic ich nie zadowala. I drą się na mnie, że ich nie zadowalam, a potem znowu zaczyna się przepychanka.

I nagle przypominam sobie - ciągnął Boaz - o tych zwariowanych stworzonkach, które tak łatwo uszczęśliwić za pomocą muzyki. I idę do nich, i zbieram tysiące trupów, zabitych dlatego, że Boaz całkiem o nich zapomniał, taki był przejęty swoją wolnością. Każdemu jednemu mogłem uratować życie, gdybym tylko myślał o własnej robocie.

I mówię sobie tak - ciągnął Boaz - nigdy nie przydałem się na nic ludziom ani ludzie mnie się nigdy na nic nie przydali. To na co mi wolność w tłumie ludzi?

I już wiedziałem. Wuj, co ci mam powiedzieć, jak tu do ciebie wrócę - rzekł Boaz.

I powiedział Wujowi to, co miał mu powiedzieć:

- Znalazłem sobie miejsce, gdzie mogę robić dobrze nie wyrządzając nikomu krzywdy,

I widzę, że robię dobrze, i ci, dla których robię dobrze, też wiedzą, że robię dobrze, i kochają mnie, Wuj, najlepiej jak umieją. Znalazłem sobie dom.

A jak tu będę umierał któregoś dnia - ciągnął Boaz - będę mógł powiedzieć sobie: „Boazie, ukazałeś sens życia milionom stworzeń. Jeszcze nikt nie zrobił tyle dobrego. Nie masz wroga w całym Wszechświecie”. - Boaz wszedł teraz w rolę czulej Mamci i Pampia, których nigdy nie miał: - Teraz już śpij - rzekł sam do siebie, wyobrażając sobie, że leży na kamiennym łożu śmierci w jaskini Merkurego. - Grzeczny z ciebie chłopczyk, Boazie - powiedział. - Dobranoc.

## Rozdział 10

### Epoka cudów

O, Panie na Wysokościach, Stwórco Kosmosu, Wirniku Galaktyk, Duszo Fal

Elektromagnetycznych, Wdychaczu i Wydychaczu Niezmierzonych Obszarów Próżni, Plucicielu Ognia i Skały, Ty, Który Igrasz Mileniami - cóż moglibyśmy uczynić dla Ciebie, czego Ty sam nie zrobiłbyś o cały oktylion razy lepiej? Nic. O, Rodzie Ludzki, uciesz się obojętnością Stwórcy swego, albowiem jej to zawdzięczamy wolność, prawdę i godność. Nigdy już głupiec w rodzaju Malachiego Constanta nie powie, wskazując na trywialny zbieg okoliczności: „Ktoś tam na górze mnie lubi”. Nigdy też nie powie wam tyran: „Bóg chce, by stało się to czy owo, a kto nie przyczyni się do realizacji tego czy owego, jest przeciw Bogu”. O, Panie na Wysokościach, jakąż wspaniałą bronią jest Obojętność Twoja, gdyż dobyliśmy jej, tnąc i szlachtując szczerze, aż pułapka owa, która tak często czyniła nas więźniami lub pozbawiała rozumu, legła oto w gruzach!

(-)

wielebny C. Horner Redwine

Było wtorkowe popołudnie. Na północnej półkuli Ziemi trwała wiosna.

Ziemia była zielona i przesycona wilgocią. Dobrze było wdychać woń ziemi, pożywną jak śmietana.

Czystość deszczu, który padał na ziemię, także miała swój smak. Smak czystości był bosko cierpki.

Ziemia była ciepła.

Powierzchnia Ziemi wzdymała się i kipiała w żyznym uniesieniu. Ziemia była najżyźniejsza tam, gdzie najwięcej było śmierci.

Bosko cierpki deszcz padał na zieloną równinę, gdzie było mnóstwo śmierci. Padał na wiejski cmentarzyk w Nowym Świecie. Cmentarz znajdował się w West Barnstable, Cope Cod, Massachusetts, USA. Cmentarz był pełen, przestrzenie między naturalnie zmarłymi utkane były gęsto ciałami czcigodnych ofiar wojny. Marsjanie i Ziemianie spoczywali tu ramię przy ramieniu.

Na całym świecie nie było kraju, na którego cmentarzach Marsjanie i Ziemianie nie spoczywałyby ramię przy ramieniu. Na całym świecie nie było kraju, w którym nie rozegrałaby się jakaś bitwa w wojnie całej Ziemi z marsjańskim najeźdźcą.

Wszystko zostało przebaczone.

Wszystkie żywe istoty były braćmi, a wszystkie zmarłe istoty jeszcze bardziej.

Kościółek, przycupnięty wśród nagrobków jak zmokła kwoka dodo, bywał już w różnych epokach kościołem prezbiteriańskim, kongregacyjnym, unitariańskim i apokaliptycznym. Teraz był to Kościół Boga Doskonale Obojętnego.

Człowiek o wyglądzie dzikusa stanął na kościelnym dziedzińcu, dziwiąc się śmietankowemu powietrzu, zieleni i wilgoci. Był prawie nagi, a jego skołtuniony czarny zarost i włosy znaczyły pasma siwizny. Za jedyne odzienie miał dźwięczącą przepaskę na biodra, sporządzoną z nitów i miedzianych przewodów.

Odzieniem tym przesłaniał swój wstyd.

Deszcz spływał mu po szorstkich policzkach. Człowiek uniósł twarz, aby napić się deszczu.

Dłonie wsparł o nagrobek, bardziej po to, by poczuć jego dotyk, niż by zyskać oparcie.

Przyzwyczajony był do dotyku kamieni – był śmiertelnie przyzwyczajony do dotyku szorstkich, suchych kamieni. Lecz kamień mokry, kamień omszały, kamień przycięty w blok i poryty napisami przez człowieka – taki kamień to było coś, czego nie dotykał od bardzo, bardzo dawna.

Pro patria – głosił kamień, na którym człowiek oparł dłonie.

Człowiekiem był Wujo.

Wujo wrócił do domu z Marsa i Merkurego. Jego statek wylądował samoczynnie

w przyległym do cmentarza lesie. Wuja przepelniała nieukierunkowana, stłumiona agresja człowieka, któremu w okrutny sposób zmarnowano całe życie.

Wujo miał czterdzieści trzy lata.

Miał też wszelkie powody, aby szczeznąć i wyzionąć ducha.

Jedynym, co trzymało go przy życiu, było życzenie – bardziej machinalne niż serdeczne.

Wujo życzył sobie ponownego spotkania ze swoją, kobietą Be, ze swym synem Chrono i ze swym najlepszym i jedynym przyjacielem, Stonym Stevensonem.

Wielebny C. Horner Redwine stał owego deszczowego wtorkowego popołudnia na ambonie swojego kościoła. W kościele nie było poza nim nikogo. Redwine wdrapał się na ambonę po to tylko, by doznać najwyższego upojenia. Najwyższego upojenia doznawał w wyjątkowo upojnych okolicznościach – był bowiem powszechnie uwielbianym głosicielem religii, która nie tylko obiecywała, lecz i czyniła cuda.

Kościół Redwine'a – Pierwszy Kościół Boga Doskonale Obojętnego w Barnstable – nosił wezwanie: Kościół Utrudzonego Tułacza z Kosmosu. Wezwanie usprawiedliwiała następująca przepowiednia: pewnego dnia samotny niedobitek Marsjańskich Sił Zbrojnych pojawi się u wrót kościoła w Barnstable.

Kościół był w każdej chwili gotowy na cud. Przez zżarły wiekiem dębowy słup za amboną

przechodziła ręcznej roboty żelazna dzida. Słup podtrzymywał potężną krokiew ozebrowania dachu. Na haku tkwił wieszak na ubrania, wysadzany półszlachetnymi kamieniami. Na wieszaku zaś, w przezroczystej plastikowej torbie, wisiał kompletny strój męski.

Przepowiednia głosiła, że Utrudzony Tułacz z Kosmosu przybędzie nago, a strój będzie pasował na niego jak ulał. Strój był tak pomyślany, że nie pasował na nikogo poza Tułaczem. Był to kombinezon barwy cytrynowej, impregnowany, zapinany na suwak i idealnie obcisły. Strój odbiegał od ówczesnej mody. Był to sztuczny twór, obmyślony w celu dodania cudowi splendoru.

Na piersi i plecach kombinezonu naszyte były pomarańczowe znaki zapytania wysokości jednej stopy każdy. Oznaczały one, że Tułacz z Kosmosu nie wie, kim jest.

Imię Tułacza miało pozostać nieznane, dopóki Winston Niles Rumfoord, głowa wszystkich kościołów Boga Doskonale Obojętnego, nie obwieści go światu.

Ewentualne pojawienie się Tułacza z Kosmosu Redwine miał zasygnalizować obłąkańczym biciem w kościelny dzwon.

Na obłąkańcze bicie dzwonu parafianie popaść mieli w ekstazę, rzucić wszelką robotę i przybiec ze śmiechem i płaczem.

Ochotnicza Straż Pożarna w West Barnstable była tak dalece opanowana przez parafian Redwine'a, że na miejsce cudu przybyć miał sam wóz strażacki, jako jedyny pojazd choćby częściowo legitymujący się wspaniałością godną Tułacza z Kosmosu.

Syrena alarmowa ze szczytu remizy miała się przyłączyć do obłąkańczego pienia dzwonu.

Pojedynczy ryk syreny oznaczał pożar łąki lub lasu. Dwa ryki oznaczały pożar w zabudowaniach.

Trzy ryki oznaczały ugaszenie pożaru. Dziesięć miało obwieścić przybycie Tułacza z Kosmosu.

Woda sączyła się do środka przez spaczoną ramę okienną. Woda sączyła się spod obluzowanej dachówki, kapiała przez szczelinę i błyszczącymi kropelkami osiadała na brzegu baldachimu ponad głową Redwine'a. Dobrotliwy deszcz kapiał na wysłużony dzwon – przyszłego herolda wielkiej nowiny – ściekał wzdłuż sznura, nasączał przyczepioną u końca sznura drewnianą kukłę, odrywał się kropelkami od stóp kukły i formował kałużę na kamienistej posadzce dzwonnicy.

Kukła była symbolem sakralnym. Obrazowała powszechnie potępianą postawę wobec życia, która to postawa należała już do przeszłości. Kukłę zwano malachem. Nie było domu ani biura, w którym wierni Redwine'a nie wywiesiliby malacha.

Istniał tylko jeden prawidłowy sposób wywieszania malacha. Za szyję. Stosowano w tym celu jedyny prawidłowy rodzaj węzła. Węzeł katowski.

A deszcz wciąż kapiał ze stóp Redwine'owego malacha na końcu liny dzwonu.

Minęła już zimna, zdradliwa, wiosenna pora krokusów.

Minęła delikatna, chłodna, urocza wiosenna pora żonkili.

Nadeszła wiosna ludzkości i z krzewów bzu za kościołem Redwine'a zwisały dorodne kiście, ciężkie jak winogrona pierwszego gatunku.

Redwine wsłuchiwał się w deszcz i wyobrażał sobie, że deszcz przemawia językiem

Chaucera. Redwine wyrecytował na głos słowa, które w jego mniemaniu wypowiadał deszcz; wyrecytował nie za głośno, aby nie zagłuszać deszczu.

Gdy kwiecień deszczu rześystym strumieniem

Marcową suszę zmoczy do korzeni

I skąpie żyłę ziemi w takim płynie,

Który kwitnienia moc daje roślinie;

Kropelka deszczu migocąc opadła z baldachimu nad głową Redwine'a, zmoczyła lewe szkło jego okularów i policzek jak jabłuszko.

Czas był dla Redwine'a łaskawy. Stojąc na ambonie, Redwine wyglądał jak pyzaty wiejski roznosiciel gazet w okularkach, chociaż miał już czterdzieści dziewięć lat. Uniósłszy dłoń, by zetrzeć wilgoć z policzka, Redwine zagrzechotał błękitnym płóciennym woreczkiem pełnym ołowianych naboji, który zwisał mu u nadgarstka.

Podobne woreczki z nabojami nosił przy kostkach obu nóg i przy drugim nadgarstku, na szelkach zaś zwisały mu dwie sztaby żelaza – jedna po stronie klatki piersiowej, druga na plecach.

Ciężarki te hamowały go w pogoni za życiem.

Nosił na sobie czterdzieści osiem funtów – i nosił je z radością. Silniejsi dźwigali więcej, słabsi mniej. Każdy silny fizycznie parafianin Redwine’a z ochotą brał na siebie ciężarki i obnosił je wszędzie z wielką dumą.

Nawet najslabsi i najpokorniejsi musieli w końcu przyznać, że wszyscy mają równe szansę w pogoni za życiem.

Wodnista muzyka deszczu stanowiła tak urocze tło dla wszelkiej recytacji, że Redwine postanowił zadeklamować jeszcze kawalek. Tym razem zdecydował się na rzecz autorstwa Winstona Nilesa Rumfoorda, Mistrza z Newport.

Kawalek, który Redwine zamierzał wyrecytować do wtóru deszczu, był utworem, w którym Mistrz z Newport określał własną pozycję w odniesieniu do swych posłanników, pozycję posłanników w odniesieniu do trzódek, którymi się opiekowali, a także pozycję każdego człowieka z osobna w odniesieniu do Boga. Redwine odczytywał ten utwór swym owieczkom w każdą pierwszą niedzielę miesiąca.

– „Nie jestem ojcem waszym – deklamował Redwine. – Nazwijcie mnie raczej bratem. Lecz i bratem waszym nie jestem. Nazwijcie mnie raczej synem. Lecz i synem waszym nie jestem. Nazwijcie mnie raczej psem. Lecz i psem waszym nie jestem. Nazwijcie mnie raczej pchłą na ciele psa waszego. Lecz i pchłą nie jestem. Nazwijcie mnie raczej parchem na ciele pchły psa Geoffrey Chaucer, Opowieści kanterberyjskie, tłum. H. Pręczkowska (przyp, tłum). waszego. Jako parch na ciele pchły psa waszego, gotów jestem służyć wam jak potrafię najlepiej, tak jak i wy sami pragniecie służyć Panu Bogu Wszechmogącemu, Stwórcy Wszechświata”. Redwine klasnął w dłonie, zabijając niewidzialną sparszywiałą pchłę. W każdą pierwszą niedzielę miesiąca cała parafia tłukła pchłę zgodnym kłaśnięciem.

Następna kroplą spadła drząc z baldachimu i ona także zmoczyła policzek – Redwine’a. Redwine skłonił się w radosnej podzięce za tę kroplę, za kościół, za Mistrza z Newport, za Ziemię, za Boga, Któremu Nie Zależy, za wszystko.

Zstąpił z ambony, a ołowiane kulki w woreczkach kiwały się przy tym statecznie w tył i w przód.

Redwine minął kościół i wszedł pod łuk dzwonnicy. Przystanął obok kałuży pod sznurem dzwonu i popatrzył w górę, śledząc drogę, którą woda dostawała się do środka. Doszedł do wniosku, że żaden wiosenny deszczyk nie mógłby dostawać się do środka wdzięczniej niż właśnie tutaj. Gdyby przyszło mu kiedyś nadzorować przebudowę kościoła, dopilnuje, by przedsiębiorcze kropelki deszczu mogły nadal wpadać do dzwonnicy tą samą drogą.

Tuż za łukiem dzwonnicy znajdował się inny łuk – liściasty łuk gałęzi bzu.

Redwine wkroczył pod ten drugi łuk, dostrzegł statek kosmiczny, który jak wielki bąbel wyrastał ponad las, zobaczył też nagiego, zarosniętego Tułacza z Kosmosu, który stał na dziedzińcu kościoła.

Redwine krzyknął z radości. Biegiem rzucił się z powrotem do kościoła i jak pijany szympanś zawisł na sznurze dzwonu. W dźwięcznym jazgocie dzwonu usłyszał słowa, które – jak głosił Mistrz z Newport – wypowiedziały wszystkie dzwony świata:

– PIEKŁA NIE MA! – rozśpiewał się dzwon.

– PIEKŁA NIE MA!

– PIEKŁA NIE MA!

– PIEKŁA NIE MA!

Dźwięk dzwonu zatrwożył Wuja. Wujo usłyszał w nim gniew i przerażenie, więc puścił się biegiem w kierunku swego statku, boleśnie ścierając skórę podczas gramolenia się przez mur. Zatraskując klapą usłyszał, jak syrena wyjąkuje dzwonowi odpowiedzi.

Wujo doszedł do wniosku, że Ziemia musi nadal pozostawać w stanie wojny z Marssem, a syrena i dzwon wieszczą mu rychłą śmierć. Wcisnął guzik „start”.

Automatyczny pilot zawahał się z odpowiedzią na sygnał, zajęty ożywioną, nie prowadzącą do niczego kłótnią z sobą samym. Kłótnia zakończyła się samowylaczeniem pilota.

Wujo ponownie wcisnął guzik „start”. Tym razem z całej siły przyduślił go piętą.

Pilot znów podjął idiotyczną kłótnię z samym sobą i spróbował się wyłączyć, Stwierdziwszy, że nie może się wyłączyć, puścił brudnożółty dym.

Dym stał się wkrótce tak gęsty i zjadliwy, że zmusił Wuję do połknięcia piguły i ponownego zastosowania techniki oddechowej Schliemanna.

Następnie pilot-nawigator wydał z siebie głęboki, wibrujący, organowy dźwięk i zamarł bezpowrotnie.

O starcie nie było mowy. Z chwilą śmierci pilota-nawigatora umierał cały statek.

Wujo przedarł się poprzez dym do luku i wyrzwał na zewnątrz.

Zobaczył wóz strażacki. Wóz strażacki przedzierał się ku statkowi przez leśne poszycie.

Mężczyźni, kobiety i dzieci kurczowo trzymali się pompy, przemoczeni do suchej nitki i pełni ekstazy.

Przed wozem strażackim postępował wielebny C. Horner Redwine. W jednej ręce niósł kanarkowy kombinezon w przezroczystej plastikowej torbie. W drugiej dzierżył kiść świeżo ściętego bzu.

Kobiety słały Wujowi całusy i podnosiły w górę dzieci, aby i one mogły popatrzeć na umiłowaną postać w środku. Mężczyźni zostali przy wozie strażackim, wznosząc okrzyki na cześć Wuję, wznosząc okrzyki na własną cześć, wznosząc okrzyki na cześć wszystkiego.

Kierowca strzelił ogniem z motoru, włączył syrenę, zadzwonił dzwonkiem.

Wszyscy nosili ciężarki. Były to w większości ciężarki typowe – obciążone szarfy, woreczki z ołowiem, stare fajerki – które miały za zadanie hamować przewagę fizyczną. Znalazła się jednak wśród parafian Redwine'a grupa gorliwych wiernych, którzy wybrali sobie ciężarki bardziej finezyjne i więcej mówiące.

Były wśród nich kobiety obdarzone przez ślepy los oszałamiającą przewagą urody.

Zniweczyły one tę niesprawiedliwą przewagę za pomocą łachmaniarskich strojów, nieprawidłowej postawy, gumy do żucia i karykaturalnego makijażu.

Pewien staruszek, którego jedyną przewagą był doskonały wzrok, popsuł go sobie, nosząc okulary żony.

Ciemnoskóry młodzieniec, którego wybujały, drapieżny seksapil rzucał się w oczy mimo nędznego stroju i fatalnych manier, obciążył się żoną, która miała wstręt do spraw seksu.

Parafia Redwine'a nie była niczym wyjątkowym. Nie była to wcale parafia fanatyków. Na całej Ziemi żyły dosłownie miliardy radośnie samoobciążonych ludzi.

Ich radość brała się stąd, że nikt już nad nikim nie miał przewagi.

Strażacy wpadli nagle na całkiem nowy pomysł wyrażenia radości. Na samym szczycie wozu strażackiego znajdowała się sikawka. Można nią było kręcić w kółko jak karabinem maszynowym.

Strażacy ustawili sikawkę pionowo i włączyli wodę. Drżący, niepewny strumień, zaczął piąć się ku niebu, a gdy osiągnął maksymalną wysokość, wiatr porwał go na strzępy.

Strugi wody chlustały dookoła: jedne rozplaskiwały się o statek Wuję, inne oblewały samych strażaków, jeszcze inne spadały zniecka na kobiety i dzieci, wywołując w pierwszej chwili wielkie osłupienie, a zaraz potem jeszcze większą radość.

Jedynie uroczemu przypadkowi zawdzięczać należy fakt, że woda odegrała tak istotną rolę w powitaniu Wuję. Nie było tego w planie. Tak się po prostu idealnie złożyło, że wszyscy mogli zapamiętać się w wielkim, powszechnym święcie wody.

Wielebny C. Horner Redwine, który w oblepiającym go szczelnie mokrym stroju czuł się nagi jak pogański duszek leśny, cisnął kiść bzu do wnętrza statku przez uchyloną szybę luku, do której natychmiast przycisnął swe pełne uwielbienia oblicze.

Twarz, która odpowiedziała Redwine'owi spojrzeniem, nosiła wyraz zdumiewająco bliski wyrazowi twarzy inteligentnej małpy w zoo. Czoło Wuję poryte było zmarszczkami, oczy zaś szklily się beznadziejnym wysiłkiem zrozumienia, o co chodzi.

Wujo postanowił, że nie będzie się bać.

Nie spieszył się jednak z wypuszczeniem Redwine'a do środka.

W końcu podszedł do włazu i odryglował obie klapy, wewnętrzną i zewnętrzną. Cofnął się, czekając, aż ktoś je otworzy.

– Dajcie mi najpierw wejść do środka, żebym go namówił do ubrania się w kombinezon! –

zwrócił się Redwine do swoich wiernych. – Potem będzie wasz!

Kanarkowy kombinezon pasował na Wuję jak ulał. Znaki zapytania na piersi i plecach leżały bez jednej zmarszczki.

Wujo nie wiedział jeszcze, że jest ubrany jak nikt inny na świecie. Przyjął założenie, że podobne kombinezony – z pytajnikami i w ogóle – nosi mnóstwo ludzi.

– Czy to... czy to jest Ziemia? – zwrócił się Wujo do Redwine’a.

– Tak jest – odparł Redwine. – Znajdujemy się w Cape Cod, Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki, Rodzina Człowiecza.

– Dzięki Bogu! – powiedział Wujo. Redwine pytająco uniósł brwi.

– Dlaczego? – zapytał.

– Co dlaczego? – powiedział Wujo.

– Dlaczego dziękuje pan Bogu? – zapytał Redwine. – On się panem nie przejmuje. Nawet palcem nie kiwnął, żeby dostarczyć pana tutaj całego i zdrowego, tak samo, jak nie kiwnąłby palcem, żeby pana zabić. – Redwine uniósł ramiona, demonstrując atletyzm swej wiary. Grzechot ołowianych kulek w woreczkach u nadgarstków Redwine’a przyciągnął uwagę Wuja. Od ciężarków przy dłoniach uwaga Wuja bez najmniejszego już trudu przeskoczyła na ciężką sztabę żelaza, którą Redwine dźwigał na piersi. Redwine, który podążał za wzrokiem Wuja, uniósł żelazną sztabę w dłoni. – Swoje waży – powiedział.

– Aha – mruknął Wujo.

– Jak pana trochę odżywimy – obiecał Redwine – uniesie pan, na moje oko, z pięćdziesiąt funtów.

– Pięćdziesiąt funtów? – powtórzył Wujo.

– Powinien się pan cieszyć z takiego ciężaru, a nie martwić – pouczył go Redwine. – Nikt nie zarzuci panu wówczas, że wykorzystuje pan swą przewagę w pogoni za kapryśnym losem. W głosie Redwine’a zabrzmiała nutka kaznodziejskiej groźby, której nie miał okazji specjalnie nadużywać, odkąd minęły pierwsze dni Kościoła Boga Doskonale Obojętnego, od czasu wzruszających zbiorowych nawróceń, które nastąpiły po zakończeniu wojny z Marsem. W owych dniach Redwine i wszyscy inni młodzi neofici straszili niewiernych słusznym gniewem tłumu. Słusznie rozgniewane tłumy jeszcze wówczas nie istniały.

Słusznie rozgniewane tłumy istniały za to teraz w każdym zakątku świata. Liczba wiernych Kościoła Boga Doskonale Obojętnego osiągnęła solidne, okrągłe trzy miliardy. Młode lwy, które niegdyś głosiły pierwsze nauki nowej wiary, mogły spokojnie zamienić się w baranki i zająć kontemplacją zjawisk godnych wschodniego mędrca – jak na przykład ściekanie wody po sznurze od dzwonu. Karzące ramię Kościoła ucieleśniło się w tłumach całej Ziemi.

– Muszę pana ostrzec – rzekł Redwine do Wuja – że kiedy wejdzie pan między ludzi, nie wolno panu powiedzieć nic, co sugerowałoby, że Bóg szczególnie się panem interesuje albo że pan może się Bogu na coś przydać. Najgorszą rzeczą, jaką może pan powiedzieć, byłoby coś w tym stylu: „Dzięki Bogu za to, że wydobył mnie cało z tarapatów. Bóg upatrzył mnie sobie z jakiegoś powodu, więc teraz jedynym moim życzeniem jest służyć Mu wiernie”.

Ten przyjazny tłum – ciągnął Redwine – mógłby się szybko stać bardzo nieprzyjazny, i to bez względu na wysokie auspicje, pod jakimi pan przybywa.

Wujo planował sobie, że powie niemal dokładnie to, przed czym ostrzegł go Redwine. Wydawało mu się, że tylko taka przemowa będzie tu na miejscu.

– No to... no to co ja mam powiedzieć? – zmieszał się Wujo.

– To, co pan powie, znamy już z przepowiedni – odparł Redwine. – Co do słowa. Długo i pilnie rozmyślałem o słowach, które pan wygłosił, i jestem święcie przekonany, że nie sposób byłoby udoskonalić pańską wypowiedź.

– Kiedy nic mi nie przychodzi do głowy, chyba że „Czołem, dziękuję wam” – poskarżył się Wujo. – Co by pan chciał, żebyśmy powiedział?

– To, co pan powie – odparł Redwine. – Wszyscy ci poczciwi ludzie, którzy tam czekają, od dawna ćwiczyli się na tę chwilę. Zadadzą panu dwa pytania, a pan odpowie im w miarę swoich możliwości jak najlepiej.

Redwine wyprowadził Wuja przez właz. Pompa była już wyłączona. Krzyki i tańce ustały. Parafia Redwine’a ustawiła się teraz w półkole przed Redwine’em i Wujem. Parafianie nabrali powietrza w płuca i szczelnie pozaciskali usta.

Redwine dał święty znak.

– Kim jesteś? – spytali zgodnym chórem parafianie.

- Ja... nie znam swojego prawdziwego imienia - odparł Wujo. - Wołali mnie Wujo.

- Co cię spotkało? - spytali parafianie.

Wujo niepewnie pokręcił głową. Nie przychodziło mu na myśl żadne streszczenie przygód stosowne na tego rodzaju - rytualną najwyraźniej - okazję. Czuł, że oczekuje się od niego wielkich słów. Nie był na siłach, aby sprostac wielkości. Hałaśliwie wciągnął powietrze, dając wiernym do zrozumienia, że z przykrością czyni im zawód swoją przyziemną odpowiedzią: - Padłem ofiarą szeregu wypadków - rzekł. Wzruszył ramionami i dodał: - Jak każdy. Okrzyki i tańce zaczęły się od nowa. Wuję wciągnięto na wóz strażacki i podwieszono pod same wrota kościoła.

Redwine gestem pełnym miłości wskazał na drewnianą tablicę nad drzwiami, imitującą w półrozwiniętą rolę papieru. Na tabliczce złościł się wyryty napis: PADŁEM OFIARĄ SZEREGU WYPADKÓW. JAK KAŻDY.

Prosto z kościoła wóz strażacki przetransportował Wuję do Newport, Rhode Island, gdzie miała właśnie nastąpić materializacja.

Zgodnie z ustalonym przed laty planem, dyżur w West Barnstable objęła inna ekipa strażacka z Cape Cod, gdyż West Barnstable miało być czasowo pozbawione własnej pompy.

Wieść o pojawieniu się Tułacza z Kosmosu obiegła Ziemię lotem błyskawicy. W każdej wiosce, każdym miasteczku i mieście, przez które przejeżdżał wóz strażacki, obrzucano Wuję kwiatami.

Wujo siedział na szczycie wozu, na sosnowej desce o rozmiarach dwie na sześć stóp, umieszczonej w poprzek kabiny. Wewnątrz kabiny znajdował się wielebny C. Horner Redwine. Redwine sprawował pieczę nad dzwonem alarmowym, którym przez cały czas podzwaniał z wielką gorliwością. U serca dzwonu zwisał malach z wysokogatunkowego plastiku. Była to kukła szczególnego rodzaju, z tych, które sprzedawano jedynie w Newport. Posiadanie takiego malacha równało się zaświadczeniu, że jego właściciel odbył pielgrzymkę do Newport. Pielgrzymkę taką odbył niegdyś cały oddział Ochotniczej Straży Pożarnej z West Barnstable, za wyjątkiem dwóch nonkonformistów. Malacha, który zdobił wóz strażacki, zakupiono z funduszy Straży Pożarnej.

W żargonie handlujących suwenirami kramarzy z Newport, malach Straży Pożarnej, sporządzony z wysokogatunkowego plastiku, był to „jedyny oryginalny, legalny i oficjalny malach na świecie”.

Wujo był szczęśliwy: cieszyło go, że znów jest między ludźmi i że znów oddycha powietrzem. A na dodatek wyglądało na to, że wszyscy za nim przepadają.

Tyle było miłej wrzawy. Tyle było wszystkiego dobrego. Wujo miał nadzieję, że obfitość wszystkiego dobrego nigdy się nie wyczerpie.

- Co cię spotkało? - wrzeszczeli do niego ludzie i wybuchali śmiechem.

Dla potrzeb masowego przekazu Wujo skrócił odpowiedź, która tak strasznie uradowała tłumek parafian Kościoła pod wezwaniem Tułacza z Kosmosu.

- Wypadki! - wrzeszczał w odpowiedzi.

Śmiał się.

O rany.

Ale jaja. Wujo śmiał się do rozpuku.

Posiadłość Rumfoordów w Newport była od ośmiu godzin szczelnie napakowana ludźmi.

Wartownicy odprawili sprzed bramki w murze tysiące osób. Wartownicy byli na dobrą sprawę niepotrzebni, gdyż zgromadzony wewnątrz tłum stanowił zwartą masę.

Nie wśliznąłby się w niego nawet naoliwiony węgorz.

Tysiące pielgrzymów zgromadzonych na zewnątrz muru przepychało się teraz bogobojnie w walce o miejsce jak najbliżej umieszczonych na rogach muru głośników.

Z głośników popłynąć miał głos Rumfoorda.

Nigdy jeszcze tłum nie był tak liczny i tak podekscytowany, gdyż działo się to wszystko w z dawna obiecywanym Wielkim Dniu Tułacza z Kosmosu.

Wszędzie eksponowano najwymyślniejsze i najskuteczniejsze obciążenia. Tłum był cudownie obszarpany i upośledzony.

Be, która była kobietą Wuję na Marsie, także znajdowała się w Newport. Podobnie jak

Chrono, syn Be i Wuja.

- Tylko u mnie! Jedyne oryginalne, legalne, oficjalne malachy! - darła się chrypliwie Be. - Tylko u mnie! Kupujcie malachy! Każdy, kto kupi malacha, Tułaczowi nim pomacha! Kupujcie malachy, Tułacz z Kosmosu je wam pobłogosławi!

Be zajmowała kiosk na wprost żelaznej bramki w murze posiadłości Rumfoordów. Kiosk Be był pierwszym z brzegu w rzędzie dwudziestu kiosków ustawionych na wprost bramki. Nad wszystkimi dwudziestoma straganami rozciągał się wspólny dach, a przedzielały je przepierzenia, sięgające kramarzom do pasa.

Malachy, którymi handlowała Be, były to plastikowe lalki o ruchomych kończynach i oczach ze sztucznego kryształu. Be kupowała je w magazynach dewocjonalistów po dwadzieścia siedem centów od sztuki, a sprzedawała po trzy dolary. Be miała głowę do interesów.

Wprawnie demonstrowała światu swą przedsiębiorczą i efektowną zewnętrzną, ale i tak sukcesy handlowe zawdzięczała głównie swej wewnętrznej pańskości. Karnawałowe efekciarstwo Be przyciągało wzrok pielgrzymów. Ale to otaczająca ją aura przyciągała klientów do kiosku i zmuszała do wydawania pieniędzy. Aura otaczająca Be niezbitnie dowodziła, że Be przeznaczona była w życiu do wyższych celów, a fakt, że siedzi tu, gdzie siedzi, świadczy jedynie o tym, że Be jest niesamowicie równą babką.

- Kupujcie malachy! Kupujcie póki czas! - gardłowała Be. - Po rozpoczęciu materializacji - koniec z kupowaniem malachów!

Była to prawda. Regulamin nakazywał, aby kramarze pozamykali kioski na pięć minut przed materializacją Winstona Nilesa Rumfoorda i jego psa. Otworzyć je z powrotem mogli dopiero w dziesięć minut po zniknięciu ostatnich śladów Rumfoorda i Kazaka.

Be zwróciła się do swego syna Chrono, który otwierał właśnie nowy karton malachów.

- Ile do gwizdka? - spytała. Gwizdkiem nazywano potężną syrenę na parę, ulokowaną wewnątrz posesji. Gwizdek włączano na pięć minut przed materializacją.

Samą materializację obwieszczała salwa z działka kalibru 80 mm.

Dematerializację sygnalizowało wypuszczenie w górę tysiąca baloników.

- Osiem minut - odparł Chrono, spoglądając na zegarek. Chłopiec Chrono miał jedenaście ziemskich lat. Był śniady i chmurny. Świetnie rozmieniał pieniądze i miał smykałkę do kart.

Wyrażał się nieprzyzwoicie i nosił nóż sprężynowy z sześciocalowym ostrzem. Chrono niechętnie zadawał się z innymi dziećmi, a odwaga i bezpośredniość w zmaganiach z życiem zyskały mu tak fatalną reputację, że tylko garstka najgłupszych i najładniejszych dziewczynek ubiegała się o jego względy.

W kartotekach newportskiego posterunku policji i Policji Stanowej Rhode Island, chłopiec Chrono figurował jako młodociany przestępca. Co najmniej pięćdziesięciu porządkowych znał po imieniu. Był też weteranem czternastu sesji z detektorem kłamstw.

Przed zakładem wychowawczym bronił go kwiat ziemskiej palestry, palestry Kościoła Boga Doskonale Obojętnego. Adwokaci, pod przywództwem Rumfoorda, zbijali wszelkie oskarżenia przeciwko Chronowi.

Oskarżenia te dotyczyły najczęściej kradzieży kieszonkowych, noszenia ukrytej broni, posiadania nie zarejestrowanej broni palnej, użycia broni palnej na terenie zabudowanym, handlowania sprośnymi obrazkami i literaturą oraz włóczęgostwa.

Władze skarżyły się z goryczą, że koronną przyczyną chuligańskich wybryków chłopca jest jego matka. Matka chłopca Chrono kochała go takim, jakim był.

- Ludzie! Zostało wam osiem minut na zakup malachów! Spieszcie się!

Na samym przodzie górnej szczęki Be lśniły złote zęby, a skóra jej ciała, podobnie jak skóra syna, miała barwę złocistego dębu.

Be straciła górne zęby podczas katastrofy statku kosmicznego, który rozbił się w regionie Gumbo Amazońskiej Dżungli Deszczowej, wioząc Be i chłopca Chrono z Marsa na Ziemię. Tylko Be i Chrono ocalili w katastrofie. Przez następny rok bląkali się po dżungli.

Odcień skóry Be i chłopca Chrono był trwały, brał się bowiem z uszkodzenia wątroby. Be i Chrono uszkodzili sobie wątroby trzymiesięczną dietą złożoną z wody i korzonków salpa-salpa, czyli błękitnej topoli amazońskiej. Dieta owa była elementem rytuału przystąpienia do plemienia Gumbo, któremu to rytuałowi poddani zostali Be i Chrono.



Podczas rytuału matka i syn stali spętani u pala w samym środku wioski, przy czym Chrono symbolizował Słońce, Be zaś – Księżyc, zgodnie z pojęciami Słońca i Księżyca, jakie panowały wśród plemienia Gumbo.

Wspólne przeżycia sprawiły, że Be i Chrono byli sobie bliżsi niż większość matek i synów. W końcu uratował ich helikopter. Winston Niles Rumfoord wysłał helikopter dokładnie tam, gdzie trzeba i w najbardziej odpowiednim momencie.

Winston Niles Rumfoord załatwił Be i chłopcu Chrono koncesję na lukratywny kramik z malachami przed lilipticą bramką. Opłacił też kurację stomatologiczną Be i podsunął jej pomysł wstawienia na przodzie złotych zębów.

Właścicielem kramu, który sąsiadował z kramem Be, był Harry Brackman. Brackman był na Marsie sierżantem dowodzącym plutonem Wuja. Teraz zmienił się w statecznego, łysiejącego mężczyznę. Miał drewnianą nogę i prawicę z nierdzewnej stali. Nogę i rękę utracił w bitwie o Boca Raton. Tylko on jeden ocalał w bitwie – i gdyby nie to, że był ciężko ranny, zostałby zlinczowany razem z resztą niedobitków swojego plutonu.

Brackman sprzedawał plastikowe modele fontanny Rumfoordów. Modele miały wysokość jednej stopy. Ich podstawki wyposażone były w pompki sprężynowe. Pompki pompowały wodę z wielkiej misy na dole aż do najmniejszej na samym czubku. Z najmniejszej miski woda przelewała się do trochę większej, z trochę większej do jeszcze większej, z jeszcze większej...

Brackman uruchomił na ladzie trzy fontanny jednocześnie.

– Taka samiutka jak tamta w środku! – zachwalał. – Można ją zabrać do domu i wstawić w okno od ulicy, żeby wszyscy sąsiedzi widzieli, że się było w Newport! Można ją ustawić na środku stołu podczas balu dla dzieci i napełnić różową lemoniadą!

– Ile? – zapytał kmiot.

– Siedemnaście dolarów – odparł Brackman.

– O kurczę! – zdumiał się kmiot.

– To święty grobowiec, wujciu – wyjaśnił Brackman, z wyższością wpatrując się w kmiota. –

To nie jest zabawka. – Sięgnąwszy pod ladę, wyciągnął modelik marsjańskiego statku

kosmicznego. – Pan szanowny życzy sobie zabaweczkę? Proszę uprzejmie, czterdzieści dziewięć centów. Zarabiam na nich tylko po dwa centy.

Kmiot zaczął się popisywać, jakim to niby jest rozważnym klientem. Porównał zabawkę z oryginałem, który miała przedstawiać. Oryginałem był marsjański statek kosmiczny, wystawiony na szczycie dziewięćdziesięcioośmiostopowej kolumny. I kolumna, i statek znajdowały się na terenie posesji Rumfoorda – w tym jej rogu, który zajmowały niegdyś korty tenisowe.

Rumfoord obiecał wyjaśnić kiedyś, do czego ma posłużyć statek kosmiczny, którego kolumnę wzniesiono z groszowych składek dzieci całego świata. Statek utrzymywany był w stałej gotowości. Najwyższa z wolno stojących drabin przykolumiennych w historii świata chwiejnie wiodła do wjazdu statku.

Ładunek paliwowy statku zawierał resztkę zapasów Powszechnej Woli Zaistnienia, jakimi dysponowały Marsjańskie Siły Zbrojne.

– Hm, hm – bąknął kmiot. Odłożył modelik na ladę. – Pan wybaczy, ale jeszcze się trochę rozejrzę. – Jak dotąd kupił jedynie kapelusik a la Robin Hood, z portretem Rumfoorda po jednej stronie, namalowaną żaglówką po drugiej i własnym imieniem wymalowanym na piórku, imię kmiota, zgodnie z tym, co głosiło piórko, brzmiało Delbert. – Tak czy owak, bardzo panu dziękuję – powiedział Delbert. – Pewnie tu wrócę.

– Pewnie, że tak, Delbert – odparł Brackman.

– Skąd pan wie, że mam na imię Delbert? – zdumiał się Delbert, zarazem uradowany i podejrzliwy.

– A tobie się zdaje, że tu tylko Winston Niles Rumfoord ma nadprzyrodzone zdolności? – odparł z wyższością Brackman.

Za murem uniosła się w niebo smużka pary wodnej. W chwilę później ponad straganami przetoczył się odgłos wielkiego parowego gwizdka – władczy, żalobny i triumfalny. Był to sygnał oznaczający, że Rumfoord i jego pies zmaterializują się za pięć minut.

Handlarzom sygnał ten nakazywał natychmiastowe przerwanie nie licującego z powagą

chwili reklamowania tandety i zamknięcie straganów.

Wszystkie okiennice natychmiast zawarły się z trzaskiem.

Wnętrze kramów zamieniło się skutkiem zamknięcia w półmroczny tunel.

Izolacja kramarzy wewnątrz tunelu zyskiwała dodatkowy wymiar niezwykłości dzięki temu, że wszyscy oni byli niedobitkami z Marsa. Rumfoord kategorycznie zażądał, aby pierwszeństwo w uzyskiwaniu koncesji w Newport mieli właśnie Marsjanie. Była to z jego strony forma podziękowania.

Niedobitków nie było wielu – zaledwie pięćdziesięcioro ośmiu na terenie Stanów Zjednoczonych i tylko trzystu szesnastu na obszarze całego świata.

Z pięćdziesięciorga ośmiorga niedobitków w Stanach Zjednoczonych, dwadzieścia osób prowadziło kramy w Newport.

- Znów się zaczyna, miłe dziatki – obwieścił jakiś głos na szarym końcu szeregu kramów.

Głos należał do ślepeca handlującego kapelusikami a la Robin Hood z portretem Rumfoorda po jednej stronie i żaglówką po drugiej.

Sierżant Brackman oparł się łokciem i protezą o przepierzenie oddzielające jego kiosk od kiosku Be. Mrugnął do chłopca Chrono, który leżał na zapieczętowanym kartonie malachów.

- Idź do diabła, co mały? – rzekł Brackman do chłopca Chrono.

- Idź do diabła – zgodził się Chrono. Wydłubywał właśnie brud zza paznokci przy użyciu dziwnie zakrzywionego, podziurkowanego i wyszczerbionego kawałka metalu, który był jego talizmanem na Marsie. Na Ziemi również był to jego talizman.

To zapewne talizman uratował Be i chłopca Chrono w dżungli. Członkowie plemienia Gumbo uznali blaszkę za obiekt posiadający wielką moc magiczną. Szacunek, z jakim odnieśli się do blaszki, nakłonił ich, by zamiast skonsumować jej właścicieli, wcielili ich do plemienia.

Brackman roześmiał się porozumiewawczo.

- Proszę, oto prawdziwy Marsjanin! – powiedział. - Nawet się nie ruszy ze skrzynki z malachami, żeby rzucić okiem na Tułacza z Kosmosu.

Chłopiec Chrono nie był jedynym, który potraktował Tułacza z Kosmosu obojętnie. Butnym i szlachetnym obyczajem wszystkich handlarzy było trzymanie się z dala od wszelkich ceremonii. Całą materializację Rumfoorda i psa spędzali oni zawsze w półmroku tunelu.

Nie wynikało to z pogardy kramarzy dla religii Rumfoorda. Większość z nich uważała wręcz, że nowa religia jest, być może, całkiem niezła. Siedząc w zamkniętych kioskach demonstrowali natomiast, że jako weterani z Marsa uczynili już więcej niż dość dla postawienia na nogi Kościoła Boga Doskonale Obojętnego.

Demonstrowali fakt, że wykorzystano ich do cna.

Rumfoord popierał tę ich postawę – nazywał ich czule swoimi „...świętymi żołnierzami przed bramką. Ich obojętność – stwierdził niegdyś Rumfoord – to straszliwa rana, którą odnieśli w wojnie po to właśnie, byśmy my mogli stać się bardziej aktywni, bardziej wrażliwi, bardziej wolni”.

Marsjańskich kramarzy strasznie kusiło, aby choć raz zerknąć na Tułacza z Kosmosu. Na murze otaczającym posesję Rumfoordów zainstalowano megafony, toteż każde słowo wymówione przez Rumfoorda po tamtej stronie muru biło po uszach wszystkich w promieniu ćwierci mili. Słowa uparcie wieściły triumfalną chwilę prawdy, która nadejdzie wraz z pojawieniem się Tułacza z Kosmosu.

Gorliwi wierni od dawna szykowali się na tę wielką chwilę – na wielką chwilę, w której wiara gorliwych wiernych rozrośnie się, rozjaśni i rozbudzi dziesięciokrotnie.

Chwila ta oto nadeszła.

Wóz strażacki, który przywiózł Tułacza z Kosmosu spod kościoła pod wezwaniem Tułacza z Kosmosu na Cape Cod, dzwonił teraz i wył za okiennicami straganów.

Ukryte w półmroku kramów trolle ostentacyjnie nie wyjrzały na zewnątrz.

Za murem gruchnęła salwa armatnia.

A więc Rumfoord i jego pies zmaterializowali się – a Tułacz z Kosmosu przekraczał właśnie lilipucią bramkę.

- Pewnie wynajął jakiegoś splukanego aktorzyne z Nowego Jorku – podsumował Brackman.

Uwaga Brackmana nie doczekała się niczyjej reakcji, nawet ze strony chłopca Chrono, który

uważał się za koronnego cynika straganów. Brackman sam nie traktował własnej uwagi serio – wcale nie sądził, że Tułacz z Kosmosu jest podstawiony. Kramarze aż nadto dobrze znali skłonność Rumfoorda do realizmu. Kiedy Rumfoord inscenizował misterium, używał wyłącznie prawdziwych ludzi i prawdziwych piekieł.

Należy tu podkreślić, że – mimo całego swego upodobania do imprez na wielką skalę – Rumfoord nigdy nie uległ pokusie ogłoszenia się Bogiem, czy też kimś bardzo bliskim Bogu.

Przyznają to nawet jego najzagorzalsi przeciwnicy. W książce pt. Pan-Galaktyczna bzdura albo trzy miliardy naiwnych, dr Maurice Rosenau twierdzi:

Międzygwiazdny Faryzeusz, Tartuffe i Cagliostro – słowem: Winston Niles Rumfoord – zadał sobie trud ogłoszenia, że nie jest Bogiem Wszchemogącym, że nie jest bliskim krewnym Boga Wszchemogącego i że Bóg Wszchemogący nie udzielał mu żadnych bezpośrednich instrukcji. Na te słowa Mistrza z Newport możemy powiedzieć jedynie – Amen! Dodajmy przy tym, że Rumfoord tak dalece nie jest krewnym ani przedstawicielem Boga Wszchemogącego, że jego, obecność uniemożliwia wszelkie porozumienie z Bogiem Wszchemogącym.

Rozmowy marsjańskich weteranów w półmroku zamkniętych budek bywały zazwyczaj mocno ożywione – pełne obrazoburczej pikanterii i opisów cennych doświadczeń w dziedzinie wciskania półgłówkom dewocyjnego baracha.

Teraz jednak, w obliczu bliskiego spotkania Rumfoorda z Tułaczem z Kosmosu, kramarze z wielkim trudem hamowali ciekawość.

Zdrowa ręka sierżanta Brackmana powędrowała ku ciemieniu. Był to gest charakterystyczny dla marsjańskich weteranów. Brackman dotykał miejsca, pod którym tkwiła antena – antena wykonująca niegdyś za niego całe istotne myślenie. Brackmanowi brak było jej sygnałów.

– Przeprowadźcie do mnie Tułacza z Kosmosu! – beknęły rozmieszczone na murach trąby anielskie głosem Rumfoorda.

– A może... może by tak pójść? – zwrócił, się Brackman do Be.

– Czego? – mruknęła Be. Stała tyłem do zamkniętej okiennicy kramu. Zamknęła oczy.

Spuściła głowę. Wyglądała, jakby było jej zimno.

Podczas materializacji zawsze dostawała dreszczy.

Chrono metodycznie pocierał talizman opuszką kciuka, wpatrując się w aureolkę pary wodnej na zimnej powierzchni metalu – aureolkę opisującą jego kciuk.

– Do diabła z nimi, no nie, Chrono? – powiedział Brackman.

Mężczyzna, który handlował świergolącymi mechanicznymi ptaszkami, nerwowo kręcił towarem młynka ponad głową. Pewna wieśniaczka w bitwie o Toddington w Anglii wzięła go na widły, po czym zostawiła, uznawszy za zmarłego.

Międzynarodowa Komisja Identyfikacji i Rehabilitacji Marsjan zdołała – za pomocą odcisków palców – ustalić tożsamość ptasznika: był to Bernard K. Winslow, wędrowny sekser, który pewnego dnia zniknął z oddziału dla alkoholików londyńskiego szpitala.

– Dzięki za informację – powiedział Winslow Komisji. – Przynajmniej nie będę się już czuł taki zagubiony.

Sierżant Brackman był – jak to ustaliła Komisja – szeregowym Francisem J. Thompsonem, który zniknął w środku nocy podczas dokonywania samotnego patrolu wokół parku maszynowego w Fort Bragg, Północna Karolina, USA.

Be okazała się dla Komisji wielką zagadką. Rejestr nie zawierał jej odcisków palców.

Zdaniem Komisji Be była albo Florencją White – nieciekawą i pozbawioną przyjaciół dziewczyną, która zniknęła nagle z pralni w Cohoes, Nowy Jork, albo też Darleną Simpkins – nieciekawą i pozbawioną przyjaciół dziewczyną, którą widziano po raz ostatni, gdy wsiadała do przygodnego wozu prowadzonego przez nieznanego śniadego kierowcę w Brownsville, Teksas.

Właścicielami kramów za Brackmanem, chłopcem Chrono i Be była zbieranina marsjańskich wypierdków, zidentyfikowanych jako: Myron S. Watson, alkoholik, który zniknął podczas pełnienia obowiązków łaziebego na lotnisku w Newark... Charlene Heller, pomoc dietetyczki w stołówce Stivers High School w Dayton, Ohio... Krishna Garu, zecer, formalnie wciąż ścigany przez władze Kalkuty, Indie, pod zarzutami bigamii, stręczycielstwa i odmowy płacenia alimentów... Kurt Schneider, również alkoholik, dyrektor podupadłego biura podróży w Bremie, Niemcy.

- Wszechmocny Rumfoord – odezwała się Be.  
- Słucham? – zapytał Brackman.  
- Wyrwał nas z życia – powiedziała Be. – Uśpił nas. Wydrążył nam mózgi jak dynie z pestek. Podłączył nas do prądu jak roboty, wytresował, wycelował – i wypalił do cna, wszystko w zbożnym celu. – Wzruszyła ramionami. – Czy powiodłoby nam się lepiej, gdybyśmy mogli sami pokierować własnym życiem? – zastanowiła się Be. – Czy znaczylibyśmy więcej – a może mniej niż teraz? Ja tam się nawet cieszę, że na mnie wypadło. Myślę, że on o wiele lepiej wiedział, co ze mną zrobić, niż Florencja White czy Darleną Simpkins, czy ktokolwiek, kim przedtem byłam.  
Ale i tak go nienawidzę – zakończyła Be.  
- To twój przywilej – rzekł Brackman. – On powiedział, że to jest przywilej każdego Marsjanina.  
- Jedno mnie tylko pociesza – powiedziała Be. – Że jesteśmy wszyscy zużyty do cna. Już nigdy mu się na nic nie przydamy.  
- Witaj, o Tułacz z Kosmosu! – beknęły rozmieszczone na murach trąby anielskie dobrze naoliwionym tenorem Rumfoorda. – Jakże to wymowne, że przybywasz do nas na ognisku czerwonej sikawce ochotniczej straży pożarnej. Nie znam bardziej wymownego symbolu ludzkiej życzliwości dla bliźniego niż właśnie wóz strażacki. Odpowiedz mi, o Tułacz z Kosmosu, czy widzisz tu wokół siebie coś, co nasuwa ci myśl, że być może kiedyś już odwiedziłeś to miejsce? Tułacz z Kosmosu bąknął coś pod nosem.  
- Głośniej proszę – upomniał go Rumfoord.  
- Fontanna... Pamiętam tamtą fontannę – obwieścił z bolesnym namysłem Tułacz z Kosmosu. – Tylko że... Tylko że...  
- Tylko że co? – włączył się Rumfoord.  
- Tylko że wtedy, wszystko jedno kiedy – nie było w niej wody – odparł Tułacz z Kosmosu. Po tej wypowiedzi włączono umieszczony tuż przy fontannie mikrofon, tak aby autentyczny gulgot, chłupot i szmer fontanny mógł zilustrować wyznanie Tułacza z Kosmosu.  
- Czy poznajesz coś więcej? O! Tułacz z Kosmosu! -indagował Rumfoord.  
- Tak – odparł Tułacz z pewnym zażenowaniem. – Pana.  
- Poznajesz mnie? – powtórzył przekornie Rumfoord. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że być może odegrałam już kiedyś jakąś pośrednią rolę w twoim życiu?  
- Pamiętam pana z Marsa – rzekł Tułacz z Kosmosu. – I pan był tym człowiekiem z psem, tuż przed naszym startem.  
- Co się wydarzyło po starcie? – zapytał Rumfoord.  
- Coś poszło nie tak, jak należy – odparł Tułacz z Kosmosu. Wyznał to ze skruchą, jak gdyby seria nieszczęść wynikła w jakiś sposób z jego winy. – Wszystko poszło nie tak, jak należy.  
- A czyś rozważał kiedykolwiek możliwość, że wszystko poszło dokładnie tak, jak należy? – zapytał Rumfoord.  
- Nie – odparł zwięźle Tułacz z Kosmosu. Koncepcja Rumfoorda nie zaskoczyła go, nie mogła go zaskoczyć, gdyż wykraczała daleko poza prowizoryczne horyzonty jego filozofii życiowej.  
- Czy rozpoznałbyś swoją kobietę i dziecko? – zapytał Rumfoord.  
- Nie... nie jestem pewien – zająknął się Tułacz.  
- Sprowadźcie tu kobietę i chłopca, którzy sprzedają malachy pod żelazną bramką – rzekł Rumfoord. – Sprowadźcie Be i chłopca Chrono.  
Tułacz z Kosmosu, Winston Niles Rumfoord i Kazak stali na podeście przed rezydencją. Podest biegł na wysokości wzroku stojącej publiczności. Podest przed rezydencją był jedną z części kompleksowego systemu pomostów, ramp, drabin, platform, schodów i estrad, który rozgałęział się na całą posesję, sięgając wszystkich zakamarków.  
System umożliwiał swobodną i efektowną cyrkulację Rumfoorda po włościach, cyrkulację, której tłum nie był w stanie zakłócić. Pozwalał również na to, by Rumfoord ukazał się choć na chwilę każdemu z obecnych na terenie widzów.  
System nie był podwieszony magnetycznie, choć z pozoru zakrawał na cud lewitacji.

Rzekomy cud umożliwiło przemyślne wykorzystanie farby. Wszystkie wsporniki były jednolicie czarne, a wszystko, co się na nich opierało – olśniewająco złote.

Kamery telewizyjne i mikrofony na wysięgnikach mogły poruszać się swobodnie po całej konstrukcji.

Podczas materializacji nocnych każdy element konstrukcyjny opisany był wianuszkami mleczyńskich lamp elektrycznych.

Tułacz z Kosmosu był trzydziestą pierwszą z kolei osobą, którą Rumfoord wezwał do siebie, na podest.

Wysłany przed chwilą człowiek z obsługi miał przyprowadzić z budki z malachami osoby trzydziestą drugą, trzydziestą trzecią, które także czekało dostąpienie zaszczytu.

Rumfoord wyglądał marnie. Były błady i, choć uśmiechał się jak zwykle, sprawiał wrażenie, jakby za maską uśmiechu z całej siły zaciskał zęby. Jego błoga pogoda ducha zmieniła się we własną karykaturę, zdradzając fakt, że absolutnie nic nie jest w porządku.

Mimo to słynny uśmiech Rumfoorda nie miał końca. Wspaniale snobistyczny zadowolacz tłumów przytrzymał za obrozę wielkiego psa Kazaka. Obroża była tak spleciona, że w razie potrzeby wgryzała się ostrzegawczo w gardło psa. Ostrzeżenie takie było akurat bardzo na miejscu, gdyż Tułacz z Kosmosu wyraźnie nie przypadł Kazakowi do gustu.

Uśmiech zamarł na chwilę, przypominając tłumom, jak wielki ciężar Rumfoord dźwiga dla ich dobra, ostrzegając tłumy, że być może nie zdoła dźwigać go po wsze czasy.

Rumfoord trzymał w dłoni mikrofon z nadajnikiem wielkości jednopensowej monety. Ilekroć nie życzył sobie, by jego głos dotarł do tłumy, po prostu zaciskał monetę w garści.

Zacisnąwszy monetę w garści, Rumfoord wygłaszał teraz pod adresem Tułacza z Kosmosu uszczypliwe komentarze, które zbulwersowałyby tłum, gdyby tłum mógł je usłyszeć.

– Nareszcie masz swój dzień, co? – mówił Rumfoord. – Ledwie się pojawiłeś i od razu festyn uwielbienia. Ten tłum cię wprost ubóstwia. A ty? Czy ubóstwiasz tłumy?

Radosne emocje, których przez cały dzień doświadczał, zredukowały psychikę Tułacza do poziomu dziecka – do stanu, w którym ironia, a nawet drwina, nie sięgają celu. Tułacz był w swym niespokojnym życiu jeńcem rozmaitych rzeczy. Teraz był jeńcem tłumy, który uważał go za istny cud.

– Oni są świetni – rzekł w odpowiedzi na ostatnie pytanie Rumfoorda. – Są fantastyczni.

– Tak, to fantastyczna ferajna – przyznał Rumfoord. – Co do tego nie ma dwóch zdań. Siłłem się, żeby znaleźć dla nich odpowiednie określenie, a ty mi je tu przynosisz prosto z kosmosu.

„Fantastyczni”, tacy oni właśnie są. – Rumfoord wyraźnie bujał myślami całkiem gdzie indziej.

Tułacz z Kosmosu, jako indywidualność, nie bardzo go interesował – Rumfoord prawie na niego nie patrzył. Nie wydawał się też zbyt przejęty perspektywą rychłego nadejścia kobiety i dziecka Tułacza z Kosmosu.

– Gdzie oni są, gdzie oni są? – zwrócił się Rumfoord do stojącego na dole człowieka z obsługi. – Prędzej, prędzej.

Tułacz z Kosmosu uważał wszystko, co go od rana spotkało, za tak budujące, twórcze i świetnie zainscenizowane, że wstyd mu było o cokolwiek pytać. Obawiał się, że zadawanie pytań poczytane zostanie za dowód niewdzięczności.

Zdawał sobie sprawę z tego, że ponosi wielką odpowiedzialność za przebieg ceremonii i że najlepiej będzie trzymać język za zębami, odzywać się tylko w odpowiedzi na pytania, wypowiadając się przy tym krótko i bez ozdóbek.

W głowie Tułacza z Kosmosu bynajmniej nie roilo się od pytań. Fundamentalna zasada jego roli w ceremonii była oczywista – równie przejrzysta i praktyczna jak trójnożny zydel do dojenia krów. Cierpiał sownie i teraz był za to sownie wynagradzany.

Nagła odmiana losu to zawsze spektakl pierwsza klasa. Tułacz uśmiechnął się, rozumiejąc zachwyty tłumy – udając, że sam jest częścią tłumy i zachwyca się razem z nim.

Rumfoord odczytał myśli Tułacza z Kosmosu.

– W drugą stronę też by im się podobało – zauważył.

– W drugą stronę? – zdziwił się Tułacz.

– Gdyby najpierw była wielka nagroda, a później wielkie cierpienie – wyjaśnił Rumfoord. – Oni lubią kontrasty. Porządek zdarzeń nie robi im najmniejszej różnicy. Ważne są emocje

związane z nagłym zwrotem...

Rumfoord rozwarł dłoń, uwalniając mikrofon. Druga dłoń przyzywała kogoś kaznodziejskim gestem. Przyzywała Be i chłopca Chrono, których windowano właśnie na pozłacaną sieć pomostów, ramp, drabin, podestów, schodów i estrad.

- Tędy proszę. Nie możemy tu siedzieć do rana - upomniał ich Rumfoord tonem zrzedliwego belfra.

Podczas przerwy Tułacz z Kosmosu po raz pierwszy poczuł błogi smak budującej przyszłości, która czekała go na Ziemi. W otoczeniu tak przychylnym, entuzjastycznym i dobrotliwym można było wieść żywot nie tylko budujący, lecz wprost doskonały.

Tułacz z Kosmosu został już wyposażony w piękny nowy strój i oszałamiającą pozycję życiową, a przywrócenie mu kobiety i syna było kwestią najbliższych minut.

Brakowało jedynie dobrego przyjaciela. Na tę myśl Tułacza z Kosmosu przeszedł dreszcz.

Drżał, gdyż czuł w głębi serca, że jego najlepszy przyjaciel, Stony Stevenson, ukryty gdzieś na terenie posesji, tylko czeka na sygnał, aby mógł się ukazać.

Tułacz z Kosmosu uśmiechnął się, gdyż oczami wyobraźni zobaczył wejście Stony'ego.

Stony zbiegnie po rampie, roześmiany i lekko wstawiony. „Wuju, kurwa twoja mać! - ryknie Stony prosto w nagłośnienie. - Bóg mi świadkiem, szukałem cię po wszystkich zafajdanych knajpach tej zasranej Ziemi, a ty sobie przez cały pierdolony czas wisiałeś na Merkurym!”

W miarę jak Be i Chrono zbliżali się do Rumfoorda i Tułacza z Kosmosu, Rumfoord się od nich oddalał. Gdyby odsunął się od Be, chłopca Chrono i Tułacza na zwykłą odległość ramienia, jego odosobnienie byłoby w pełni zrozumiałe. Złożony układ konstrukcyjny pozwolił mu jednak na pozostawienie wspomnianej trójki w sporej odległości, odległości, która za sprawą rokokowych i bogato symbolicznych elementów konstrukcji, wydawała się wręcz nieznośnie wielka.

Był to niewątpliwie teatr wielkiej klasy, niezależnie od uszczypliwej opinii dr Maurice'a Rosenau (op. cit.): „Ludzie, którzy z nabożeństwem obserwują akrobacje Winstona Nilesa Rumfoorda na jego prywatnej ścieżce zdrowia w Newport, to ci sami idioci, których widuje się w sklepach z zabawkami, nabożnie zapatrzonych w nakręcane kolejki, pędzące - ciuch-ciuch-ciuch - przez kartonowe tunele, przez estakady z wykałaczek, przez papierowe miasteczka, I znów przez tunele. Czy kolejka - czy Winston Niles Rumfoord - wciuchcia na nowo w pole widzenia? O, mirabile dictu!... - Patrzcie! Jest!”

Z podestu przed rezydencją Rumfoord wkroczył na łuk, biegnący okrakiem ponad grzebieniem bukszpanowego żywopłotu. Łuk przechodził w pomost długości dziesięciu stóp, który sięgał pnia czerwonego buka. Średnica pnia wynosiła cztery stopy. Do pnia przyśrubowane były pozłacane klamry.

Rumfoord przywiązał Kazaka do najniższej z klamer, po czym wspiął się po pozostałych i zniknął z pola widzenia, jak diabeł w tabakierce.

Zaszyty w koronę drzewa, przemówił.

Jego głos niósł się jednak nie z korony drzewa, lecz z rozmieszczonych na murach trąb anielskich.

Tłum oderwał wzrok od liściastej korony drzewa i wpił się nim w najbliższe głośniki.

Tylko Be, Chrono i Tułacz z Kosmosu nadal spoglądali w górę, ku miejscu, gdzie rzeczywiście znajdował się Rumfoord. Działali nie tyle pod wpływem poczucia realizmu, co pod wpływem zażenowania. Spoglądając w górę, członkowie tej małej rodziny unikali patrzenia na siebie wzajemnie.

Żadne z trójki nie miało najmniejszego powodu, by się cieszyć z ponownego spotkania.

Be nie czuła najłżejszej inklinacji do cherlawego, brodatego, uszczęśliwionego bubka w kanarkowych kałesonach. Marzył jej się raczej postawny, gniewny, nieprzejednany wolnomyśliciel.

Chłopiec Chrono potraktował brodacza z jawną wrogością, jak intruza, który zamierza zniszczyć subtelne więzy łączące go z matką. Chrono ucałował talizman, życząc ojcu - jeśli istotnie był to jego ojciec - żeby go natychmiast szlag trafił.

A sam Tułacz z Kosmosu - choć szczerze się starał - nie zdołał dostrzec w tej chmurnej, wrogiej parze niczego, co wybrałby sobie z własnej i nieprzymuszonej woli.

Zupełnie przypadkowo wzrok Tułacza spotkał się z jedynym dobrym okiem Be. Należało coś powiedzieć.

- Co słyszeć? - powiedział Tułacz z Kosmosu.

- A co u ciebie? - powiedziała Be.

Oboje znów spojrzeli w górę, na koronę drzewa.

- O szczęśliwi, upośledzeni bracia - obwieścił głos Rumfoorda. - Podziękujmy Bogu, Bogu, który ceni sobie nasze dzięki tak jak potężna rzeka Missisipi ceni sobie kroplę dżdżu, że nie jesteśmy jak Malachi Constant.

Tułacza z Kosmosu lekko rozboleł kark. Zniżył wzrok. Spojrzenie jego przykuła długa, prosta pochylnia, biegnąca w niezbyt wielkim oddaleniu od miejsca, w którym stał. Spojrzenie Tułacza podążyło wzdłuż pochylni.

Pochylnia kończyła się u stóp najwyższej wolno stojącej drabiny na Ziemi. Drabina także pomalowana była na złoto.

Spojrzenie Tułacza, z Kosmosu wspięło się po drabinie aż do maleńkich drzwiczek ustawionego na szczycie kolumny statku kosmicznego. Tułacz zastanowił się, czy jest na świecie człowiek, który miałby dość odwagi lub powodów, aby wspiąć się po tak zawrotnej drabinie do tak maleńkich drzwiczek.

Tułacz z Kosmosu ponownie spojrział na tłum. Może gdzieś tam, wśród tłumu jest Stony Stevenson. Może Stony czeka na koniec spektaklu, żeby dopiero wtedy ujawnić się swemu najlepszemu i jedynemu przyjacielowi z Marsa.

## Rozdział 11

Dlaczego nienawidzimy Malachiego Constanta?

„Niech mi pan wymieni jedną dobrą rzecz, którą pan zrobił w swoim życiu”.

(-) Winston Niles Rumfoord

A oto jak brzmiało kazanie.

- Malachi Constant napawa nas niesmakiem - obwieścił Winston Niles Rumfoord z wyżyn drzewa - ponieważ wszystkie fantastyczne owoce swego fantastycznego szczęścia obrócił na sfinansowanie bezkresnego spektaklu o tym, że człowiek jest świnia. Lubował się w pochlebstwach. Lubował się w występnych kobietach. Lubował się w orgiach, alkoholu i narkotykach. Lubował się we wszelkich znanych formach lubieżnego bezeceństwa.

U szczytu swej fortuny Malachi Constant wart był więcej niż stany Utah i Północna Dakota razem wzięte. Wartością moralną nie przewyższał jednak, śmiem twierdzić, najbardziej zdeprawowanej myszki polnej w którymkolwiek z wymienionych stanów.

Malachi Constant napawa nas gniewem - obwieścił Rumfoord z wyżyn drzewa - ponieważ nie zrobił nic, by zasłużyć na swoje miliardy i ponieważ ani cząstki ze swych miliardów nie wykorzystał z myślą o innych lub z odrobiną wyobraźni. Był mniej więcej tak samo życzliwy ludziom jak Maria Antonina i równie twórczy jak profesor kosmologii w katedrze mumifikacji.

Malachi Constant napawa nas nienawiścią - obwieścił Rumfoord z wyżyn drzewa - ponieważ bez cienia wahania przyjął fantastyczne owoce swej fantastycznej fortuny, jak gdyby los był palcem bożym. Dla nas, dzieci Kościoła Boga Doskonale Obojętnego, nie ma nic bardziej okrutnego, bardziej niebezpiecznego, bardziej bluźnierczego niż wiara w to, że los, wszystko jedno, dobry czy zły, to palec boży!

Los, dobry czy zły - obwieścił Rumfoord z wyżyn drzewa - to nie jest palec boży.

Los - obwieścił Rumfoord z wyżyn drzewa - to kierunek, w którym wieje wiatr i osiada kurz w całe wieki po przejściu tamtędy Boga.

Tułaczu z Kosmosu! - zawołał Rumfoord z wyżyn drzewa. Tułacz z Kosmosu nie słuchał

zbyt pilnie. Miał słabą zdolność koncentracji – być może za długo był w jaskiniach albo na pigułach, albo też w Marsjańskich Siłach Zbrojnych.

Obserwował chmury. Były to śliczne przedmioty, a niebo, po którym dryfowały, wydało się zgłodniałemu barw Tułaczowi przejmująco lazuruowe.

– Tułacz z Kosmosu! – ponowił wezwanie Rumfoord.

– Ej, ty tam, w żółtym garniturku! – szturchnęła Tułacza Be. – Pobudka!

– Słucham? – ocknął się Tułacz z Kosmosu.

– Tułacz z Kosmosu! – ryknął Rumfoord. Tułacz z Kosmosu wyprężył się na baczność.

– Tak jest, sir? – odkrzyknął w stronę liściastej altany. Zabrzmiało to szczerze, radośnie i sympatycznie. Przed nosem Tułacza zadyndał nagle mikrofon przyczepiony do końca długiej żerdzi.

– Tułacz z Kosmosu! – zakrzyknął ponownie Rumfoord, już z lekka poirytowany, gdyż przebieg ceremonii został zakłócony.

– Obecny, sir! – odkrzyknął Tułacz z Kosmosu. Jego odpowiedź ogłuszającym rykiem rozniosła się z megafonów.

– Kim jesteś? – zapytał Rumfoord. – Jak brzmi twoje prawdziwe imię?

– Nie znam swojego prawdziwego imienia – odparł Tułacz z Kosmosu. – Wołali mnie Wuju.

– Co się z tobą działo. Wuju, zanim przybyłeś ponownie na Ziemię? – indagował Rumfoord.

Oblicze Tułacza z Kosmosu rozblęskło w uśmiechu. Chodziło najwyraźniej o powtórzenie tego samego prostego zdania, które wywołało eksplozję radości, tańca i śpiewu na Cape Cod.

– Padłem ofiarą szeregu wypadków, jak każdy – odparł.

Tym razem obeszło się bez radości, tańca i śpiewów, ale tłum wyraźnie aprobował wyznanie Tułacza z Kosmosu. Podbródki poszły w górę, oczy zogromniały, nozdrza się rozděły. Okrzyk nie nastąpił, gdyż tłum nie chciał uronić ani słowa z tego, co Rumfoord i Tułacz z Kosmosu mogli mieć do powiedzenia.

– Ofiarą szeregu wypadków, tak? – powtórzył Rumfoord z wyżyn drzewa. – A z wszystkich tych, jak ty to mówisz, wypadków, który uznałbyś za najbardziej znaczący?

Tułacz z Kosmosu przekrzywił głowę. – Musiałbym pomyśleć – rzekł.

– Oszczędzę ci fatygi – powiedział Rumfoord. – Najbardziej znaczącym z wypadków, jakie cię dotknęły, były twoje narodziny. Czy chciałbyś usłyszeć ode mnie, jak cię nazwano, gdy przyszedłeś na świat?

Tułacz z Kosmosu wahał się tylko przez krótką chwilę, a jedyną przyczyną jego wahania był obawa, że może złamać sobie wielce obiecującą ceremonialną karierę, mówiąc nie to, co trzeba.

– Bardzo proszę – odparł.

– Nazwano cię Malachi Constant – obwieścił Rumfoord z wyżyn drzewa.

Zakładając, że tłumy w ogóle mogą być dobre, tłumy, które Winston Niles Rumfoord ściągał do Newport, były dobrymi tłumami. Nie kierowały się świadomością tłumy. Poszczególni ich uczestnicy nie tracili panowania nad własnymi świadomościami, a i Rumfoord nigdy nie zachęcał ich do działania jak jeden mąż – zwłaszcza jeśli idzie o wiwaty i gwizdy.

Kiedy do tłumy dotarł fakt, że Tułacz z Kosmosu to nikt inny tylko obrzydliwy, irytujący i nienawistny Malachi Constant, uczestnicy tłumy zareagowali na niego cicho, z rezygnacją i każdy po swojemu – najogólniej rzecz biorąc, ze współczuciem. Constanta w wydaniu symbolicznym wieszali w końcu po domach i miejscach pracy, zgodnie ze swymi, przyzwoitymi na ogół, sumieniami. I choć wieszali jego symbole z niemalą przyjemnością, niewielu tylko wierzyło, że prawdziwy Constant z krwi i kości istotnie zasługiwał na powieszenie. Wywieszanie Malachiego Constanta w wydaniu symbolicznym było demonstracyjnym sprzeciwem wobec nakazu strojenia choinek i malowania pisanek.

Rumfoord z wyżyn swojego drzewa nie wyrzekł ani słowa na umniejszenie ich współczucia.

– Spotkał pana, panie Constant, wypadek szczególny – rzekł z sympatią. – Stał się pan centralnym symbolem nieprawości, i to dla gigantycznej sekty religijnej.

Jako symbol, panie Constant, nie byłby pan dla nas aż tak atrakcyjny – ciągnął Rumfoord – gdybyśmy w pewnym stopniu nie darzyli pana sympatią. Musimy darzyć pana sympatią, gdyż wszystkie pańskie niebывale potknięcia są potknięciami właściwymi istotom ludzkim od



początku czasu.

Za kilka minut – obwieścił Rumfoord z wyżyn drzewa – przejdzie pan, panie Constant, po pomostach i rampach do tamtej wysokiej złotej drabiny, wespnie się pan na tę drabinę, wejdzie pan do środka statku kosmicznego i odleci na Tytana, ciepły i żyzny księżyc planety Saturn. Tam żyć pan będzie w spokoju i wygodzie, lecz na wygnaniu z macierzystej Ziemi.

Uczyni pan to wszystko z własnej woli, panie Constant, po to, by Kościołowi Boga Doskonale Obojętnego dostarczyć spektaklu o pełnej godności samoofierze, który jego dzieci będą pamiętać i rozpamiętywać po wsze czasy.

Ku swej duchowej satysfakcji – rzekł Rumfoord z wyżyn drzewa – uwierzmy, że zabiera pan z sobą wszystkie chybione poglądy o losie, całe źle wykorzystane bogactwo i władzę, a także wszelkie sprzeciw budzące rozrywki.

Człowiek, który był niegdyś Malachim Constantem, który był niegdyś Wujem, który był niegdyś Tułaczem z Kosmosu, a teraz na powrót stał się Malachim Constantem – człowiek ów poczuł się bardzo malutki z chwilą, gdy ponownie przedstawiono go jako Malachiego Constanta. Być może doznałby nawet pewnych interesujących emocji, gdyby Rumfoord posłużył się innym harmonogramem. Lecz Rumfoord poinformował go o próbie, jaką ma przejść, w kilka zaledwie sekund po oświadczeniu mu, że jest Malachim Constantem – zaś próba, której miał zostać poddany, była na tyle przerażająca, że całkowicie ośwładnęła uwagę Constanta.

Chwila próby miała nadejść nie w perspektywie lat, miesięcy czy dni – lecz za kilka minut.

I – jak każdy skazaniec – Malachi Constant bez reszty oddał się studiom nad urządzeniem, które stanowić miało arenę jego próby – rezygnując z jakichkolwiek innych zainteresowań.

Na początek – o dziwo – najbardziej zmartwiło go to, że może się potknąć; że będzie zbyt intensywnie myślał o prostym procesie marszu, wskutek czego jego stopy przestaną się poruszać naturalnie, a on sam potknie się na zdrewniałych nogach.

– Nie potknie się pan, panie Constant – uspokoił go Rumfoord z wyżyn drzewa, odczytawszy myśli Constanta. – Nie pozostał panu żaden inny cel, nie pozostało panu nic innego do zrobienia. Podczas gdy my będziemy przyglądać się w milczeniu, pan, stawiając stopy jedna przed drugą, przeistoczy się w najbardziej pamiętną, najwspanialszą, najpełniejszą znaczenia istotę ludzką naszych czasów.

Constant odwrócił się ku swojej smagłej kobiecie i dziecku. Patrzyli mu prosto w oczy. Z ich spojrzeń Constant wywnioskował, że Rumfoord mówi prawdę: że żadna droga, z wyjątkiem drogi na statek kosmiczny, nie stoi już dla niego otworem. Beatrycze i Chrono mieli wybitnie cyniczny stosunek do obrzędów – nie obejmowali nim jednak występujących w ramach obrzędów aktów odwagi.

Oczekiwali od Malachiego Constanta, że zachowa się on jak należy.

Constant precyzyjnymi kolistymi ruchami pocierał kciuk lewej dłoni palcem wskazującym. Przez blisko dziesięć sekund śledził tę bezpłodną czynność.

Następnie opuścił ramiona, uniósł wzrok i z determinacją ruszył w stronę statku kosmicznego.

Z chwilą, gdy jego lewa stopa dotknęła rampy, głowę Constanta wypełnił dźwięk, którego Constant nie słyszał już od trzech ziemskich lat. Dźwięk pochodził z anteny pod ciemieniem Constanta. Z wyżyn swego drzewa, Rumfoord przesłał Sygnały do anteny Constanta za pomocą maleńkiej skrzynki, którą miał w kieszeni.

Wypełniając głowę Constanta odgłosem werbli, umiłał mu długi i samotny marsz. Oto, co werble miały Constantowi do powiedzenia:

Rampa to tam, to tam, to tam;

Rampa to tam, to tam, to tam.

Rampa to tam!

Rampa to tam!

Rampa to, rampa to tam!

Werble ucichły w chwili, gdy dłoń Malachiego Constanta zamknęła się po raz pierwszy wokół połączanego szczebla najwyższej wolno stojącej drabiny świata. Constant uniósł wzrok, a perspektywa sprawiła, że wierzchołek drabiny wydał mu się cieniutki jak igła. Constant na moment oparł czoło o szczebel, do którego przywierała jego dłoń.

- Chciałby pan może coś powiedzieć, panie Constant, przed wejściem na drabinę? - zapytał Rumfoord z wyżyn drzewa.

Przed Constantem ponownie zadyndał mikrofon na końcu długiej żerdzi. Constant oblizał usta.

- Zamierza pan coś powiedzieć, panie Constant? - dopytywał się Rumfoord.

- Jeśli zamierza pan mówić - poinstruował Constanta technik obsługujący mikrofon - proszę mówić normalnym tonem, zachowując odległość około sześciu cali od mikrofonu.

- Zamierza pan przemówić do nas, panie Constant? - nie ustępował Rumfoord.

- Ja... Pewnie nie ma sensu tego mówić - rzekł cicho Constant - ale chciałbym mimo wszystko powiedzieć, że nie zrozumiałem nic z tego, co mnie spotkało od chwili przybycia na Ziemię.

- Nie doznaje pan poczucia uczestnictwa - uściślił Rumfoord z wyżyn drzewa. - Czy mam rację?

- Nieważne - odparł Constant. - I tak idę do góry.

- No cóż - rzekł Rumfoord z wyżyn drzewa - jeśli czuje pan, że wyrządzamy tu panu jakąś krzywdę, proszę nam wymienić choć jeden naprawdę dobry uczynek, jakiego pan dokonał w którymkolwiek momencie swojego życia, a my zdecydujemy, czy ów okrucuch dobroci może zwolnić pana z tego, cośmy tu dla pana zaplanowali.

- Dobroci? - powtórzył Constant.

- Tak - odparł dobrodusznie Rumfoord. - Niech mi pan wymieni jedną dobrą rzecz, jaką pan w życiu zrobił, cokolwiek pan z tego życia pamięta.

Constant zaczął intensywnie przeszukiwać pamięć. Najwięcej miejsca zabierały tam wspomnienia o tym, jak przemykał się bezkresnymi korytarzami w czeluściach jaskiń. Trafił na kilka okazji do czegoś, co od biedy mogłoby ująć za dobroć, w związku z Boazem i harmoniami. Ale nie mógłby uczciwie powiedzieć sobie, że w pełni wykorzystał choć jedną z szans okazania dobroci.

Pomyślał więc o Marsie, o wszystkich rzeczach zawartych w liście, który sam do siebie napisał. Bez wątplenia, wśród innych informacji, musiało tam być i coś o jego własnej dobroci. I nagle przypomniał mu się Stony Stevenson - przyjaciel. Miał przyjaciela, a to z pewnością było dobre.

- Miałem przyjaciela - oświadczył Malachi Constant do mikrofonu.

- Jak on się nazywał? - zapytał Rumfoord.

- Stony Stevenson - odparł Constant.

- Jednego jedynego przyjaciela? - zapytał Rumfoord z wyżyn drzewa.

- Jednego jedynego - potwierdził Constant. Jego biedną duszę zalała fala błogości, gdyż uświadomił sobie, że jeden jedyny przyjaciel w zupełności zaspokaja ludzkie zapotrzebowanie na przyjaźń.

- Pańskie pretensje do dobroci okażą się więc usprawiedliwione, bądź nie, zależnie od tego, jak dobrego przyjaciela miał w panu Stony Stevenson? - upewnił się Rumfoord z wyżyn drzewa.

- Tak - odparł Constant.

- Czy przypomina pan sobie, panie Constant, pewną egzekucję na Marsie? - zapytał Rumfoord z wyżyn drzewa. - Egzekucję, w której pełnił pan rolę kata? Na oczach trzech pułków Marsjańskich Sił Zbrojnych zadusił pan gołymi rękami pewnego człowieka przy palu.

Było to jedyne wspomnienie, które Constant usilnie próbował wymazać z pamięci. Odniósł w tej mierze spory sukces, toteż jego obecne gorączkowe szperanie w pamięci było absolutnie szczere. Nie był pewien, czy taka egzekucja istotnie miała miejsce.

- Ja... Wydaje mi się, że pamiętam - odparł.

- No cóż... człowiekiem, którego zadusił pan gołymi rękami, był pański wspaniały i bliski przyjaciel, Stony Stevenson - rzekł Winston Niles Rumfoord.

Malachi Constant szlochał wspinając się po szczeblach złoconej drabiny. W połowie drogi przystanął, a wtedy Rumfoord ponownie wezwał go przez megafony.

- Czy czuje się pan teraz nieco bardziej zaangażowanym uczestnikiem zdarzeń, panie Constant?

Pan Constant musiał przyznać, że tak. Był teraz całkowicie świadom własnej nikczemności

i pełen gorzkiej sympatii dla każdego, kto uznałby, za godziwe potraktować go z całą surowością;

Kiedy zaś dotarł na szczyt, dowiedział się od Rumfoorda, że « ma na razie nie zamykać wjazdu, gdyż jego kobieta i dziecko wkrótce tam dobiegą.

Constant przysiadł na progu statku kosmicznego, do którego przywiodła go drabina, i zaczął słuchać zwięzłego kazania Rumfoorda na temat smagłej kobiety zwanej Be. Constant nie słuchał kazania zbyt uważnie. Jego oczy odbierały właśnie kazanie znakomicie większe i bardziej kojące, ucieleśnione w panoramie miasta, zatoki i wysp daleko, daleko w dole.

Kazanie tego widoku zawierało myśl, że nawet człowiek nie mający we Wszechświecie ani jednego przyjaciela, może mimo wszystko dostrzec w swej macierzystej planecie tajemnicze, rozdzierające piękno.

– Opowiem wam teraz – rzekł Winston Niles Rumfoord z wyżyn drzewa, o ileż niżej od Malachiego Constanta – o Be, kobiecie handlującej przed bramą malachami, posępnej kobiecie, która teraz, wraz ze swym synem, ciska na nas wszystkich błyskawice spojrzeń.

Przed laty, w drodze na Marsa, Malachi Constant zmusił ją, by okazała mu względy, a ona urodziła mu tego oto syna. Wcześniej była moją żoną i panią tej posiadłości. Jej prawdziwe imię brzmi Beatrycze Rumfoord.

Przez tłum przetoczył się głuchy jęk. Czy może dziwić fakt, że zakurzone marionetki innych religii trzeba było z braku publiki odstawić do lamusa, a wszystkie oczy zwróciły się w stronę Newport? Przywódca Kościoła Boga Doskonale Obojętnego nie tylko zdolny był przepowiadać przyszłość, nie tylko zwalczył najokrutniejszą z wszystkich niesprawiedliwości – niesprawiedliwość losu – ale jeszcze dysponował niewyczerpanym zasobem wciąż nowych, osłupiających rewelacji.

Był tak świetnie zaopatrzony w fantastyczny materiał informacyjny, że mógł z powodzeniem ściszyć głos, kiedy obwieszczał, że jednooka, złotozęba kobieta była niegdyś jego żoną i że Malachi Constant przyprawił mu rogi.

– Apeluję do was teraz, byście z pogardą przyjrżeli się jej życiu, tak jak od dawna już z pogardą śledzicie żywot Malachiego Constanta – zachęcał dobroduszenie Rumfoord z wyżyn drzewa. – Wywieście ją, jeśli wola, obok Malachiego Constanta. Wywieście ją zamiast chwostu przy zasłonach albo innym urządzeniu.

Występki Beatrycze to grzechy oziębłości – rzekł Rumfoord. – Jako młoda kobieta uznała się ona za tak świetnie wychowaną, że z obawy, by się nie pobrudzić, nie robiła absolutnie nic, ani też nie pozwalała innym dotknąć się choćby małym palcem. Dla młodej Beatrycze życie było zbyt pełne zarazków i wulgarności, aby je mogła nazwać choćby znośnym.

My, dzieci Kościoła Boga Doskonale Obojętnego, potępiamy ją bez pardonu za to, że nie godziła się wystawić swej wyimaginowanej czystości na próbę życia, tak samo jak potępiamy Malachiego Constanta za to, że lubował się w brudach życia.

Każdym swym gestem Beatrycze Rumfoord dawała światu do zrozumienia, że pod względem intelektualnym, moralnym i fizycznym dokładnie odpowiada wyobrażeniu Boga o ulepszonej wersji istoty ludzkiej i że reszta ludzkości potrzebować będzie następnych dziesięciu tysięcy lat, aby jej dorównać. Raz jeszcze mamy przed sobą przykład osoby pospolitej i pozbawionej wyobraźni, która się podlizuje Panu Bogu. Sugestia, jakoby Bóg Wszechmogący kochał i podziwiał Beatrycze za jej niedotykałskie maniery, jest co najmniej tak samo dyskusyjna, jak sugestia, że Bóg Wszechmogący życzył sobie, aby Malachi Constant był bogaty. Pani Rumfoord – zaapelował Winston Niles Rumfoord z wyżyn drzewa. – Zapraszam teraz panią i jej syna, abyście śladem Malachiego Constanta udali się na statek, którego stacją przeznaczenia jest Tytan. Czy miałaby pani ochotę powiedzieć nam coś przed odjazdem? Zapadła długa cisza, podczas której matka i syn zbliżyli się do siebie i, ramię przy ramieniu, spojrzeli na świat całkowicie odmieniony w świetle ostatnich rewelacji.

– Czy zamierza pani przemówić do nas, pani Rumfoord? – zapytał Rumfoord z wyżyn drzewa.

– Tak – odparła Beatrycze. – Powiem krótko. Wierzę, że wszystko, co pan o mnie powiedział, jest prawdą, ponieważ kłamie pan bardzo rzadko. Ale gdy syn mój i ja wejdziemy na tamtą drabinę, nie zrobimy tego ani dla pana, ani dla pańskich idiotycznych gapiów. Zrobimy to dla siebie... sobie samym i wszystkim, którzy chcą popatrzeć, udowodnimy, że nie boimy się

niczego. Serca nasze nie będą krwawić rozstając się z tą planetą. Budzi ona w nas dokładnie takie samo obrzydzenie, jakie my, pod pańskim przewodem, w niej budzimy.

Nie przypominam sobie dawnych dni, kiedy byłam panią tej posiadłości, kiedy nie robiłam absolutnie nic i nie znosiłam, aby mnie dotykano. Ale w chwili, gdy mi pan powiedział, że taka właśnie byłam, pokochałam siebie z całej duszy. Rodzaj ludzki to nędzne szumowiny, cała Ziemia jest taka, i pan też.

Beatrycze i Chrono pośpiesznie minęli pomosty i rampy, dotarli do drabiny i wspięli się na jej szczyt. W drzwiach statku bez słowa powitania otarli się o Malachiego Constanta. Zniknęli w środku.

Constant podążył za nimi i wspólnie przyjrzeni się wnętrzu.

Stan wnętrza zaskoczył ich – tak jak zaskoczyłby, i to przede wszystkim, dozorców posiadłości. Pozornie niedostępny na szczycie kolumny, na poświęconym terenie patrolowanym przez strażników, statek kosmiczny był najwyraźniej areną jednej lub może kilku szaleńczych prywatek.

Wszystkie prycze były rozbebeszone. Materace pomięte i powgniatane w góry i doły. Pościel poplamiona szminką i pastą do butów.

Smażone małże chrupiąco rozłaziły się pod stopami.

Po całej podłodze wałały się: dwie litrowe butelki po Górskiej Poświacie, jedna półlitrowka Pocięchy Południa i dwanaście puszek po piwie – wszystko puste.

Na białej ścianie przy drzwiach widniały wypisane szminką dwa imiona: „Bud i Sylwia”. A z osłony głównego lewarka na środkowym pulpicie zwisał czarny biustonosz.

Beatrycze pozbierała butelki i puszki po piwie. Wyrzuciła je przez właz. Zdjęła biustonosz i wywiesiła go na zewnątrz, czekając pomyślnego wiatru.

Malachi Constant, pośród westchnień, potrząsania głową i żaloby po Stony Stevensonie, zatrudnił swe stopy w roli szczotek do zamiatania. Zepchnął smażone mięczaki w poblizę włazu.

Chrono siedział na pryczy, pocierając talizman.

– Jedźmy już, mama – rzekł z wysiłkiem. – Jedźmy, bo zacznę wrzeszczeć.

Beatrycze puściła biustonosz. Prąd powietrza porwał go i przeniósłszy ponad tłumem, zawiesił na drzewie sąsiadującym z tym, na którym siedział Rumfoord.

– Żegnajcie czyści, mądrzy i przemili ludzie – powiedziała Beatrycze.

## Rozdział 12

### Dzentelmen z Tralfamadorii

„Mówiąc punktualnie – do widzenia”.

(-) Winston Niles Rumfoord

Saturn ma dziewięć księżyców, z których największym jest Tytan.

Tytan jest niewiele tylko mniejszy od Marsa.

Tytan jest jedynym księżycem w Systemie Słonecznym który posiada atmosferę. Otacza go mnóstwo tlenu do oddychania.

Atmosfera Tytana przypomina atmosferę na tyłach ziemskiej piekarni w wiosenny poranek.

Tytan posiada w swoim jądrze naturalny piec chemiczny, który zapewnia stałą temperaturę powietrza. Temperatura powietrza na Tytanie wynosi sześćdziesiąt siedem stopni Fahrenheita.

Na Tytanie znajdują się trzy morza, każde o powierzchni równej ziemskiemu jezioru

Michigan. Wody wszystkich trzech mórz są orzeźwiająca i czyste jak szmaragd. Morza noszą następujące nazwy: Morze Winstona, Morze Nilesa, Morze Rumfoorda.

Znajduje się tam również archipelag dziewięćdziesięciu trzech sadzawek i jezior – czyli czwarte morze w stadium powstawania. Archipelag nosi nazwę Basenów Kazaka.

Morze Winstona, Morze Nilesa, Morze Rumfoorda i Baseny Kazaka łączą się z sobą trzema wielkimi rzekami. Rzeki te, wraz z dopływami, są kapryśne – szumne, niespokojne i rozczłonkowane. Kaprysy ich zależą od niesfornie zmiennych wpływów ośmiu pozostałych księżyców, a także od przytłaczającego wpływu Saturna, którego masa dziewięćdziesięciopięciokrotnie przewyższa masę Ziemi. Nazwy rzek brzmią: Rzeka Winstona, Rzeka Nilesa i Rzeka Rumfoorda.

Są tam lasy, łąki i góry.

Najwyższą górą jest Szczyt Rumfoorda, wysokości dziewięciu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu jeden stóp.

Tytan oferuje możliwość obejrzenia niezrównanego obrazu najpiękniejszego zjawiska w Systemie Słonecznym – pierścieni Saturna. Owe oszałamiające obręcze mają średnicę czterdziestu tysięcy mil przy grubości niewiele większej niż grubość ostrza żyłki.

Na Tytanie pierścienie te noszą nazwę Tęczy Rumfoorda.

Saturn zakreśla krąg wokół Słońca.

Czyni to raz na dwadzieścia dziewięć i pół ziemskiego roku.

Tytan zakreśla krąg wokół Saturna.

W rezultacie Tytan zakreśla spiralę wokół Słońca.

Winston Niles Rumfoord i jego pies Kazak byli zjawiskami falowymi. Pulsowali w odkształconych spiralach, które poczynają się na Słońcu, a kończą na Betelgeuzie. Ilekroć jakieś ciało niebieskie przecinało ich spirale, Rumfoord i jego pies materializowali się na tym ciele.

Z nie zbadanych dotychczas przyczyn spirale Rumfoorda, Kazaka i Tytana dokładnie się na siebie nakładały.

Wskutek tego Rumfoord i jego pies przebywali na Tytanie w stanie ciągłej materializacji.

Rumfoord i Kazak zamieszkiwali wyspę na Morzu Winstona, o milę od brzegu. Domostwem ich była wierna reprodukcja Tadź Mahal z ziemskich Indii.

Wznieśli ją robotnicy z Marsa.

Rumfoord z przewrotną fantazją ochrzcił swój dom na Tytanie mianem Kres Włóczęgi.

Do czasu pojawienia się na Tytanie Malachiego Constanta, Beatrycze Rumfoord i chłopca Chrono, zamieszkiwała tam tylko jedna osoba. Osoba ta miała na imię Salo. Salo był stary. Salo liczył sobie jedenaście milionów ziemskich lat.

Salo pochodził z innej galaktyki, z Małego Obłoku Magellana. Mierzył cztery i pół stopy wysokości.

Skóra Salo strukturą i barwą przypominała skórę ziemskiej mandarynki.

Salo miał trzy skoczne, sarnie nogi, ze stopami o niezwykle ciekawej budowie, gdyż każda z nich była nadymanym balonem. Nadymając balony stóp do rozmiarów szwabskiej szmacianki, Salo mógł spacerować po wodzie. Redukując je do rozmiarów piłki golfowej – mógł z wielką prędkością pokonywać tereny o twardej nawierzchni. Po całkowitym wypuszczeniu powietrza, stopy przemieniały się w ssawki. Salo mógł chodzić po ścianach.

Salo nie miał rąk. Salo miał troje oczu, przy czym oczy jego odbierały nie tylko tak zwane spektrum widzialne, lecz i promienie podczerwone, ultrafioletowe oraz X. Salo był punktualny – co oznacza, że żył zawsze tylko w danym punkcie czasu – i z upodobaniem powtarzał Rumfoordowi, że woli przyglądać się cudownym barwom na obrzeżach widma światła niż przyszłości czy też przeszłości.

Było w tym sporo kokieterii, gdyż Salo, żyjąc zawsze tylko w danym punkcie czasu, zdążył już zobaczyć znacznie więcej tak przeszłości, jak i przyszłości, niż Rumfoord. Znacznie lepiej zapamiętywał też to, co zobaczył.

Salo miał okrągłą czaszkę o konstrukcji kardanowej.

Jego aparatem głosowym był elektryczny artykulator dźwięków podobnych do odgłosu trąbki rowerowej. Salo znał pięć tysięcy języków, w tym pięćdziesiąt współczesnych języków ziemskich i trzydzieści jeden martwych języków ziemskich.

Salo nie mieszkał w pałacu, choć Rumfoord ofiarował się, że wystawi mu pałac. Salo mieszkał pod gołym niebem, w pobliżu statku kosmicznego, który przed dwustu tysiącami lat przywiózł go na Tytana. Statek Salo był latającym talerzem – prototypem marsjańskiej floty

inwazyjnej.

Salo miał ciekawą biografię.

W roku ziemskim 483 441 p.n.e. uznany został przez powszechną aklamację telepatyczną za najpiękniejszego, najzdrowszego, najszlachetniejszego osobnika swego gatunku. Konkurs, którego został laureatem, zorganizowany był przy okazji obchodów stumilionowej rocznicy panowania ekipy rządowej na jego macierzystej planecie w Małym Obłoku Magellana. Planeta nazywała się Tralfamadoria, co stary Salo przetłumaczył kiedyś Rumfoordowi jako słowo oznaczające zarówno „my wszyscy”, jak i „liczba 541”.

Rok na rodzinnej planecie Salo był – wedle jego własnych obliczeń – 3,6162 raza dłuższy niż rok ziemski – a zatem uroczystości, w których Salo uczestniczył, upamiętniały 361 620 000 rocznicę władzy ekipy rządowej. Salo określił niegdyś ów fenomen trwałego rządu jako anarchię hipnotyczną, odmówił jednak prośbie Rumfoorda o bliższy opis jej funkcjonowania.

– Albo od razu wiesz, o co chodzi – rzekł Salo – albo w ogóle nie ma sensu tego wyjaśniać, Kajtek.

Zadaniem Salo, z chwilą wybrania go na reprezentanta Tralfamadorii, było przenieść pewną zapieczętowaną wiadomość „Z Jednego Końca Wszechświata w Drugi”. Autorzy scenariusza obchodów rocznicowych nie byli na tyle ślepi, by wierzyć, że planowana trasa podróży Salo opisze cały Wszechświat. Była to wizja poetycka – podobnie jak cała ekspedycja Salo. Salo miał po prostu wziąć wiadomość i udać się z nią tak daleko i tak szybko, jak tylko na to pozwalały zdobycze techniczne Tralfamadorii.

Salo nie znał treści wiadomości. Jej autora określił Rumfoordowi jako „coś w rodzaju uniwersytetu – tylko że nikt na nim nie studiuje. Nie ma żadnych budynków ani urzędów. Są tam wszyscy – i nie ma nikogo. To jakby chmura, w którą każdy tchnął kłębuszek pary wodnej, a teraz ona już sama za wszystkich się głowi. Oczywiście żadnej chmury tam nie ma. To po prostu coś w tym stylu. Jeśli nie rozumiesz, o czym mówię, to nie ma sensu, Kajtek, żebym ci dalej wyjaśniał. Mogę ci tylko powiedzieć, że nikt się tam z nikim nie spotyka”.

Wiadomość zawarta była w zapieczętowanym ołowianym wafle o powierzchni dwóch cali kwadratowych i grubości trzech ósmych cala. Wafel tkwił w złotej siateczce, zawieszony na taśmie z nierdzewnej stali przypiętej do sztyftu, który można by nazwać szyją Salo.

Salo otrzymał rozkaz nie otwierać siateczki ani wafła, póki nie dotrze na miejsce przeznaczenia. Miejscem przeznaczenia nie był Tytan. Miejscem przeznaczenia była galaktyka mająca swój początek w odległości osiemnastu milionów lat świetlnych za Tytanem. Autorzy scenariusza obchodów, w których uczestniczył Salo, nie mieli pojęcia, na co Salo natknie się w owej galaktyce. Zgodnie z otrzymaną instrukcją Salo miał odszukać w niej żywe stworzenia, opanować ich język, rozpieczętować wiadomość i przetłumaczyć stworzeniom jej treść.

Salo nie kwestionował racjonalności swojej misji, gdyż – jak wszyscy Tralfamadorczycy – był maszyną. Jako maszyna, musiał wykonać to, czego od niego oczekiwano.

Ze wszystkich rozkazów, które Salo otrzymał na odjeździe z Tralfamadorii, najsilniej akcentowano właśnie ten, który zabraniał mu, pod jakimkolwiek pozorem, rozpieczętować wiadomość przed dotarciem do celu.

Podkreślano ów rozkaz tak dobitnie, że przeistoczył się on w samo sedno istnienia małego posłańca z Tralfamadorii.

W roku ziemskim 203117 p.n.e. trudności techniczne zmusiły Salo do zejścia w głąb Systemu Słonecznego. Przyczyną była kompletna dezintegracja niewielkiego elementu siłowni statku, elementu wielkości mniej więcej ziemskiego otwieracza do puszek. Salo nie miał smykałki do mechaniki, toteż bardzo słabo orientował się w konstrukcji i funkcji brakującego elementu. Ponieważ statek zasilany był PWZ – Powszechną Wolą Zaistnienia – nieudolny majsterkowicz nie miał czego szukać w jego siłowni.

Statek Salo nie był całkowicie unieruchomiony. Mógł się poruszać – ale kulawo i z prędkością zaledwie sześćdziesięciu ośmiu tysięcy mil na godzinę lub coś koło tego. Nawet w wersji uszkodzonej, był w pełni wystarczający na krótkie przeskoki w obrębie Systemu Słonecznego. Kopie tego właśnie uszkodzonego statku produkowały służby specjalne Marsjańskich Sił Zbrojnych. Dla potrzeb międzygalaktycznej misji Salo, uszkodzony statek był stanowczo zbyt powolny.

Tak więc Salo zatrzymał się na Tytanie i wysłał na Tralfamadorię wiadomość o tym, co go spotkało. Wysłał tę wiadomość z prędkością światła, co oznaczało, że dotrze ona na Tralfamadorię za sto pięćdziesiąt tysięcy lat ziemskich.

Dla zabicia czasu Salo oddawał się różnym zajęciom. Najbardziej pochłaniały go: rzeźba, hodowla tytańskich stokrotek i obserwowanie zdarzeń na Ziemi. Obserwacje Ziemi umożliwiały mu obiektyw na desce rozdzielczej statku. Obiektyw był na tyle silny, że Salo – jeśli tylko miał na to ochotę – mógł śledzić życie ziemskich mrówek.

Przez ten właśnie obiektyw otrzymał pierwszą odpowiedź z Tralfamadorii. Odpowiedź wypisana była wielkimi głazami na pewnej ziemskiej równinie, która obecnie znajduje się na terytorium Anglii. Zachowane do dziś szczątki tej odpowiedzi znane są jako Stonehenge. Stonehenge, widziane z lotu ptaka, oznacza po tralfamadorsku: „Część zapasową wysyłamy błyskawicznie”.

Nie była to jedyna odpowiedź, jaką Salo otrzymał z Tralfamadorii.

Otrzymał ich jeszcze cztery, wszystkie wypisane na powierzchni Ziemi.

Wielki Mur Chiński, widziany z lotu ptaka, oznacza po tralfamadorsku: „Bądź cierpliwy.

Pamiętamy o tobie”.

Złoty Dom cesarza rzymskiego Nerona oznaczał: „Robimy, co w naszej mocy”.

Moskiewski Kreml, tuż po obmurowaniu, głosił: „Ruszysz w drogę, zanim się obejrzysz”.

Pałac Ligi Narodów w Genewie, Szwajcaria, znaczy: „Pakuj manatki i w każdej chwili bądź gotów do startu”.

Prosta arytmetyka pozwala stwierdzić, że każda z tych wiadomości nadeszła z prędkością znacznie przekraczającą prędkość światła. Salo wysłał swoje SOS z prędkością światła i dotarło ono na Tralfamadorię po stu pięćdziesięciu tysiącach lat. Odpowiedź z Tralfamadorii przyszła zaś w mniej niż pięćdziesiąt tysięcy lat.

Kiedy ktoś tak prymitywny jak Ziemianin usiłuje wyjaśnić zasady funkcjonowania owego systemu błyskawicznego przekazu – staje się to zwyczajną farsą. Poprzestańmy więc – w tak prymitywnym towarzystwie – na informacji, że Tralfamadorczycy potrafili tak kierunkować pewne impulsy Powszechnej Woli Zaistnienia, że odbijały się one echem wzdłuż kopulastej struktury Wszechświata z prędkością około trzykrotnie większą niż prędkość światła. Potrafili też odpowiednio ogniskować i modulować te impulsy, aby za ich pomocą sterować zachowaniami stworzeń w dalekich zakątkach kosmosu oraz inspirować owe stworzenia do tego, by służyły tralfmadorskim celom.

Była to cudowna metoda na załatwianie spraw z dala od Tralfamadorii. Była to bez wątpienia metoda najszybsza.

Lecz nie była ona tania.

Stary Salo nie miał wyposażenia, które pozwoliłoby mu porozumiewać się i załatwiać sprawy tą metodą, choćby na najkrótsze nawet odległości. Metoda wymagała gigantycznego zestawu urządzeń i kolosalnych ilości Powszechnej Woli Zaistnienia, jak również wielotysięcznej obsługi technicznej.

Lecz nawet hojnie zasilanej, hojnie obsługiwanej i hojnie rozbudowanej aparaturze z Tralfamadorii zdarzały się błędy. Stary Salo był świadkiem licznych zakłóceń przekazu na Ziemi. Bywało, że cywilizacje zaczynały tam rozkwitać, że zaczynało wznosić gigantyczne konstrukcje, mające niewątpliwie stać się komunikatami w języku tralfmadorskim – i nagle cywilizacje te bez przyczyny obracały się w proch, przed ukończeniem budowy komunikatu. Stary Salo oglądał to już setki razy.

Stary Salo udzielił swemu przyjacielowi Rumfoordowi mnóstwa ciekawych informacji na temat rozwoju cywilizacyjnego Tralfamadorii, nigdy jednak nie opowiedział mu o komunikatach i sposobach ich przekazywania.

Powiedział mu jedynie, że posłał do ojczyzny rozpaczliwy komunikat o swym położeniu i że lada dzień spodziewa się dostawy części zamiennej. Umysł starego Salo tak dalece różnił się od umysłu Rumfoorda, że Rumfoord nie potrafił czytać w myślach Salo.

Salo z wdzięcznością przyjmował istnienie bariery, jaka dzieliła myśli jego i Rumfoorda, gdyż śmiertelnie bał się reakcji Rumfoorda na ewentualne odkrycie faktu, iż naród Salo miał tak wiele wspólnego z zababrami historii Ziemi. Mimo iż Rumfoord był infundybuloowany

chronosynklastycznie – a więc można było oczekiwać, że zaprezentuje szersze horyzonty myślowe – Salo odkrył, że w głębi serca pozostaje on nadal zdumiewająco zaściankowym Ziemianinem.

Stary Salo nie chciał, aby Rumfoord zorientował się, co Tralfamadorczycy wyprawiają z Ziemią, gdyż był pewien, że Rumfoord poczuje się dotknięty, że odwróci się od Salo i od wszystkich Tralfamadorczyków. Salo obawiał się, że nie zniósłby tego, ponieważ Salo kochał Winstona Nilesa Rumfoorda.

Jego miłość nie miała w sobie ani cienia natarczywości. Krótko mówiąc, nie był homoseksualistą. Nie mógł nim być, ponieważ w ogóle nie miał płci.

Był maszyną, jak wszyscy Tralfamadorczycy.

Był poskładany do kupy za pomocą sworzni, śrub, nakrętek, nitów i magnesów.

Mandarynkową skórę Salo, tak wymownie reagującą na wszelkie zakłócenia emocjonalne, można było wkładać i zdejmować jak ziemski kombinezon. Skóra zapinała się na magnetyczny zamek typu ekler.

Salo twierdził, że Tralfamadorczycy sami wytwarzają swoich kolejnych towarzyszy. Nikt nie wiedział na pewno, w jaki sposób powstała pierwsza maszyna.

Legenda na ten temat brzmi następująco:

„Dawno, dawno temu, na Tralfamadorii żyły stworzenia, które w niczym nie przypominały maszyn. Były zawodne. Były mało wydajne. Były niekonsekwentne. Były nietrwałe. Nieszczęsne te stworzenia żyły w obsesyjnym przekonaniu, że wszystko, co istnieje, musi mieć jakiś cel i że niektóre cele są wyższe od innych.

Stworzenia większość swego czasu spędzały na próbach ustalenia, w jakim celu istnieją one same. A ilekroć ustaliły rzekomy cel własnego istnienia, cel ten wydawał im się tak niski, że stworzenia ogarniał niesmak i wstyd.

Aby więc nie musiały służyć niskiemu celowi, postanowiły wybudować maszynę, która mu posłuży. W ten sposób sobie pozostawiały – jedynie służbę celom wyższym. Ilekroć jednak znalazły jakiś wyższy cel, cel ten okazywał się nie dość wysoki.

Skonstruowano więc i maszyny do służenia celom wyższym.

Maszyny zaś robiły wszystko tak doskonale, że w końcu zatrudniono je do ustalania, jakie mogą być wyższe cele istnienia stworzeń.

Maszyny z ręką na sercu odpowiedziały, że stworzenia owe nie mają w gruncie rzeczy żadnego celu.

Wówczas stworzenia zaczęły mordować się nawzajem, gdyż ponad wszystko nienawidziły rzeczy bezcelowych.

Odkryły przy tym, że nawet mordować się nie umieją porządnie. A więc i to zajęcie powierzyły maszynom. Maszyny zaś ukończyły robotę w czasie krótszym, niż trzeba, aby wymówić słowo «Tralfamadoria»„.

Korzystając z obiektywu na desce rozdzielczej swego statku, stary Salo obserwował teraz, jak do Tytana zbliża się pojazd kosmiczny niosący na pokładzie Malachiego Constanta, Beatrycze Rumfoord oraz ich syna Chrono. Pojazd był ustawiony na automatyczne lądowanie u brzegu Morza Winstona.

Zaprogramowany był na lądowanie pośród dwóch milionów posągów istot ludzkich w naturalnych rozmiarach. Salo rzeźbił posągi w tempie około dziesięciu sztuk na ziemski rok.

Posągi koncentrowały się w rejonie Morza Winstona, gdyż wykonane były z tytańskiej odmiany torfu. Okolice Morza Winstona obfitują w torf tytański, który zalega na głębokości zaledwie dwóch stóp pod powierzchnią.

Torf tytański to substancja specyficzna i niezwykle atrakcyjna dla pokornego i oddanego sztuce rzeźbiarza.

Tuż po wykopaniu torf tytański ma konsystencję ziemskiego kitu.

Po godzinnym wystawieniu na światło i powietrze Tytana torf uzyskuje trwałość i twardość gipsu sztukatorskiego.

Po dwóch godzinach staje się twardy jak granit i trzeba go obrabiać zimnym dłutem.

Po trzech godzinach jedynie diament jest w stanie zadrasnąć powierzchnię torfu tytańskiego.

Do stworzenia tak wielkiej liczby rzeźb natchnęły Salo efekciarskie pozy Ziemian. Natchnęły



go nie tyle same czynności, co sposoby ich wykonywania.

Ziemiańskie przez cały czas zachowywali się tak, jakby z nieba obserwowało ich jakieś wielkie oko – i jakby to wielkie oko bez końca łaknęło rozrywki.

Wielkie oko było nienasyconym wielbicielem teatru.

Wielkiemu oku obojętne było, czy na Ziemi grają komedię czy tragedię, czy farsę, czy satyrę, czy zawody lekkoatletyczne, czy wodewil. Żądało jedynie, aby spektakl zrobiony był z rozmachem – dla Ziemiańskich zaś to żądanie było najwyraźniej równie nieodparte, jak siła ciężenia. Żądanie było tak kategoryczne, że Ziemiańskie nie robili prawie nic innego, tylko grali, grali dniem i nocą – a nawet we śnie.

Wielkie oko było jedyną publicznością, jaką Ziemiańskie się przejmowali. Autorami najwymyślniejszych spektakli, jakie oglądał Salo, byli ci Ziemiańskie, którzy żyli w najokrutniejszej samotności. Ich jedyną publicznością było rzekome wielkie oko.

W swych diamentowo twardych posągach Salo starał się zawrzeć choć cząstkę stanu umysłowego tych Ziemiańskich, którzy inscenizowali dla rzekomego wielkiego oka najciekawsze spektakle.

Nie mniej zdumiewające od posągów były tytańskie stokrotki, w które obfitowały okolice Morza Winstona. Kiedy w roku 203117 p.n.e. Salo pojawił się na Tytanie, tytańskie stokrotki były żółtymi gwiazdzistymi kwiatuśkami o średnicy zaledwie ćwierci cala.

Salo rozpoczął hodowlę selektywną.

Kiedy na Tytana przybyli Malachi Constant, Beatrycze Rumfoord oraz ich syn Chrono, przeciętna tytańska stokrotka miała łodygę o średnicy czterech stóp, zwieńczoną fioletowym kwiatem z różowymi żyłkami o łącznej masie przekraczającej tonę.

Zakończywszy obserwację nadlatującego statku kosmicznego, którym przybywali Malachi Constant, Beatrycze Rumfoord oraz ich syn Chrono, Salo nadał swe stopy do rozmiarów szwabskiej szmacianki. Zstąpił na szmaragdowe czyste wody Morza Winstona i po ich powierzchni ruszył w kierunku Tadź Mahal Winstona Nilesa Rumfoorda.

Wkroczywszy na otoczony murem dziedziniec pałacu, Salo wypuścił powietrze ze stóp. Powietrze uleciało z sykiem. Syk rozniósł się echem po murach.

Liliowy fotel, przystosowany do wymogów sylwetki Winstona Nilesa Rumfoorda, stał pusty obok basenu.

– Kajtek? – zawołał Salo. Salo posługiwał się najbardziej prywatnym imieniem Rumfoorda, imieniem z czasów dzieciństwa, mimo iż Rumfoord był temu przeciwny. Salo nie posługiwał się tym imieniem, aby drażnić Rumfoorda. Posługiwał się nim, aby udokumentować uczucie przyjaźni, jakim darzył Rumfoorda, aby za każdym razem wystawiać tę przyjaźń na niewielką próbę i móc patrzeć, jak wychodzi z niej bez szwanku.

Salo miał swój powód, aby poddawać przyjaźń Rumfoorda tak szczeniackiemu testowi. Póki nie trafił w System Słoneczny, nigdy nie przeżył przyjaźni i nigdy o czymś podobnym nie słyszał. Była to dla niego frapująca nowość. Musiał się nią nabawić do syta.

– Kajtek? – powtórzył Salo. W powietrzu unosił się niezwykley zapach. Salo zidentyfikował go w przybliżeniu jako zapach ozonu. Nie potrafił wyjaśnić jego źródła.

W popielniczce przy fotelu Rumfoorda tlił się papieros – a więc Rumfoord musiał opuścić fotel bardzo niedawno.

– Kajtek? Kazak? – zawołał Salo. Rumfoord zazwyczaj drzemał w swoim fotelu, Kazak zazwyczaj drzemał obok. Mężczyzna i pies spędzali przy basenie większość czasu, monitując stąd sygnały do swoich innych jestestw, rozproszonych w czasie i przestrzeni. Rumfoord zazwyczaj siedział w fotelu nieruchomo, zagłębiając palce wiotkiej, zwieszanej za oparcie dłoni w kudły Kazaka. Kazak zazwyczaj nerwowo skamlał i podrygiwał przez sen.

Salo popatrzył w głąb wód prostopadłościennego basenu. Na jego dnie, pod ośmiostopową warstwą wody, znajdowały się trzy syreny z Tytana, trzy piękne ludzkie samice, ofiarowane niegdyś lubieżnemu Malachiemu Constantowi.

Były to rzeźby, które Salo wykonał w torfie tytańskim. Spośród milionów posągów dłuta Salo, jedynie te trzy pomalowane zostały w naturalne barwy. Musiały być kolorowe, aby komponować się należycie pośród orientalnego przepychu pałacu Rumfoorda.

– Kajtek? – zawołał znowu Salo.

Na wezwanie odpowiedział Kazak, Pies z Kosmosu. Kazak wynurzył się ze zwieńczonej kopułami i minaretami budowli, która odbijała się w basenie. Kazak na sztywnych łapach wymaszerował spomiędzy ażurowych cieni ośmiokątnej komnaty.

Kazak wyglądał, jakby ktoś go otruł.

Kazak zadrżał, tępo wpatrzony w jakiś punkt tuż obok Salo. Nic tam nie było.

Kazak przystanął, jakby szykował się na straszliwy ból, którym przypląci kolejny krok.

I nagle zaczął płonąć i skwierczeć w ogniu świętego Elma.

Ognie świętego Elma to luminescencyjne wyładowania elektryczne. Stworzenie dotknięte tą chorobą cierpi nie mniej niż podczas łaskotania piórkiem. Stworzenie wygląda przy tym, jakby się paliło, toteż nie należy się dziwić jego przerażeniu.

Luminescencyjne wyładowania, których źródłem był Kazak, stanowiły wstrząsający widok.

I ponownie nasyciły powietrze gęstą wonią ozonu.

Kazak ani drgnął. Dawno już wyczerpał swój zasób zdumienia wobec niecodziennego spektaklu. Znosił płomienie z męczeńską żalością.

Płomień zgasł.

W głównym wejściu pojawił się Rumfoord. On również miał wygląd niedbały i otumaniony.

Wstęga dematerializacji, szeroka na jedną stopę, otaczała postać Rumfoorda od stóp do głów. Po jej zewnętrznej stronie, oddzielone jedna od drugiej o szerokość cala, biegły dwie węższe wstęgi.

Rumfoord trzymał ręce wysoko w górze, palce miał rozcapierzone. Z opuszków palców sączyły mu się smugi różowych, fioletowych i seledynowych ognie świętego Elma. We włosach pełgały płowozłote ogniki, tworzące wokół głowy Rumfoorda namiastkę aureoli.

- Spokój - przemówił Rumfoord omdlewającym głosem. Ognie świętego Elma zamarły.

Salo był wstrząśnięty.

- Kajtek - wykrztusił. - Co... Co się dzieje, Kajtek?

- Plamy na Słońcu - odparł Rumfoord. Dowłókł się do liliowego fotela, złożył w nim swą olbrzymią postać i przykrył oczy dłonią bezwładną i białą jak mokra chustka do nosa. Kazak ułożył się obok niego. Kazakiem trzęsły drgawki.

- Ja... Nigdy cię nie widziałem w takim stanie - rzekł Salo.

- Na Słońcu nigdy jeszcze nie było takiej burzy - odpad Rumfoord.

Salo nie dziwił się, że jego infundybuloowani chronosynklastycznie przyjaciele ulegają wpływowi plam na Słońcu. Widywał już Rumfoorda i Kazaka chorych z tego powodu - lecz dotychczas najostrzejszym symptomem choroby bywały krótkotrwałe mdłości. Iskrzenie i wstęgi dematerializacji były czymś nowym.

Na oczach Salo, Rumfoord i Kazak stali się na moment dwuwymiarowi, jak postacie wymalowane na falujących sztandarach.

Zaraz jednak przestali falować i znów się zaokrąglili.

- Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić, Kajtek? - zapytał Salo.

Rumfoord jęknął.

- Kiedy ludzie przestaną zadawać to potworne pytanie? - powiedział.

- Przepraszam - rzekł Salo. Jego stopy były teraz tak dokładnie opróżnione z powietrza, że stały się wklęsłe -przemieniły się w ssawki. Ssawki cmoktały w zetknięciu z gładkimi płytami dziedzica.

- Czy naprawdę musisz wydawać te dźwięki? - zirytował się Rumfoord.

Stary Salo miał w tym momencie ochotę umrzeć. Jego przyjaciel Winston Niles Rumfoord po raz pierwszy odezwał się do niego podniesionym głosem. Salo nie mógł tego znieść.

Stary Salo przymknął dwa z trojga swoich oczu. Trzecie oko błędziło po niebie. Jego wzrok przykuły dwa ruchome niebieskie punkciki. Punkcikami były dwa wzlatujące tytańskie błękitki.

Ptasia para trafiła w komin powietrzny.

Żaden z wielkich ptaków nawet nie machnął skrzydłami.

Idealnej harmonii nie zakłócało drgnienie najmniejszego choćby piórka. Życie było wzlatującym snem.

- Kra - odezwał się jeden tytański błękitek dla nawiązania konwersacji.

- Kra - zgodził się drugi.

Ptaki równocześnie złożyły skrzydła i poleciały w dół jak kamienie.

Zdawało się, że nurkują w pewną śmierć za murami pałacu Rumfoorda. Lecz po chwili znów unosiły się w górę, rozpoczynając kolejny długi i nie żądający wysiłku wzlot.

Tym razem wznosiły się ku niebu przeciętemu smugą spalin statku kosmicznego, który wiozł Malachiego Constanta, Beatrycze Rumfoord oraz ich syna Chrono. Statek schodził właśnie do lądowania.

- Kajtek? - przemówił Salo.

- Czy musisz mnie tak nazywać? - zapytał Rumfoord.

- Nie - odparł Salo.

-, Więc przestań - powiedział Rumfoord. - Nie przepadam za tym imieniem, chyba, że użyje go czasem ktoś, z kim się wychowywałem.

- Myślałem, że... jako twój przyjaciel... - bąkał Salo - mam prawo...

- Czy moglibyśmy dać sobie spokój z tą farsą na temat przyjaźni? - przerwał mu cierpko Rumfoord.

Salo przymknął trzecie oko. Skóra opinająca jego tors mocno się naprężyła.

- Farsą? - powtórzył.

- Twoje stopy znowu wydają ten dźwięk! - zdenerwował się Rumfoord.

- Kajtek! - zawołał Salo. Natychmiast jednak powściągnął swą nieznośną poufałość. -

Winstonie! Twoje słowa są jak zły sen. Myślałem, że naprawdę, jesteśmy przyjaciółmi.

- Zgódźmy się, że byliśmy sobie nawzajem potrzebni. I nie mówmy o tym więcej -

powiedział Rumfoord.

Głowa Salo huśtała się lekko w swym kardanowym zawieszaniu.

- Myślałem, że to nie wszystko - rzekł w końcu Salo.

- Zgódźmy się - odparł zjadliwie Rumfoord - że nawzajem odkryliśmy w sobie środki do swych rozbieżnych celów.

- Ja... ja pomagałem ci z radością - rzekł Salo. - I mam nadzieję, że naprawdę zdołałem ci dopomóc. - Salo otworzył oczy. Musiał zobaczyć, jak Rumfoord przyjmie jego słowa. Rumfoord na pewno znów okaże mu przyjaźń, przecież Salo rzeczywiście pomaga mu całkiem bezinteresownie.

- Czy nie oddałem ci połowy PWZ? - wyliczał Salo. - Czy ci nie pozwoliłem sporządzić kopii mojego pojazdu dla Marsa? Czy nie pilotowałem kilku pierwszych misji werbunkowych? Czy nie pomogłem ci wymyślić systemu sterowania Marsjanami, żeby nie sprawiali kłopotów? Czy nie spędziłem długich dni na obmyślaniu wraz z tobą szczegółów nowej religii?

- Tak - powiedział Rumfoord. - A co uczyniłeś dla mnie ostatnio?

- Co takiego? - zdumiał się Salo.

-Nieważne - zbył go Rumfoord - To takie powiedzonko ze starego ziemskiego dowcipu, i to niezbyt śmiesznego, biorąc pod uwagę nasze okoliczności,

- Aha - powiedział Salo. Salo znał wiele ziemskich dowcipów, ale tego akurat nie znał.

- Znowu te twoje nogi! - wrzasnął Rumfoord.

- Przepraszam! - wrzasnął Salo. - Żebym tak mógł płakać jak Ziemianie! - Pogrążone w żalu stopy całkiem wymknęły mu się spod kontroli. Dalej wydawały dźwięk, który ni stąd, ni zowąd zaczął napawać Rumfoorda tak gwałtowną odrazą. - Przepraszam za wszystko! Jednego jestem pewien: zawsze starałem się na wszystkie sposoby być prawdziwym przyjacielem i nigdy nie poprosiłem cię o nic w zamian.

- Nie musiałeś prosić! - odparł Rumfoord. - O nic nie musiałeś prosić. Wystarczyło, żebyś siedział spokojnie i czekał, aż ci to spadnie z nieba.

- Co takiego miało mi spaść z nieba? - spytał z niedowierzaniem Salo.

- Część zamienna do twojego statku - odparł Rumfoord. - Jest już prawie na miejscu.

Właśnie ją wielmożnemu panu dowożą. Ma ją chłopak Constanta i nazywa swoim talizmanem.

Jakbyś sam dobrze nie wiedział!

Rumfoord wyprężył się w fotelu, zzieleniał i gestem poprosił o ciszę.

- Przepraszam - rzekł. - Znowu mi niedobrze. Winstonowi Nilesowi Rumfoordowi i jego psu Kazakowi istotnie znowu zrobiło się niedobrze - i to bardziej gwałtownie niż poprzednio.

Biednemu staremu Salo wydawało się, że tym razem już na pewno spalą się do cna albo eksplodują.

Kazak wył, uwięziony w kuli ognia świętego Elma. Rumfoord stał sztywny jak kij od szczytki, oczy wyszły mu z orbit – był jednym ognistym posągiem. Ale i ten atak minął.

– Przepraszam – rzekł Rumfoord ze zjadliwą kurtuazją. – Przerwałem ci...

– Co? – spytał nieprzytomnie Salo.

– Coś mówiłeś... czy też chciałeś powiedzieć – odparł Rumfoord. Jedynie pot na skroniach zdradzał, że Rumfoord miał za sobą wyczerpujące przeżycia. Umieścił papierosa w długiej kościanej cygarniczce i zapalił. Wysunął dolną szczękę. Cygarniczka wycelowała pionowo w górę. – Przez następne trzy minuty będziemy mieli spokój – powiedział Rumfoord. – No więc, co takiego mówiłeś?

Salo z niemałym wysiłkiem przypomniał sobie temat rozmowy. Kiedy go sobie przypomniał, zrobiło mu się jeszcze smutniej niż przedtem. Stało się najgorsze, co mogło się stać. Wyglądało na to, że Rumfoord nie tylko odkrył wpływ Tralfamadorczyków na bieg zdarzeń na Ziemi – co już dostatecznie by go rozsierdziło – lecz i sam siebie uznał za jedną z głównych ofiar tego wpływu.

Salo od czasu do czasu miewał niejasne podejrzenia, że Rumfoord działa pod wpływem Tralfamadorii, lecz odsuwał tę myśl od siebie, gdyż nic w tym względzie nie mógłby uczynić. Nie rozmawiał o tym nawet z Rumfoordem, gdyż rozmowa taka z pewnością w mgnieniu oka zniweczyłaby ich piękną przyjaźń. Salo, wielce nieudolnie, postanowił sprawdzić pierwszą hipotezę: że Rumfoord wie mniej, niż to się wydaje.

– Kajtek... – zaczął.

– Prosiłem! – przerwał mu Rumfoord.

– Panie Rumfoord – poprawił się Salo. – Czy uważa pan, że go w jakiś sposób wykorzystałem?

– Ty nie – odparł Rumfoord. – Twoi mechaniczni ziomkowie z twojej ukochanej Tralfamadorii.

– Hm – bąknął Salo. – Uważasz zatem... uważasz... że zostałeś wykorzystany? Tak, Kajtek?

– Tralfamadoria – rzekł z goryczą Rumfoord – sięgnęła w głąb Systemu Słonecznego, wybrała sobie mnie i wykorzystała jak funkcjonalny, poręczny obierak do kartofli.

– Skoro wyczytałeś to wszystko z przyszłości – jęknął Salo, doszczętnie zdruzgotany – dlaczego nigdy nic nie mówiłeś?

– Nikt dobrowolnie nie przyznaje się do tego, że jest wykorzystywany – powiedział Rumfoord. – Człowiek nie przyznaje się do tego nawet sam przed sobą, aż do ostatniej chwili. – Uśmiechnął się kwaśno. – Zdziwisz się zapewne, jeśli ci powiem, że jestem dumny, jakkolwiek fałszywa mogłaby być ta duma, z tego, iż wszelkie decyzje podejmuję sam i wyłącznie z prywatnych pobudek.

– Nie dziwię się – odparł Salo.

– Czyżby? – spytał uszczypliwie Rumfoord. – Myślałem, że to uczucie zbyt subtelne jak na możliwości percepcyjne maszyny.

Tu Rumfoord uderzył w słaby punkt ich wzajemnych stosunków. Salo rzeczywiście był maszyną, skoro został zaprojektowany i wykonany. Salo nie ukrywał tego faktu. Lecz Rumfoord nigdy dotąd nie użył słowa „maszyna” jako kamienia obrazy. Tym razem niewątpliwie właśnie tak się nim posłużył. Poprzez cieniutką woalkę dobrych manier Rumfoord dał Salo do zrozumienia, że być maszyną znaczy być nieczułym, pozbawionym wyobraźni prymitywem, funkcjonalnym przedmiotem bez krzty świadomości...

Salo był szczególnie czuły na to oskarżenie. Ceną za minione duchowe zbliżenie z Rumfoordem było to, że Rumfoord świetnie wiedział, gdzie uderzyć, żeby naprawdę zaboląło. Salo znów przymknął dwoje z trojga oczu i ponownie spojrzął na szybujące po niebie tytańskie błękitki. Ptaki były wielkości ziemskich orłów.

Salo żałował, że nie jest tytańskim błękitkiem.

Statek kosmiczny wiozący Malachiego Constanta, Beatrycze Rumfoord oraz ich syna Chrono przepłynął tuż nad pałacem i wylądował na brzegu Morza Winstona.

– Daję ci słowo honoru – rzekł Salo – że nie wiedziałem, iż jesteś wykorzystywany, i nie mam pojęcia do jakich...

– Maszyna – rzucił z pogardą Rumfoord,

- Powiedz mi, błagam, do czego cię wykorzystano? -poprosił Salo. - Słowo honoru, nie miałem zielonego...

- Maszyna! - przerwał mu Rumfoord.

- Kajtek... Winstonie... Panie Rumfoord... - płątał się Salo. - Skoro tak źle pan o mnie myśli po tym wszystkim, co zrobiłem lub usiłowałem zrobić w imię czystej przyjaźni, nie pozostaje już nic, co mógłbym powiedzieć lub uczynić, aby zmienić pańską opinię na mój temat.

- Dokładnie tak mogłaby odpowiedzieć maszyna - zadrwił Rumfoord.

- Maszyna dokładnie tak odpowiedziała - przyznał pokornie Salo. Nadawszy stopy do rozmiarów szwabskiej szmacianki, przygotował się do odmarszu z pałacu Rumfoorda po wodach Morza Winstona, aby już nigdy więcej nie powrócić. Dopiero po całkowitym nadmuchaniu stóp uświadomił sobie wyzwanie zawarte w słowach Rumfoorda. Rumfoord wyraźnie sugerował, że stary Salo może jednak uczynić coś, co przywróci dawny porządek rzeczy.

Nawet jeśli był maszyną, Salo miał dość wrażliwości, by przeczuć, że z chwilą, gdy zapyta, o co chodzi - upodli się do cna. Salo wziął się w garść. Postanowił upodlić się do cna w imię przyjaźni.

- Kajtek - przemówił - powiedz, co mam zrobić. Zrobię wszystko, wszystko, co każesz.

- Wkrótce - rzekł Rumfoord - wskutek eksplozji, końcówka mojej spirali zostanie zdmuchnięta ze Słońca, a nawet z Systemu Słonecznego.

- Nie! - wrzasnął Salo. - Kajtek! Kajtek!

- Dosyć, dosyć! Nie życzę sobie litości - rzekł Rumfoord, cofając się w obawie przed dotknięciem Salo. - To w gruncie rzeczy bardzo pomyślny obrót sprawy. Zobaczą mnóstwo nowych rzeczy, mnóstwo nowych stworzeń. - Spróbował się uśmiechnąć. - Człowiek, widzisz, męczy się usidlany w monotony mechanizm Systemu Słonecznego. - Zaśmiał się chrapliwie. - Bądź co bądź nie umieram. Wszystko, co kiedykolwiek było, będzie zawsze, a wszystko, co kiedykolwiek będzie, zawsze było. - Gwałtownie potrząsnął głową, strącając z powieki zabłąkaną łzę.

- Jakkolwiek pocieszająca jest mi ta chronosynklastycznie infundybułowana myśl - ciągnął - chciałbym jednak wiedzieć, co było punktem centralnym całego tego epizodu w Systemie Słonecznym.

- Przecież... sam podsumowałeś to najlepiej na świecie w Kieszonkowej historii Marsa - zdumiał się Salo.

- Kieszonkowa historia Marsa - odparł Rumfoord - nie wspomina o tym, że pozostawałem pod przemożnym wpływem sił emanujących z planety o nazwie Tralfamadoria. - Zacisnął zęby.

- Zanim mój pies i ja wylecimy z trzaskiem w kosmos, jak packi na muchy w rękach wariata - oświadczył Rumfoord - chciałbym bardzo dowiedzieć się, jak brzmi wiadomość, którą masz do przekazania.

- Ja... ja nie mam pojęcia - wyjąkał Salo. - Ona jest zapieczętowana. Otrzymałem rozkaz...

- Wbrew wszelkim rozkazom z Tralfamadorii - rzekł Winston Niles Rumfoord - wbrew wszelkim twoim instynktom maszyny, w imię naszej przyjaźni... chcę, abyś rozpieczętował wiadomość i odczytał mi ją w tej chwili.

Malachi Constant, Beatrycze Rumfoord oraz ich dzika latorośl Chrono biwakowali nadąsani w cieniu tytańskiej stokrotki u brzegów Morza Winstona. Każde z nich opierało się plecami o inny posąg.

Brodaty Malachi Constant, playboy Systemu Słonecznego, wciąż miał na sobie kanarkowe ubranie z pomarańczowymi znakami zapytania. Było to jedyne ubranie, jakie posiadał. Constant opierał się o posąg przedstawiający świętego Franciszka z Asyżu. Święty Franciszek usiłował zaprzyjaźnić się z parą wrogo usposobionych i przeraźliwie wielkich ptaków o wyglądzie łysych orłów. Constant nie zdołał rozpoznać w ptakach tytańskich błękitków, gdyż nigdy jeszcze nie widział tytańskiego błękitka. Na Tytanie przebywał zaledwie od godziny. Beatrycze, przypominająca wyglądem królową Cyganów, kuciała naburmuszona u stóp posągu wyobrażającego młodego studenta fizyki. Na pierwszy rzut oka naukowiec w laboratoryjnym kitlu sprawiał wrażenie oddanego sługi prawdy i tylko prawdy. Na pierwszy rzut oka oglądający musiał ulec przekonaniu, że nic prócz prawdy nie zdoła zadowolić uśmiechającego się do próbówki młodzieńca. Na pierwszy rzut oka oglądającemu nasuwała się

myśl, że zwierzęce instynkty ludzkości są protagoniście pomnika równie obce, jak harmoniom z jaskiń Merkurego. Był to, na pierwszy rzut oka, młodzieniec nieznający żądz ni próżności. A zatem tytuł, jaki Salo nadał posągowi – „Odkrycie energii atomowej” – przyjmowało się wprost i bez zastrzeżeń.

Dopiero po chwili oglądający stwierdzał, że młody poszukiwacz prawdy ma szokującą erekcję.

Beatrycze jeszcze tego nie stwierdziła.

Chrono, ponury i złowrogi jak matka, dopuszczał się właśnie – a raczej usiłował się dopuścić – pierwszego aktu wandalizmu na Tytanie. Chrono próbował wydrapać nieprzyzwoite ziemskie słowo na cokole posągu, o który się opierał. Posługiwał się w tym celu ostrym rogiem swego talizmanu.

Zahartowany torf tytański, twardy prawie jak diament, zastąpił go w działaniu, spiłowując w zamian czubek blaszki.

Posąg, do którego zabrał się Chrono, przedstawiał grupę rodzinną – Neandertalczyka z kobietą i niemowlęciem. Było to wzruszające dziełko. Zgarbione, potargane, ufne stworzenia były tak paskudne, że aż piękne.

Ponadczasowej wymowy posągu nie zakłócał nawet ironiczny tytuł, jaki Salo nadał rzeźbie.

Salo wszystkim swoim rzeźbom nadawał koszmarnie tytuły, jak gdyby za wszelką cenę chciał obwieścić wszem i wobec, że ani przez moment nie uważa się za prawdziwego artystę. Tytuł, który nadał posągowi neandertalskiej rodziny, brał się stąd, że niemowlęciu demonstrowano właśnie skwierczącą na prymitywnym rożnie ludzką stopę.

Tytuł brzmiał: „Och, ty świnko!”

– Obojętne, co się wydarzy, obojętne: piękne czy smutne, radosne czy przerażające – oświadczył Malachi Constant swojej rodzinie zgromadzonej na planecie Tytan – ja nawet palcem nie kiwnę, jak słowo honoru. Na najdrobniejszy znak, że ktoś lub coś oczekuje, abym postąpił tak czy siak, zamieniam się w głaz. – Popatrzył w górę ku pierścieniom Saturna i wyduł wargi. – To wprost niewymownie piękne, co? – Splunął pod nogi.

– Ktokolwiek spróbuje mnie jeszcze użyć do swoich fantastycznych planów – oświadczył Constant – narazi się na jedno wielkie rozczarowanie. Znacznie bardziej opłaci mu się namawiać którykolwiek z tych tutaj posągów, żeby się poruszył.

Znowu splunął.

– Jeśli chodzi o mnie – oświadczył Constant – uważam, że wszechświat to śmietnisko, na którym każdy śmieć ma w dodatku zawyżoną cenę. Skończyłem z łażeniem po kupach śmieci w poszukiwaniu okazji. Każda tak zwana okazja – oświadczył Constant – połączona jest cieniuteńkim drucikiem z ładunkiem wybuchowym.

Znowu splunął.

– Ja bardzo dziękuję – oświadczył Constant.

– Ja się wycofuję – oświadczył Constant.

– Ja odmawiam współpracy – oświadczył Constant.

Nieliczna rodzina Constanta przyjęła jego oświadczenie bez entuzjazmu. Butne oświadczenie Constanta było już dla nich odgrzewaną zupą. Constant wygłaszał je wielokrotnie podczas siedemnastomiesięcznej podróży z Ziemi na Tytana – a w dodatku filozofia Constanta była klasyczną filozofią wszystkich marsjańskich weteranów.

Constant i tak zresztą nie przemawiał do swojej rodziny. Przemawiał głośno, aby dotrzeć głosem w głąb posągowej dżungli i na drugi brzeg Morza Winstona. Składał deklarację polityczną, do wiadomości Rumfoorda czy też kogokolwiek innego, kto mógłby akurat czaić się w pobliżu.

– Po raz ostatni – oświadczył głośno Constant – wzięliśmy udział w eksperymentach, bitwach i uroczystościach, które nam się nie podobają i których nie rozumiemy!

„Rozumiemy” – odbiło się echem od murów pałacu na wyspie odległej o dwieście jardów od brzegu. Pałacem tym był oczywiście Kres Włóczęgi – Tadz Mahal Rumfoorda. Widok pałacu nie zdziwił Constanta. Constant spostrzegł go już wysiadając ze statku, widział, jak błyszczą w oddali niby Boże Miasto świętego Augustyna.

– Co teraz będzie? – zagadnął Constant echo. – Wszystkie posągi ożyją?

„Ożyją” – potwierdziło echo.

– To echo – rzekła Beatrycze.

– Wiem, że to echo – rzekł Constant.

– Nie byłam pewna, czy wiesz, że to echo – rzekła Beatrycze. Zachowywała się uprzejmie i z dystansem. Constanta traktowała nad wyraz przyzwoicie, niczego mu nie zarzucając i niczego od niego nie oczekując. Kobieta mniej arystokratyczna mogłaby sprawić mu prawdziwe piekło, zarzucając mu wszystko i domagając się cudów.

Podczas podróży nie doszło między nimi do zbliżenia fizycznego. Ani Constant, ani Beatrycze nie byli tym zainteresowani. Jak wszyscy weterani z Marsa.

Długa podróż nieuchronnie sprawiła, że kobieta i dziecko stali się dla Constanta bliskimi ludźmi. Byli mu teraz znacznie bliżsi niż na połączonym labiryncie pomostów, ramp, drabin, platform, schodów i estrad w Newport. Lecz jedyną miłością w ich podstawowej komórce społecznej była nadal miłość między chłopcem Chrono a Beatrycze. Poza miłością matki i syna istniała tam jedynie uprzejmość, milczące współczucie i tłumiona uraza o to, że w ogóle zostało się zmuszonym do stworzenia rodziny w tym składzie.

– O kurczę – westchnął Constant. – Życie jest zabawne, kiedy się tylko przestać nad nim zastanawiać.

Chłopiec Chrono nie uśmiechnął się na słowa ojca o zabawnym życiu.

Z całej rodziny, chłopiec Chrono miał najmniej powodów, aby uważać, że życie jest zabawne. Beatrycze i Constant mogli od biedy pośmiać się gorzko z niesamowitych przypadków, z których wyszli jakoś obronną ręką. Chłopiec Chrono nie mógł jednak śmiać się wraz z nimi, gdyż sam w sobie stanowił niesamowity przypadek.

Nie bez kozery największymi skarbami chłopca Chrono były: talizman i nóż sprężynowy.

Chłopiec Chrono wydobyl nóż i nonszalancko zwolnił ostrze. Oczy zwięzły mu się w szparki. Był gotów zabijać, gdyby zabijanie okazało się konieczne. Patrzył w kierunku złoconej łodzi, która odpływała właśnie spod pałacu na wyspie.

U wiosła siedziało stworzenie barwy mandarynki. Wioślarzem był oczywiście Salo.

Nadpływał łodzią, aby przetransportować rodzinę Constanta do pałacu. Salo był kiepskim wioślarzem, jako że nigdy jeszcze nie wiosłował. Przytrzymał wiosła ssawkami stóp.

Jedyną przewagą Salo nad wioślarzami rasy ludzkiej było posiadanie oka z tyłu głowy.

Chłopiec Chrono puścił zajęczka prosto w oko starego Salo – puścił go za pomocą swojego noża.

Puszczenie zajęczka prosto w oko nie było ze strony chłopca Chrono czczym wygłupem.

Była to chytra sztuczka z buszu, sztuczka obliczona na zaniepokojenie każdej nieomal istoty obdarzonej zmysłem wzroku. Była to jedna z tysiąca sztuczek z buszu, których chłopiec Chrono i jego matka nauczyli się podczas swego rocznego pobytu w Amazońskiej Dżungli Deszczowej. Smągła dłoń Beatrycze zacisnęła się wokół kamienia.

– Podenerwuj go jeszcze – szepnęła Beatrycze do chłopca Chrono.

Chłopiec Chrono jeszcze raz puścił zajęczka prosto w oko starego Salo.

– Wygląda jakby był cały miękki – rzekła Beatrycze nie poruszając ustami. – W razie czego, celuj w oko.

Chrono kiwnął głową.

Constant zmartwił, widząc, jak doskonałą jednostkę samoobrony stanowią połączone siły jego kobiety i dziecka. Ich plany nie uwzględniały Constanta. Constant nie był im potrzebny.

– A co ja mam robić? – szepnął Constant.

– Ćśśś – uciszyła go brutalnie Beatrycze.

Salo przycumował swą złotą jednostkę. Uczynił to szybko, zaciskając partacki węzeł wokół nadgarstka stojącego tuż nad wodą posągu. Posąg przedstawiał nagą kobietę grającą na puzonie. Zagadkowy podpis głosił: „Ewelina i jej magiczna okaryna”.

Salo był tak otępiały ze zmartwienia, że nie drżał o własne bezpieczeństwo – nie przyszło mu nawet do głowy, że ktoś mógłby się go bać. Przez chwilę stał bez ruchu na płycie zwietrzałego torfu tytańskiego, w pobliżu miejsca, gdzie przybił do brzegu. Pogrążone w żalu stopy przyssały się do wilgotnego kamienia. Salo z ogromnym wysiłkiem oderwał je od podłoża.

Ruszył w stronę rodziny Constanta, oślepiany zajęczkami ze sprężynowca chłopca Chrono.

- Bardzo przepraszam - zaczął.

Z oślepiającego błysku wyleciał kamień.

Salo uchylił się.

Jakaś dłoń zacisnęła się wokół łykowatej krtani Salo i powaliła go na ziemię.

Chłopiec Chrono stał nad nim okrakiem, czubkiem ostrza dziobiąc pierś Salo. U wezglowia klęczała Beatrycze, z kamieniem gotowym w każdej chwili roztrzaskać głowę Salo w drobny mak.

- Proszę bardzo - wycharczał Salo. - Zabijcie mnie. Oddacie mi prawdziwą przysługę.

Szkoda, że jeszcze wcześniej nie umarłem. Szkoda, że w ogóle kiedykolwiek mnie poskładano i wprawiono w ruch. Zabijcie mnie, uwolnijcie mnie od moich nieszczęść, a potem idźcie się z nim zobaczyć. On na was czeka.

- Jaki on? - zapytała Beatrycze.

- Nieszczęsny mąż pani - a mój były przyjaciel, Winston Niles Rumfoord - odparł Salo.

- Gdzie on jest? - zapytała Beatrycze.

- W pałacu na wyspie - rzekł Salo. - On umiera, zupełnie sam, został mu tylko wierny pies.

Czeka na was - rzekł Salo. - Czeka na was wszystkich. A mnie, jak powiedział, nigdy już nie chce oglądać na oczy.

Malachi Constant przyglądał się ołowianej barwy ustom, które bezgłośnie całowały powietrze. Ukryty za wargami język wydawał ledwie słyszalne mlaśnięcia. Nagle wargi rozsunęły się, odsłaniając nieskazitelne uzębienie Winstona Nilesa Rumfoorda.

Constant również obnażył zęby, gotów stosownie zazgrzytać na widok człowieka, który wyrządził mu tak wiele krzywd. Nie zazgrzytał jednak. Po pierwsze dlatego, że nikt na niego nie patrzył - nikt więc nie dostrzegłby ani nie docenił zgrzytnięcia. Po wtóre - Constant stwierdził, że nie ma w sobie ani krzty nienawiści.

Planowane zgrzytnięcie spadło do rangi głupekowato rozdziawionej gęby, gęby kmiota, postawionego w obliczu wyjątkowo efektownie śmiertelnej choroby.

Winston Niles Rumfoord, w pełni zmaterializowany, spoczywał w swym liliowym fotelu przy basenie. Nieruchomymi i pozornie niewidzącymi oczami wpatrywał się w niebo. Jedna piękna dłoń zwisała poza boczne oparcie fotela, a jej palce wplatały się w stalowa obrozę Kazaka, Psa z Kosmosu.

Obroża była pusta.

Skutkiem eksplozji na Słońcu, mężczyzna i pies zostali rozdzieleni. Jakiś bardziej litościwie pomyślany wszechświat pozwoliłby im może zostać razem - ale nie ten.

Wszechświat, którego lokatorami byli Winston Niles Rumfoord i jego pies, nie uwzględniał czegoś takiego jak miłosierdzie. Kazak wysłany został w nicość, z wielką misją nicości, podczas gdy jego pan pozostał w tyle.

Kazak odchodził ze skowytem, w chmurze ozonu i niezdrowej poświaty, wśród brzęczenia przywodzącego na myśl rój pszczół.

Rumfoord pozwolił pustej obroży ześliznąć się z palców. Obroża - symbol martwoty - z nieokreślonym odgłosem utworzyła na ziemi nieokreślonych kształtów kupkę żelastwa. Była bezdusznym niewolnikiem prawa ciężenia. Nigdy nie miała kręgosłupa.

Ołowiane wargi Rumfoorda poruszyły się.

- Jak się masz, Beatrycze... żono - przemówił Rumfoord grobowym głosem.

- Jak się masz, Tułaczu z Kosmosu - tym razem Rumfoord nadał głosowi więcej

serdeczności. - To bardzo szlachetnie, że jednak przybyłeś. Tułaczu z Kosmosu, że jeszcze raz ze mną ryzykujesz.

Jak się masz, sławetny młody nosicielu sławetnego imienia Chrono - rzekł Rumfoord. -

Witaj, o gwiazdo szwabskiej szmacianki, witaj posiadaczu talizmanu.

Trójca, do której się zwracał, stała tuż przy bramie. Od Rumfoorda oddzielał ich basen.

Stary Salo, którego życzenie rychłej śmierci nie zostało spełnione, siedział pogrążony w żalobie na rufie złoconej łodzi przycumowanej na zewnątrz muru.

- Ja nie umieram - oświadczył Rumfoord. - Opuszczam jedynie System Słoneczny. A nawet

i to nie. W szerokim, ponadczasowym, chronosynklastycznie infundybułowanym pojęciu rzeczy będę zawsze tutaj. Zawsze będę wszędzie, gdziekolwiek bywałem.



Wciąż jestem z tobą w podróży poślubnej, Beatrycze – ciągnął. – Wciąż rozmawiam z panem, panie Constant, w pokoiku pod schodami w Newport. Tak, tak... także gram z panem i Boazem w chowanego po labiryntach jaskiń na Merkurym. A co do ciebie, Chrono – rzekł -bez przerwy obserwuję, jak świetnie grasz w szwabską szmaciankę na żelaznym boisku Marsa.

Rumfoord jęknął. Jęk był cichuteńki – i przejmująco smutny.

Słodkie, łagodne powietrze Tytana uniosło jęk w przestworza.

– Wszystko, cośmy kiedykolwiek powiedzieli, przyjaciele, mówimy nadal: dokładnie tak, jak kiedyś, tak, jak teraz, tak, jak w przyszłości – rzekł Rumfoord.

Jęk się powtórzył.

Rumfoord spoglądał za nim, jak za puszczonego z fajki kółkiem dymu.

– Chcę wam coś powiedzieć o życiu w Systemie Słonecznym – oświadczył. – Ponieważ jestem infundytułowany chronosynklastycznie, wiem o tym już od dawna. Jest to jednak fakt tak obrzydliwy, że starałem się o nim myśleć najmniej, jak to tylko możliwe.

Ów obrzydliwy fakt przedstawia się następująco:

Wszystko, cokolwiek czynili dotąd Ziemianie, uknute zostało przez istoty zamieszkujące planetę odległą od nas o sto pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych. Planeta ta nazywa się Tralfamadoria.

W jaki sposób Tralfamadorczycy nami sterowali – tego nie wiem. Wiem jednak, w jakim celu to robili. Sterowali nami tak, abyśmy musieli dostarczyć pewną część zamienną unieruchomionemu tu, na Tytanie, tralfamadorskiemu posłańcowi.

Rumfoord wycelował palec w chłopca Chrono.

– Ty, młody człowieku – powiedział. – Właśnie ty nosisz to w kieszeni. Twoja kieszeń zawiera punkt kulminacyjny całej ziemskiej historii. Twoja kieszeń zawiera owo tajemnicze coś, co każdy z Ziemian tak desperacko, z takim oddaniem, wnikliwością i poświęceniem starał się wydobyć na światło dzienne.

Z opuszka oskarżycielskiego palca Rumfoorda wyrósł skwierczący kiełek elektryczności.

– Przedmiot, który nazwałeś swoim talizmanem – oświadczył Rumfoord – to właśnie owa część zamienna, na którą tak długo czekał posłaniec z Tralfamadorii!

Posłańcem tym – dodał Rumfoord – jest stworzenie o barwie mandarynki, które trzęsie się teraz po tamtej stronie muru. Nazywa się Salo. Miałem nadzieję, że posłaniec ten uchyli ludzkości, choć rąbka tajemnicy, którą z sobą wiezie, choćby w rewanżu za to, że ludzkość tak pięknie dopomogła mu w podróży. Niestety, obowiązuje go rozkaz nieujawniania wiadomości absolutnie nikomu. Jest on maszyną i jako maszyna musi, chciał, nie chciał, traktować rozkaz jak rozkaz.

Poprosiłem go uprzejmie o ujawnienie mi wiadomości – ciągnął Rumfoord – lecz on z wielką rozpaczą odmówił.

Skwierczący kiełek elektryczności, który wyrósł z palca Rumfoorda, zaczął rozrastać się w spiralę, otaczając całą jego postać. Rumfoord popatrzył na spiralę ze smutnym politowaniem.

– Zdaje mi się, że to już to – wypowiedział się na temat spirali.

Tak też istotnie było. Spirala ściągnęła się nieco, składając wdzięczny dyg. Po chwili jąła wirować wokół Rumfoorda, snując jednolity kokon zielonego światła.

Wirując, szumiała ledwo dosłyszalnie.

– Mogę jedynie stwierdzić – odezwał się Rumfoord z wnętrza kokona – że, służąc nieubłaganym żądaniom Tralfamadorii, robiłem, co mogłem dla dobra mojej ojczystej planety Ziemi.

Być może teraz, z chwilą dostarczenia tralfamadorskiemu posłańcowi części zamiennej, Tralfamadoria pozostawi System Słoneczny w spokoju. Być może Ziemianie będą nareszcie mogli rozwijać i doskonalić swe naturalne skłonności, do czego przez tysiące lat nie mieli prawa.

– Rumfoord kichnął. – To zadziwiające, że Ziemianie zdołali mimo wszystko aż tyle zrobić z sensem – podsumował.

Zielony kokon oderwał się od ziemi i uniół ponad kopułę pałacu.

– Zapamiętajcie mnie jako dżentelmena z Newport, Ziemia, System Słoneczny – zaapelował Rumfoord. Znów czynił wrażenie spokojnego, pogodzonego z sobą; mógł być, co najmniej równym partnerem dla każdej istoty, którą przyjdzie mu spotkać.

- Mówiąc punktualnie - odezwał się z wnętrza kokonu gardłowym tenorem - do widzenia. Kokon i Rumfoord zniknęli z cichym „pft”.

Już nigdy więcej nie widziano ani Rumfoorda, ani jego psa.

Stary Salo wtargnął na dziedziniec dokładnie w tej samej chwili, gdy Rumfoord wraz ze swym kokonem, rozplątywał się w powietrzu.

Mały Tralfamadorczyk był oszalały z emocji. Ssawką stopy zerwał z szyi plakietkę z wiadomością. Jedna ze stóp pozostała ssawką i w niej właśnie tkwiła teraz wiadomość.

Salo podniósł wzrok ku miejscu, gdzie szybował kokon.

- Kajtek! - Zawołał w niebo. - Kajtek! Wiadomość! Przeczytam ci wiadomość! Wiadomość! Kaj-teeeeeeeeeek!

Głowa Salo przekoziółkowała w kordonowym zawieszaniu.

- Odszedł - skonstatował głucho Salo. - Odszedł - szepnął. - Maszyna? - Ożywił się zaraz.

Mówił urywanymi zdaniami, tyleż do siebie samego, co do Constanta, Beatrycze i chłopca Chrono. - Tak, jestem maszyną, tak jak i cały mój naród - oświadczył. - Zaprojektowano mnie i skonstruowano, nie oszczędzając środków i starań, abym był solidny, wydajny, konsekwentny i trwały. Byłem najlepszą maszyną, jaką potrafił wyprodukować mój naród. Na ile sprawdziłem się jako maszyna? - zapytał Salo.

- Solidny? - rzekł. - Polecono mi nie otwierać wiadomości, póki nie dotrę do miejsca przeznaczenia - a ja ją otworzyłem.

Wydajny? - rzekł. - Po stracie najlepszego przyjaciela we Wszechświecie, więcej trudu kosztuje mnie przejście ponad zeschniętym liściem niż dawniej pokonanie Szczytu Rumfoorda.

Konsekwentny? - rzekł. - Obserwując istoty ludzkie przez dwieście tysięcy ziemskich lat, stałem się równie narwany i sentymentalny jak najgłupsza ziemská pensjonarka.

Trwały? - rzekł złowieszczo. - Jeszcze zobaczymy, co zobaczymy.

Salo złożył wiadomość, której strzegł tak długo, na pustym liliowym fotelu Rumfoorda.

- Oto ona, przyjacielu - przemówił do wspomnienia po Rumfoordzie. - I niechże ci przyniesie pociechę. Twemu staremu przyjacielowi Salo przyniosła tylko wielki ból. Aby ci ją ofiarować, choćby i za późno, twój stary przyjaciel Salo musiał stoczyć walkę z samym sednem swojego istnienia, z samą istotą bycia maszyną.

Zażądałeś od maszyny rzeczy niemożliwej - rzekł Salo - i maszyna cię usłuchała.

Maszyna nie jest już maszyną - oświadczył Salo. - Jej złącza zżera korozja, jej łożyska się pozacierały, a w obwodach nastąpiło zwarcie. Jej mózg brzęczy teraz i eksploduje jak mózg Ziemiańska, skwiercząc i przegrzewając się od myśli o miłości, honorze, godności, prawach, spełnieniu, integralności, wolności...

Stary Salo podniósł plakietkę z fotela Rumfoorda. Był to cienki aluminiowy kwadracik.

Wiadomość stanowiła na nim samotny punkt.

- Czy interesuje was, w jaki sposób mnie wykorzystano? Jak zmarnowano mi życie? -

zapytał Salo. - Czy interesuje was treść wiadomości, którą niosłem przez blisko pół miliona ziemskich lat, wiadomości, którą mam rozkaz nieść dalej, przez kolejne osiemnaście milionów lat?

Ssawką odnóża uniósł plakietkę w górę. - Punkt - powiedział.

- Samotny punkt - powiedział.

- W języku tralfamadorskim - powiedział - punkt oznacza:

„Wszystkiego najlepszego!”

Przekazawszy sobie, Constantowi, Beatrycze oraz chłopcu Chrono wiadomość, która przebyła sto pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych, maszynka z Tralfamadorii wypadła gwałtownie z dziedzińca, kierując się ku plaży za murem.

Tam popełniła samobójstwo. Rozebrała się na części, które porzuciła na wszystkie strony.

Chrono wyszedł na plażę sam i przechadzał się w zamyśleniu między częściami Salo.

Chrono był zawsze pewien, że jego talizman posiada nadzwyczajną moc i nadzwyczajne znaczenie.

Zawsze podejrzewał, że w końcu zgłosi się po niego jakaś istota wyższa. Cecha, prawdziwych talizmanów było przecieź to, że istoty ludzkie nigdy nie posiadały ich do końca. Opiekowały się nimi i ciągnęły z nich korzyści, póki nie pojawił się prawowity właściciel,

właściciel wyższego rzędu.

Chrono wcale nie poczuł się oszukany, jego porządek świata nie uległ zakłóceniu.

Przeciwnie – wszystko wydawało mu się być w jak najlepszym porządku.

A i on sam przybrał w tym doskonałym porządku stosowną rolę.

Wydobył talizman z kieszeni i bez żalu cisnął go w piach, pomiędzy rozproszone części Salo.

Chrono wierzył głęboko, że prędzej czy później magiczne siły Wszechświata znów poskładają to wszystko do kupy.

Zawsze się tak działo.

Epilog

Spotkanie ze Stonym

„Tułacz z Kosmosu, Malachi, Wuju, jesteś zmęczony, bardzo zmęczony. Przypatrz się najbliżej z gwiazd. Ziemiannie, i pomyśl, jak ciężkie staje się twoje ciało”.

(-) Salo

Niewiele już zostało do opowiedzenia. Malachi Constant dożył na Tytanie późnej starości.

Beatrycze Rumfoord dożyła na Tytanie późnej starości. Zmarła spokojną śmiercią, w odstępnie dwudziestu czterech godzin jedno od drugiego. Oboje zmarli w siedemdziesiątym czwartym roku życia.

O tym, co stało się w końcu z ich synem Chrono, wiedzą na pewno tylko tytańskie błękitki.

Malachi Constant wkroczył w siedemdziesiątą czwartą wiosnę życia jako pogodny, rześki, krzywonogi staruszek. Był ponadto łysy jak kolano i większość czasu spędzał nago, za jedyne odzienie mając starannie pielęgnowaną, białą bródkę a la van Dyck.

Mieszkał w uziemionym statku kosmicznym Salo, do którego wprowadził się przed trzydziestu laty.

Constant nie próbował uruchomić statku. Nie śmiał dotknąć żadnego przycisku. Urządzenia sterujące statkiem Salo były znakomicie bardziej skomplikowane niż te ze statków marsjańskich.

Deska rozdzielcza statku Salo otwierała przed Constantem bogactwo dwustu siedemdziesięciu trzech galek, wtyków i przycisków, każdy z napisem w języku tralfamadorskim. We Wszechświecie, w którym na jeden decylion części czarnej, aksamitnej nicości, przypadała jedna trylionowa część materii, zespół sterowniczy statku Salo był istnym marzeniem ryzykanta.

Constant majstrował przy statku tylko na tyle, by z grubszą zorientować się, czy – zgodnie z tym, co mówił Rumfoord – talizman chłopca Chrono może istotnie służyć jako element siłowni statku.

Pobieżne oględziny wykazały, że i owszem. Do siłowni statku wiodły drzwiczki, przez które niegdyś najwyraźniej wydostawał się dym. Constant otworzył je i ujrzał czarne od sadzy pomieszczenie. Pod warstwą sadzy zaś rozmieszczone były łożyska i bolce, niełączące się z sobą nawzajem.

Constant zdołał nasunąć otworki talizmanu chłopca Chrono na osie łożysk między wspornikami. Margines tolerancji i prześwity, jakie powstały po dopasowaniu talizmanu, zadowolilyby najwybredniejszego szwajcarskiego mechanika.

Dla zabicia błędnego czasu w zbawiennym klimacie Tytana, Constant oddawał się wielu różnym zajęciom.

Najciekawszym z tych zajęć było dłubanie przy Salo, rozmontowanym posłańca z Tralfamadorii. Constant tysiące godzin spędził na próbach ponownego złożenia i uruchomienia Salo.

Jak dotąd, nic mu z tego nie wychodziło.

Podejmując pierwszą próbę rekonstrukcji małego Tralfamadorczyka, Constant żywił bardzo sprecyzowaną, nadzieję, że Salo po złożeniu zgodzi się odtransportować chłopca Chrono na

Ziemię.

Sam Constant nie palił się do powrotu na Ziemię, podobnie jak i jego kobieta, Beatrycze.

Oboje zgodzili się jednak, że ich syn, mając większą część życia przed sobą, powinien je spędzić wśród przedsiębiorczych, wesołych i współczesnych sobie ludzi na Ziemi.

Zanim jednak Constant ukończył siedemdziesiąt cztery lata, wyekspediowanie chłopca Chrono na Ziemię przestało być palącym problemem. Chłopiec Chrono w zasadzie przestał już być chłopcem. Miał czterdzieści dwa lata. Osiągnął przy tym tak gruntowną i specyficzną formę adaptacji do warunków Tytana, że wysłać go teraz gdziekolwiek byłoby najwyższym okrucieństwem.

Mając siedemnaście lat, chłopiec Chrono uciekł ze swego przepysznego domu, aby przystać do tytańskich błękitków – najwspanialszych istot na Tytanie. Chrono zamieszkał pośród ich gniazd, nie opodal Basenów Kazaka. Ubierał się w ich pióra, wysiadywał im jajka, jadał to samo, co one i przemawiał ich językiem.

Constant nie widywał chłopca Chrono. Czasami, późną nocą, słyszał jego wołanie. Constant nie odpowiadał na wołanie chłopca Chrono. Nie było ono adresowane do nikogo i niczego na Tytanie.

Adresowane było do Phoebe – wędrownego księżyca.

Czasami, błędząc w poszukiwaniu tytańskich truskawek lub cętkowanych dwufuntowych jaj siewki tytańskiej, Constant natykał się na wzniesione wśród polany kapliczki z gałązek i kamieni.

Chrono tworzył setki podobnych kapliczek.

Kapliczki składały się zawsze z tych samych elementów. Duży gład pośrodku wyobrażał Saturna. Wokół niego biegła pętla z zielonej witki, wyobrażająca pierścienie Saturna. Zaś po zewnętrznej stronie pętli rozłożone były mniejsze kamienie, wyobrażające dziewięć księżyców Saturna. Największym z kamieni-satelitów był Tytan. Pod nim też tkwiło zawsze pióro tytańskiego błękitka.

Ślady na ziemi wymownie dowodziły, że chłopiec Chrono – nie taki już chłopiec – poświęcał całe godziny na przesuwanie elementów konstrukcji.

Ilekc razy Malachi Constant trafił na kapliczkę w stanie zaniedbanym, porządkował ją najstaranniej, jak potrafił. Wyrывał chwasty, grabił i sporządzał nowy pierścień z witki, którym następnie otaczał gład będący Saturnem. Pod kamień będący Tytanem podkładał nowe pióro tytańskiego błękitka.

Porządkowanie kapliczek zapewniało Constantowi najbliższy jak dotąd duchowy kontakt z synem.

Constant szanował to, co jego syn usiłował skłecić w religię.

Czasami też, patrząc na uporządkowaną kapliczkę, Constant na próbę przestawiał elementy własnego życia – lecz czynił to w myślach. W takich chwilach miewał skłonność do melancholijnych refleksji na dwa zwłaszcza tematy: zamordowanie Stony'ego Stevensona, który był jego najlepszym i jedynym przyjacielem, oraz zdobycie – jakże późno – miłości Beatrycze Rumfoord.

Constant nigdy nie stwierdził, czy Chrono wie, kto porządkuje kapliczki. Chrono mógł sądzić, że czyni to jego bóg lub bóstwa.

Wszystko to razem było bardzo smutne. Ale i bardzo piękne.

Beatrycze Rumfoord żyła samotnie w Tadz Mahal Rumfoorda. Z chłopcem Chrono utrzymywała kontakty znacznie bardziej uciążliwe niż Constant. W nieprzewidzianych odstępach czasu Chrono podpływał do pałacu, przebierał się, korzystając z garderoby Rumfoorda, oświadczał, że matka obchodzi dziś urodziny, i spędzał z nią cały dzień na niemrawej, ponurej, w miarę kulturalnej pogawędce.

Dzień kończył się ze strony chłopca Chrono atakiem wściekłości na ubrania, na matkę i na cywilizację. Chrono zdierał z siebie strój, wydawał okrzyk tytańskich błękitków i nurkował w fale Morza Winstona.

Ilekc razy Beatrycze przebrnęła przez takie urodziny, wtykała pionowo wiosło tam, gdzie plaża wychodziła na najbliższy brzeg, i wywieszała na nim białą płachtę.

Dla Malachiego Constanta był to błagalny sygnał, aby natychmiast przybył do pałacu i pomógł jej się uspokoić.

A kiedy Constant pojawiał się w odpowiedzi na jej SOS, Beatrycze pocieszała się niezmiennie tymi oto słowami:

– Przynajmniej nie jest maminsynkiem. I miał przynajmniej na tyle dobrego smaku, aby przyłączyć się do najszlachetniejszych i najpiękniejszych istot w okolicy.

Biała płachta – rozpaczliwe wezwanie – powiewała właśnie od strony pałacu.

Malachi Constant odbił od brzegu w dłubance własnej roboty. Złoconą łódź, którą odziedziczyli wraz z pałacem, dawno już zżarła korozja.

Constant ubrany był w znoszony niebieski szlafrok z wełny, który należał niegdyś do Rumfoorda. Constant znalazł go kiedyś w pałacu i zaczął nosić, kiedy już całkiem zużył mu się kostium Tułacza z Kosmosu. Szlafrok był jego jedynym odzieniem i Constant narzucał go tylko idąc z wizytą do Beatrycze.

W swojej dłubance Constant wioził sześć jaj siewki, dwie kwarty dzikich truskawek tytańskich „ torfową czarę o pojemności trzech galonów, pełną zsiadłego mleka stokrotek, buszel nasion stokrotki, osiem książek wypożyczonych z czterdziestotysięcznotomowej biblioteki pałacu, własnoręcznie wykonaną miotłę i własnoręcznie wykonaną szufelkę.

Constant był samowystarczalny. Hodował, zbierał i wytwarzał wszystko, czego potrzebował. Sprawiało mu to niebywałą satysfakcję.

Beatrycze nie była uzależniona od Constanta. Rumfoord hojnie zaopatrzył Tadz Mahal w ziemskie pożywienie i ziemskie napitki. Beatrycze miała mnóstwo żywności i napojów, i miałyby ich pod dostatkiem, gdyby nawet żyła znacznie dłużej.

Constant dostarczał Beatrycze naturalne płody Tytana, gdyż był niezwykle dumny z tego, że jest tak świetnym łowcą i materiałem na męża. Lubił popisywać się swym talentem w dziedzinie zdobywania żywności.

Był to wewnętrzny przymus.

Constant zabrał z sobą miotłę i szufelkę, gdyż pałac Beatrycze nie oglądał na co dzień ani jednej, ani drugiej. Beatrycze nie sprzątała w ogóle, toteż przy okazji każdej swej wizyty Constant przynajmniej z grubsza eliminował odpadki z jej otoczenia.

Beatrycze Rumfoord była żwawą, jednooką, złotozębą., brunatnoskórą staruszką, chudą i twardą jak oparcie krzesła. Mimo to klasa zrujnowanej i niecznie wykorzystanej starej damy była w jej przypadku nie do ukrycia.

Każdemu, kto wrażliwy jest na poezję, śmiertelność i cuda, kobieta Malachiego Constanta, ze swą dumą i wydatnymi kośćmi policzkowymi, musiałyby się wydać ideałem ludzkiej urody.

Niewykluczone, że była lekko stuknięta. Żyjąc na księżycu, który poza nią zamieszkiwało zaledwie dwóch ludzi, Beatrycze Rumfoord pracowała nad książką zatytułowaną Prawdziwy cel życia w Systemie Słonecznym. Książka miała obalić twierdzenie Rumfoorda, jakoby celem życia istot ludzkich w Systemie Słonecznym było umożliwienie dalszej podróży unieruchomionemu posłańcowi z Tralfamadorii.

Beatrycze rozpoczęła pisanie, kiedy jej syn opuścił dom, aby przyłączyć się do błękitków.

Dotychczasowy rękopis zajmował we wnętrzu Tadz Mahal trzydzieści osiem stóp kubicznych.

Ilekczo Constant składał jej wizytę, Beatrycze czytała mu najnowsze fragmenty rękopisu.

Usadowiona w starym fotelu Rumfoorda przy basenie, była właśnie w trakcie głośnej lektury, podczas gdy Constant kręcił się po dziedzińcu, wykonując rozmaite zajęcia. Beatrycze miała na sobie białoróżową dzierganą kapę na łóżko, która należała do wyposażenia pałacu. We wzór kapy wrobione było hasło: „Bóg ma wszystko za nic”.

Była to niegdyś osobista kapa Rumfoorda.

Beatrycze czytała i czytała, snując długą argumentację przeciwko wpływowi sił Tralfamadorii.

Constant nie słuchał zbyt uważnie. Przyjemność sprawiał mu sam głos Beatrycze, który był silny i triumfalny. Constant znajdował się na dole, przy odpływie basenu, i kręcił zaworem, który powinien był otworzyć spust wody. Za sprawą tytańskich alg woda w basenie stała się, bowiem czymś w rodzaju puree z zielonego groszku. Przy okazji każdych kolejnych odwiedzin u Beatrycze, Constant staczał bezowocną walkę z rozpasanym zielonym gąszczem.

– Nie śmiałybym zaprzeczyć – oświadczyła Beatrycze, kontynuując głośną lekturę swojej książki – że siły Tralfamadorii miały związek z wydarzeniami na Ziemi. Jednakże osoby, które

służyły celom Tralfamadorii, czyniły to w sposób tak wysoce zindywidualizowany, że można śmiało rzec, iż Tralfamadoria nie miała z ich działaniem praktycznie nic wspólnego.

Siedzący w kanale Constant przyłożył ucho do odkręconego zaworu. Sądząc z odgłosu, woda zaczęła powoli wyciekać.

Constant zaklął. Jedną z najistotniejszych informacji, które zniknęły wraz z Rumfoordem i umarły razem z Salo, była właśnie odpowiedź na pytanie, jak udawało im się, póki żyli, utrzymywać basen w stanie krystalicznej czystości. Od chwili, gdy dozór nad basenem objął Constant, wodorosty zaczęły się pienić bez opamiętania. Dno i ściany basenu pokrywał oślizły dywan szlamu, zaś trzy posągi pośrodku – trzy Syreny z Tytana – tkwiły pod gęstym, lepkiem parasolem z glonów.

Constant wiedział, jakie znaczenie miały dla jego losów trzy syreny. Czytał o tym zarówno w Kieszonkowej historii Marsa, jak i w Autoryzowanej, poprawionej Biblii Winstona Nilesa Rumfoorda. Trzy piękności straciły już jednak dla niego swą pierwotną wymowę i przypominały mu jedynie, jak wielką wagę przykładał niegdyś do spraw seksu.

Constant wydostał się z kanału.

– Za każdym razem coraz wolniej spływa – poskarżył się Beatrycze. – Obawiam się, że nie można już odkładać wykopania rur.

– Doprawdy? – zdziwiła się uprzejmie Beatrycze, odrywając wzrok od rękopisu.

– Doprawdy – potwierdził Constant.

– No cóż, zrobisz co należy – podsumowała Beatrycze.

– Oto streszczenie całego mojego życia – rzekł Constant.

– Wpadła mi właśnie do głowy pewna myśl, która musi znaleźć się w książce – przerwała mu Beatrycze. – Żeby mi tylko nie uciekła.

– Jeśli polecisz tutaj, odbiję ją szpadłem – obiecał Constant.

– Bądź chwilę cicho – poprosiła Beatrycze. – Chcę ją dokładnie sformułować.

Wstała i przeszła do wejścia pałacu, aby skupić się z dala od Constanta i pierścieni Saturna.

Zapatrzyła się w wielkie olejne malowidło wiszące na ścianie przedsionka. Było to jedyne malowidło w pałacu. Constant sprowadził je aż z Newport.

Malowidło przedstawiało nieskazitelną dziewczynkę w bieli przytrzymującą za uzdę bielusińskiego kuczka.

Beatrycze wiedziała, kim jest dziewczynka. Mosiężna plakietka pod malowidłem głosiła: „Beatrycze Rumfoord w wieku dziecięcym”.

Kontrast między dziewczynką w bieli a przypatrującą jej się starą damą był uderzający.

Beatrycze gwałtownie odwróciła się od malowidła i powróciła na dziedziniec. Myśl, którą zamierzała włączyć do książki, była już jasna i precyzyjna.

– Najgorszym, co mogłoby spotkać człowieka – oświadczyła – byłoby nie wykorzystanie go przez nikogo, w żadnym celu.

Myśl ta przyniosła jej ulgę. Beatrycze wyciągnęła się w starym fotelu Rumfoorda i zatopiła wzrok w oszalamiająco pięknych pierścieniach Saturna – zwanych także Tęczą Rumfoorda.

– Dziękuję ci, że mnie wykorzystałeś – rzekła do Constanta – mimo iż nie życzyłam sobie być wykorzystywana przez nikogo.

– Zawsze do usług – odparł Constant.

Zabrał się do zmiatania dziedzińca. Śmiecie, które zgarniał, stanowiły mieszaninę naniesionego z zewnątrz piasku, łusek po ziarnach stokrotki, łupinach po ziemskich fistaszkach, pustych puszek po filetach z kurczęcia i pogniecionych arkuszy papieru. Beatrycze żywiła się głównie nasionami stokrotki, fistaszkami i filetami z kurczęcia, gdyż nie potrzebowała ich gotować – nie potrzebowała nawet przerywać pisania, aby spożyć posiłek.

Doszła do takiej wprawy, że potrafiła pisać jedną ręką, jednocześnie jedząc drugą. Na niczym bowiem nie zależało jej tak bardzo, jak na spisaniu wszystkiego, co miała do spisania.

Przerwawszy zmiatanie, Constant poszedł sprawdzić, jak przebiega opróżnianie basenu.

Przebiegało ono powoli. Oślizły zielony parasol, który okrywał trzy Syreny z Tytana, zaczął się właśnie wyłaniać ponad opadającą powierzchnię wody.

Constant pochylił się nad kanałem, nasłuchując odgłosów spływającej wody.

Usłyszał granie w rurach. Usłyszał równocześnie coś innego.

Usłyszał nieobecność dobrze znanego i kochanego głosu. Jego kobieta Beatrycze już nie oddychała.

Malachi Constant pogrzebał swą kobietę w torfie tytańskim u brzegu Morza Winstona.

Pogrzebał ją w miejscu, gdzie nie stał żaden posąg.

Malachi Constant żegnał ją właśnie, gdy niebo zaroilo się od tytańskich błękitków. Wielkie, szlachetne ptaki zleciały się w liczbie co najmniej dziesięciu tysięcy.

Sprawiły, że dzień przemienił się w noc, a ziemia zadrżała od trzepotu ich skrzydeł.

Ani jeden ptak nie wydał głosu.

A w samym środku nocy, która nastąpiła w samym środku dnia, na przeciwnym do świeżego grobu kopcu torfu pojawił się Chrono – syn Beatrycze i Malachiego. Spowity w pierzastą kape, łopotał nią jak skrzydłami.

Był silny i wspaniały.

- Matko i Ojcze! - zawołał. - Dzięki wam za dar życia. Żegnajcie!

Zniknął, a wraz z nim wszystkie ptaki.

Stary Malachi Constant powrócił do pałacu z sercem ciężkim jak kula armatnia. Powracał do tych smutnych miejsc z życzeniem pozostawienia ich w jak najlepszym porządku.

Prędzej czy później zamieszka tam ktoś inny.

Pałac powinien być wysprzątnany i gotowy na przyjęcie nowych lokatorów. Pałac powinien dobrze świadczyć o swej poprzedniej rezydentce.

Zniszczony fotel Rumfoorda otaczały jaja siewki, dzikie truskawki tytańskie, czasza ze zsiadłym mlekiem stokrotek i kosz nasion, które Constant ofiarował Beatrycze. Wszystko to były dobra nietrwałe. Nie doczekałyby przybycia kolejnego lokatora.

Constant umieścił je z powrotem w swej dłubance.

Nie były mu potrzebne. Nie były potrzebne nikomu.

Prostując plecy po umieszczeniu prowiantów na dnie łodzi, Constant dostrzegł Salo, małego posłańca z Tralfamadorii, który zmierzał ku niemu po powierzchni wody.

- Witam - rzekł Constant.

- Witam - rzekł Salo. - Dziękuję, że mnie pan poskładał.

- Zdawało mi się, że coś pomyliłem - odparł Constant. - Nie mogłem wykrzesać z pana ani iskielki życia.

- Nic pan nie pomylił - rzekł Salo. - Po prostu nie mogłem się zdecydować, czy okazać, że żyję, czy nie. - Z sykiem opróżnił stopy z powietrza. - Chyba będę już leciał - oświadczył.

- Więc zamierza pan mimo wszystko dostarczyć wiadomość do celu? - zapytał Constant.

- Ktokolwiek zabrnął z kretyńską misją tak daleko - wyjaśnił Salo - ten ma już tylko jedno wyjście: obronić honor kretynów przez wypełnienie misji do końca.

- Dzisiaj zmarła moja kobieta - powiedział Constant.

- Współczuję - rzekł Salo. - Chciałbym powiedzieć „Czy mogę w czymś pomóc?”, ale Kajtek pouczył mnie kiedyś, że jest to najobrzydliwsze i najgłupsze wyrażenie w języku angielskim.

Constant zatarł dłonie. Jedynym towarzystwem, jakie mu pozostało na Tytanie, było towarzystwo jego prawej dłoni dla lewej.

- Tęsknię za nią - powiedział.

- Widzę, że w końcu się pan zakochał - stwierdził Salo.

- Zaledwie jeden ziemski rok temu - rzekł Constant. - Tak długo trwało, zanim uświadomiliśmy sobie, że celem ludzkiego życia - niezależnie od tego, kto nim steruje - jest darzenie miłością tego, kogo akurat ma się pod ręką.

- Gdyby pan sam lub pański syn miał ochotę przelecieć się z powrotem na Ziemię - rzekł Salo - byłoby mi to właściwie po drodze.

- Mój syn lata z błękitkami - oświadczył Constant.

- Ma szczęście! - odparł Salo. - Sam bym się do nich przyłączył, gdyby mnie zechciały.

- Ziemia - wymówił z niedowierzaniem Constant.

- Możemy tam być za kilka godzin - rzekł Salo. - Statek jest już całkiem sprawny.

- Pusto tu - powiedział Constant. - Odkąd...

Potrząsnął głową.

Podczas powrotnej podróży na Ziemię Salo nabrał podejrzeń, że nakłonienie Constanta do

powrotu było tragicznym błędem. Podejrzenie takie powziął z chwilą, gdy Constant zażądał, aby go podwieźć do Indianapolis, Indiana, USA.

Żądanie Constanta wprawiło Salo w konsternację, gdyż Indianapolis z pewnością nie było najlepszym miejscem dla bezdomnego staruszka.

Salo chciał wylądować na Ziemi nie opodal kortów do cymbergaja w St. Petersburg, Floryda, USA, lecz Constant, zgodnie z obyczajem starych ludzi, trwał niewzruszenie w swym pierwotnym postanowieniu. Chciał się dostać do Indianapolis i szkoda dalszej dyskusji.

Salo przypuszczał, że Constant ma w Indianapolis krewnych lub może dawnych partnerów handlowych, lecz i to okazało się nieprawdą.

- W Indianapolis nie mam nikogo i nie wiem o tym mieście nic, prócz jednej rzeczy, którą wyczytałem w książce - rzekł Constant.

- Co takiego wyczytał pan w książce? - zapytał z lękiem Salo.

- Indianapolis, Indiana - objaśnił Constant - to pierwsze miasto w Stanach Zjednoczonych, gdzie powieszono białego za zamordowanie Indianina. Poszukuję takich właśnie ludzi: ludzi, którzy potrafiliby powiesić białego za to, że zabił Indianina.

Głowa Salo przekoziółkowała z wrażenia. Stopy młasnęły żałośnie o żelazną podłogę.

Pasażer jego statku najwyraźniej bardzo mało wiedział o planecie, ku której zbliżał się z prędkością bliską prędkości światła.

Dobrze, że chociaż miał pieniądze.

W tym była pewna nadzieja. Constant posiadał blisko trzy tysiące dolarów, w rozmaitych walutach europejskich, powyciągane z kieszeni marynarek, które Rumfoord pozostawił w Tadz Mahal.

I dobrze, że chociaż miał ubranie.

Włożył o wiele za luźny, ale porządny, tweedowy garnitur Rumfoorda, z odznaką uniwersytecką Phi Beta Kappa u dewizki, która biegła w poprzek kamizelki.

Salo nakłonił Constanta, aby przywdział odznakę wraz z garniturem.

Constant wyposażony był ponadto w przyzwoity płaszcz, kapelusz i buty.

Wiedząc, że od Ziemi dzieli ich raptem godzina lotu, Salo gorączkowo rozmyślał, co jeszcze mógłby uczynić, aby zabezpieczyć Constanta na resztę życia, choćby i w Indianapolis.

W końcu postanowił zahipnotyzować Constanta, aby przynajmniej ostatnie sekundy życia sprawiły starcu wielką radość. Aby życie Constanta zakończyło się szczęśliwie.

Obserwując kosmos przez wizjer statku, Constant już znajdował się w stanie bliskim hipnozy.

Salo zaszedł go od tyłu i przemówił kojącym głosem:

- Tułacz z Kosmosu, Malachi, Wuju. Jesteś zmęczony, bardzo zmęczony. Przypatrz się najbliedszej z gwiazd, Ziemianinie, i pomyśl, jak ciężkie staje się twoje ciało.

- Ciężkie - powtórzył Constant.

- Pewnego dnia umrzesz, Wuju - powiedział Salo. - To smutne, lecz prawdziwe.

- Prawdziwe - powtórzył Constant. - Nie smuć się.

- Kiedy już będziesz wiedział, że umierasz, Tułacz z Kosmosu - ciągnął Salo hipnotyzującym tonem - spotka cię cudowne zdarzenie.

I Salo opisał Constantowi szczęśliwe zdarzenie, które Constant wyobrazi sobie, nim odda ducha. Zdarzenie miało być fantazją posthipnotyczną.

- Zbudź się! - rozkazał Salo.

Constant drgnął i odwrócił wzrok od luku.

- Gdzie ja jestem? - zapytał.

- Na pokładzie tralfamadorskiego statku kosmicznego, w drodze z Tytana na Ziemię - objaśnił Salo.

- Ach tak - powiedział Constant. - No, oczywiście - dodał po chwili. - Musiałem się zdrzemnąć.

- Proszę się położyć - zaproponował Salo.

- Tak, tak, chyba tak zrobię - rzekł Constant. Wyciągnął się na pryczy. Zapadł w sen.

Salo przypiął śpiącego Tułacza z Kosmosu pasami do koi. Następnie sam przypiął się pasem do fotela przy desce rozdzielczej. Ustawił trzy tarcze pomiarowe i dwukrotnie sprawdził wskaźniki na każdej z nich. Wcisnął jaskrawoczerwony guzik.



Odchylił się na oparcie. Już nic więcej nie pozostało do zrobienia.

Od tej chwili wszystko działa się automatycznie. Za trzydzieści sześć minut statek wylądował samoczynnie w okolicy pętli autobusowej na przedmieściach Indianapolis, Indiana, USA, Ziemia, System Słoneczny, Droga Mleczna.

Będzie tam wówczas godzina trzecia nad ranem.

Będzie tam wówczas zima.

Statek wylądował w czterocalowej warstwie świeżego śniegu na pustym polu południowych krańców Indianapolis. Nikt nie widział lądowania. Wszyscy spali.

Malachi Constant wysiadł ze statku.

- Tam masz przystanek autobusowy, weteranie - szepnął Salo. Szept był wskazany, gdyż w odległości raptem trzydziestu stóp od nich stał dwupiętrowy drewniany dom z otwartym oknem sypialni. Salo wskazał na ośnieżoną ławkę przy jezdni. - Poczekaj pan jakieś dziesięć minut - szepnął. - Autobus dowiezie pana do samego centrum. Niech pan poprosi kierowcę, żeby pana wysadził koło jakiegoś dobrego hotelu.

Constant kiwnął głową.

- Dam sobie radę - szepnął.

- Jak się pan czuje? - szepnął Salo.

- Byczo - odszepnął Constant.

Z pobliskiego okna popłynęła senna skarga kogoś, kto za nim spał.

- Ejjo - poskarżył się głos - sotam siezie-je, chrmmm.

- Na pewno dobrze się pan czuje? - szepnął Salo.

- Tak. Świetnie - szepnął Constant. - Byczo.

- Powodzenia - szepnął Salo.

- Tu się tak nie mówi - szepnął Constant. Salo puścił do niego perskie oko.

- Ja nie jestem stąd - szepnął. Rozejrzał się po nieskazitelnie białym świetle, poczuł wilgotne całusy płatków śniegu, zamyślił się nad ukrytym znaczeniem bladożółtych latarni świecących w nieskazitelnie białym uśpionym świetle. - Piękne - szepnął.

- Prawda? - zgodził się Constant.

- Jacituzaraa! - wrzasnął ostrzegawczo głos zza okna pod adresem każdego, kto ośmielał się zakłócać mu sen. - Jazda! Cojes? Pchrrr.

- Niech pan już lepiej rusza - szepnął Constant.

- Tak - odszepnął Salo.

- Do widzenia - szepnął Constant. - Dziękuję.

- Zawsze do usług - szepnął Salo. Cofnął się w głąb statku i zamknął śluzę. Statek uniósł się w niebo z dźwiękiem przypominającym efekt dmuchania tuż ponad otwartą szyjką butelki. Zniknął wśród wirujących płatków śniegu, nie zostawiając po sobie ani śladu.

- Ju-huuuuu - zaśpiewał.

Podczas marszu ku ławce podeszwy butów Malachiego Constanta poskrzypywały o śnieg.

Constant zmiotł śnieg ramieniem i przysiadł na ławce.

- Offamy! - krzyknął głos zza okna, jakby naraz wszystko zrozumiał.

- Oszchamy! - wrzasnął, bardzo niezadowolony z tego, co zrozumiał.

- Spierrr-chrrr - oświadczył, dając wyraźnie do zrozumienia, co o tym wszystkim sądzi.

- Dalimi! - zawołał.

Spiskowcy - jak się przypuszcza - zbiegli bez śladu.

Śnieg padał i padał.

Autobus, na który czekał Malachi Constant, odjeżdżał tego ranka z dwugodzinnym opóźnieniem - właśnie z powodu śniegu. Kiedy autobus wreszcie nadjechał, było już za późno. Malachi Constant nie żył.

Salo zahipnotyzował go tak, aby umierając wyobraził sobie, że znów spotyka swego najlepszego i jedyne przyjaciela - Stony'ego Stevensona.

Obserwując szybujące górą chmury, Constant wyobraził sobie, że chmury się rozstępują, a ze szczeliny między nimi wypływa promień słońca - promień słońca przeznaczony wyłącznie dla niego.

Złocisty, wysadzany diamentami statek kosmiczny ześliznął się po promieniu, lądując

w nietkniętym śniegu na ulicy.

Wsiadł z niego masywny, rudowłosy mężczyzna, z potężnym cygarem w zębach. Był młody. Miał na sobie mundur Marsjańskiej Piechoty Szturmowej – dawny mundur formacji Wujka.

– Siemasz, Wuju – powiedział. – Wskakuj.

– Wskakuj? – powtórzył Constant. – Kim pan jest?

– Stony Stevenson, Wuju, nie poznajesz?

– Stony? – powtórzył Wujko. – To ty, Stony?

– A kto inny wytrzymałby tę cholerną prędkość – odparł Stony. Zaśmiał się. – Właż, Wuju – powiedział.

– Dokąd polecimy? – zapytał Wujko.

– Do Raju – odparł Stony.

– Jak tam jest w tym Raju? – zapytał Constant.

– Wszyscy są tam wiecznie szczęśliwi – powiedział Stony. – Przynajmniej póki cały ten pierdolony Wszechświat trzyma się kupy. Właż, Wuju. Beatrycze już tam jest, czeka na ciebie.

– Beatrycze? – powtórzył Wujko, wsiadając do wnętrza statku.

Stony zamknął śluzy, wcisnął guzik „start”.

– Czy my... czy my naprawdę lecimy do Raju? – zapytał Constant. – Ja? Ja idę do Raju?

– Sam nie wiem za co, stary byku – powiedział Stony – ale ktoś tam na górze wyraźnie cię lubi.

141142

KONIEC

Wszystkie cytaty biblijne z wydania „Biblia, to jest całe Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu”, wyd. Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1980 (przyp. tłum.).